

Susan Wilson

Tajemnica starej farmy

Dedykuję z miłością moim najbliższym: mężowi Davidowi, którego wiedza na temat lotnictwa ustrzegła mnie od popełnienia poważniejszych błędów, oraz naszym wspaniałym córkom, Liz i Allison.

Wyrażam wdzięczność Eulalie Regon z „Vineyard Gazette”. Z pieczołowicie zbieranych przez nią wycinków prasowych wiele dowiedziałam się o życiu mieszkańców tej wyspy.

Serdeczności dla pracowników miejscowej biblioteki Oaks Bluffs za poparcie.

Nawet nie zdawali sobie sprawy, ile ono dla mnie znaczyło.

Tradycyjne dowcipy Jankesów pochodzą z różnych źródeł, jako jedno z nich wymienię mojego dziadka, Georgea Geera, oraz Peggy Scott; oboje świetnie je opowiadają.

Pamięci Vincenta Frankwitza, który spadł z nieba do oceanu.

Chociaż w mojej powieści można rozpoznać pewne znajome miejsca na wyspie Martha's Vineyard, to jednak całość jest dziełem wyobraźni.

PROLOG

HAWKE'S COVE

Gdyby próbowano ustalić, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Hawke's Cove, nikt by sobie nie przypomniał. Po blisko pięćdziesięciu latach zdawało się, że Joe Green był tu od zawsze – czy to jeżdżąc główną ulicą swoją zdezelowaną półciężarówką, czy przesiadując przy bufecie w knajpce U Lindy w towarzystwie innych staruszków. Wypijał wtedy mnóstwo kawy i snuł opowieści, którym z uwagą przysłuchiwało się grono jego rówieśników w poplamionych farbą spodniach i z obowiązkowymi szelkami.

Słyszeliście tę historię o Luciusu? Natrafiłem na niego, jak leżał zwinęty w kłębek w rowie ściekowym – tutaj, przed kafeterią. No więc zapytałem: Lucius, co z tobą? On mi na to: Joe, pomóż mi, dostałem ruptury. Co było robić, zaprowadziłem go do domu zgiętego wpół jak drzewo po burzy. Następnego dnia widzę go w sklepie żelaznym, a on jest prosty jak świeca, zdrowy jak rydz. Więc mówię: Słuchaj, Luke, myślałem, że dostałeś ruptury. A on mi odpowiada: Wiesz, Joe, usłyszałem, że coś we mnie strzeliło, coś się osunęło. A to były szelki.

W Hawke's Cove ten dowcip wywoływał salwy śmiechu.

Chociaż Joe Green miał się różnych zajęć, większość miejscowych zapamiętała go jako mleczarza. Jasne, że tak jak inni, mnóstwo czasu spędzał na połowach skorupiaków. Nawet najął się na kilka sezonów na kuter Pete'a Westa, ale nie przepadał za pływaniem. Twierdził, że woli mieć do czynienia ze zwierzętami ciepłokrwistymi. Potem zatrudnił się w charakterze biletera w kinie, które założono w Hawke's Cove w latach sześćdziesiątych. Pracował tam od tak dawna, że dzieciarnia uważała, iż od niepamiętnych czasów stał w drzwiach wejściowych do sali. Latem ubrany był nieodmiennie w pogniecioną marynarkę w paski i białe spodnie, a gdy zimny wiatr hulał w nieogrzewanej poczekalni, paradował w grubym rybackim swetrze i w portkach z samodziału.

Zapytajcie tu kogo chcecie o Joego Greena, a większość odpowie, że jest porządnym gościem, ciężko pracującym na chleb. W porządku fa-

cet. Spytajcie, kim był, a większość wzruszy ramionami i odpowie: No cóż, to Joe Green. Przyjechał tu dawno temu i osiadł na stałe.
I – prócz jednej tylko osoby – nikt nie wiedział, kim naprawdę był.

Rozdział 1

CHARLIE – 1993

Charlie Worth oparł się wygodniej na swoim ergonomicznym krześle i rzucił przez ramię zwiniętą kulę papieru. Nie trafił do kosza, więc brudnopis wylądował na podłodze obok innych zmiętych kartek otaczających wianuszkami metalowy pojemnik.

Te prezydenckie wakacje wychodziły mu już nosem. Zabójcza Priscilla wpadała co chwilę, żeby dorzucić kolejny pomysł na podejście do tego wydarzenia, jeden głębszy od drugiego – od sugestii, aby przeprowadził wywiady z mieszkańcami Kennenbunkport, do wybadania, jakich rad miejscowi z Great Harbor udzieliliby prezydentowi, żeby miał udany urlop.

Charlie postanowił, że zostanie pewnie jedynym reporterem, który nie będzie biwakował w Great Harbor w czasie prezydenckiej wizyty. Poza tym, jeśli ktokolwiek w redakcji miał cierpliwość go słuchać, uparcie twierdził, że Clintonowie na pewno wybiorą wyspę Martha's Vineyard. Tam przynajmniej mają pole golfowe z prawdziwego zdarzenia, przecież nie przyjadą do Great Harbor, zwykłej dziury, która niczego ciekawego nie ma do zaoferowania. No, gdyby Clintonowie udali się na Martha's Vineyard, trzydziestodwuletni Charlie byłby gotów się tam wybrać. W swojej karierze dziennikarskiej bywał w wielu miejscach, między innymi w Bejrucie, w Sankt Petersburgu, który wtedy nazywał się jeszcze Leningradem, oraz w Londynie, dokąd w charakterze korespondenta wysłał go bostoński dziennik „Globe”. Zwiedził większość wysp na Karaibach, Belize i przesiedział pięć lat na Alasce, skąd pisał o wyprawach alpinistów i o życiu codziennym w tym surowym krajobrazie. W jego oczach pisanie takich kawałków z podróży było na przemian ciekawe i nudne. Gdy już zupełnie odechciało mu się wyjazdów do odległych krajów, z reportera przemienił się w redaktora. W ten sposób miał dom, stajnię i ogród, którymi mógł się cieszyć przez wszystkie pory roku. Jednakże po półtorarocznym okresie życia osiadłego znowu zaczął tęsknić za dalekimi wyprawami. Tym razem marzyło mu się pójście w ślady wielkich pisarzy-podróżników. Chciał za-

nurzyć się w jakąś egzotyczną cywilizację i potem wydać książkę wspomnień. Byłby to bez wątpienia bestseller.

Choć był to kuszący pomysł, Charlie zdawał sobie sprawę, że istnieje ważna przyczyna, która trzyma go na miejscu: jego starzy rodzice. Z tego powodu zrezygnował z kariery reportera i został redaktorem z obowiązkową wierszówką – napisaniem reportażu raz w tygodniu.

Wstał zza biurka i przeciągnął się, dotykając wyprostowanymi rękami sufitu.

Potem pomasaował kark, licząc, że ból trochę ustąpi. Znów pochyliwszy się nad klawiaturą, wystukał krótki email do swojego kumpla Dave'a z działu sportowego, proponując datę spotkania na korcie tenisowym. Przez chwilę sumienie przestało go gryźć, więc ruszył w stronę automatu do kawy. Pech chciał, że po drodze natknął się na Priscillę St. Lorraine, która wracała do swojego boksu i złapała go, zanim zdołał schronić się w męskiej toalecie. Do tego pomieszczenia Zabójcza jeszcze nie wtargnęła.

– Charlie, mam dla ciebie temat!

– Jak to miło z twojej strony. – Uśmiechnął się zdawkowo, przypominając sobie, że w kodeksie towarzyskim kobiet z Południa zwrot „jak miło... ” oznacza „odpieprz się”.

Priscilla przystąpiła do streszczania swojego pomysłu; chodziło o stary wrak samolotu odkryty w wodach Great Harbor podczas zwiadu powietrznego przed wizytą prezydenta i jego rodziny. Dopiero wtedy, gdy Priscilla napomknęła, gdzie leży wrak, Charlie się zainteresował.

Było to w Hawke's Cove.

Gdy Charlie był małym chłopcem – ośmio, może dziewięcioletnim, znalazł ze starszymi siostrami pudełko od butów pełne starych zdjęć. Większość fotografii przedstawiała jakichś dorosłych – ludzi, do których dzieci zwracały się ciotciu lub wujku. Wuj Jack, który był współnikiem ojca, i jego żona, ciotka Joan, przebrani w stroje karnawałowe, z kieliszkami martini w rękach, wznosili toast noworoczny lata temu. W pudełku były też zdjęcia ich rodziców, którzy wyglądali dziwnie w staroświeckich ubrankach i przedpotopowych fryzurach. Charlie w żaden sposób nie mógł skojarzyć ojca z chłopczykiem na zdjęciu – blondynkiem o falującej czuprynie.

Tłem paru fotografii był Atlantyk. Na jednej z nich widać było młodą kobietę w kapeluszu, z małym terierem skaczącym obok niej. Za nią stała stodoła z rozwartymi wrotami.

– To babcia, gdy przeprowadziła się do Hawke's Cove. – Vangie podeszła do dzieci, widząc zdjęcia rozsypane na wysłużonym persie. – Co wy tu wyprawiacie? – Przykucnęła koło Charliego i zaczęła zbierać fotografie. Składając je, opowiadała Amandzie, Julie i Charlieemu, kto był na nich uwieczniony i z jakiej okazji. Charlie doskonale pamiętał dotyk grubego kasztanowego warkocza na swoim policzku, gdy mama sięgnęła po kolejne zdjęcie. Przedstawiało chudego, brodatego mężczyznę, trzymającego jeden koniec linki, na którą nawleczono ryby. Jej drugi koniec tkwił w rękach krótko ostrzyżonego, mocniej zbudowanego człowieka. Obaj uśmiechali się z dumą.

– Co to za ludzie? – spytał Charlie.

– Kim są ci panowie – poprawiła go matka. Zrobiła to niemal automatycznie. – To Ernie Dubee. – Wskazała palcem na twarz jednego z nich.

– Był naczelnikiem policji w Hawke's Cove.

– Ale kim jest ten? – Charlie dotknął paluszkami oblicza brodatego mężczyzny.

– To Joe. Joe Green. Pracował u mnie na farmie w Hawke's Cove. – W jej głosie zabrzmiało coś takiego, że cała trójka dzieci spojrzała na nią i spostrzegła na jej ustach lekki uśmiezek.

Po chwili Vangie wyciągnęła rękę po następne zdjęcie ze sterty na dywanie.

Charlie, oparty o jej ramię, zagapił się na podobiznę mężczyzny stojącego koło stodoły. Zauważył taki sam lekki uśmiech na jego wargach.

– Czy to też Joe Green?

Dziwne, że zapamiętał, iż jego matka skinęła głową i bez słowa wsunęła fotografię do kieszonki fartucha.

Wtedy po raz pierwszy Charlie usłyszał o Hawke's Cove i o latach, które mama spędziła tam podczas wojny.

– Mamo, więc co sobie przypominasz z Hawke's Cove? Evangeline Worth rozpromieniła się na dźwięk tej nazwy.

– Pamiętam, jak rankiem pachniało powietrze, a mokra trawa ugięła się pod bosymi stopami. Przypominam sobie, jak cudownie...

– Posłuchaj, pytam cię nie jako Evangeline Worth, „poetkę narodową”. Po prostu powiedz mi własnymi słowami.

- Ale co ci mam opowiedzieć? Historie? Wszystkie już znasz.
- Nie. Chciałbym się dowiedzieć, czy przypominasz sobie konkretne wydarzenie.

Katastrofę samolotu.

Vangie odetchnęła z ulgą, że rozmowa z synem odbywała się przez telefon. W przeciwnym razie nagłe drżenie jej rąk Charlie odczytałby zapewne jako objaw zagadkowej choroby neurologicznej.

- Jakiej katastrofy?

Oczywiście, doskonale pamiętała ten incydent. Wiedziała, że natrafiono na szczątki hellcata. Gdy syn zaczął jej opowiadać o odkryciu zatopionego wraka przez służby specjalne, poczuła się tak, jakby została przeniesiona pół wieku wcześniej. Jej usta wykrzywił autoironiczny uśmiech. Czy po tak długim czasie jest sens nadal milczeć? Czy komukolwiek sprawiało różnicę, skąd przybył Joe?

Liczyło się tylko to, że wkroczył w jej życie i dał jej wiele radości.

Rozdział 2

VANGIE

Po telefonie od Charliego Vangie zmusiła się, by dokończyć zmywanie. Gdy już położyła ostatni talerz na suszarce, zaczęła krążyć po domu, w którym z Johnem wychowała trójkę dzieci i spędziła większość życia małżeńskiego zasadniczo w zgodzie ze światem. Chodząc, dotykała różnych przedmiotów – zdjęcia ślubnego Amandy czy meksykańskiego konika z glinki, przywiezionego przez Julie z jej rocznej praktyki studenckiej.

Dotarła w końcu do sypialni, którą do niedawna dzieliła z Johnem. Zadumała się nad łóżkiem, służącym teraz tylko jej. Choć John po ostatnim wylewie został umieszczony w domu opieki, Angie nadal sypiała po swojej stronie łoża, zgodnie z przyzwyczajeniem wyrobionym w ciągu pięćdziesięciu siedmiu lat małżeństwa.

Przeciągnęła palcem po biurku Johna, wpatrując się w smugę kurzu, który teraz dostrzegała już tylko w pełnym blasku dnia. Drobiazgi męża nadal leżały na tym samym miejscu. Na porcelanowym talerzyku zawsze zostawiał spinki do mankietów i monety, obok szczotki do czyszczenia w kościanej oprawie, już od dawna nie używanej, i łyżki do butów. Obecnie, gdy obuwie jest wyrabiane z miękkiej skóry, taki przedmiot nie ma większego zastosowania. W domu opieki obok łóżka Johna stała szafka z głęboką szufladą, gdzie Angie trzymała jego utensylia do golenia i kieliszki do leków. Niewiele więcej potrzebował. Jeździła do niego codziennie, najpierw, żeby go ogolić, potem, by nakarmić w porze obiadowej, a wreszcie, żeby opowiedzieć wszelkie nowiny o dzieciach i wnukach, zabawiając go plotkami o sąsiadach, których pewnie już sobie nie przypominał. Ile pojmował z tej jednostronnej rozmowy, nie miała pojęcia.

U stóp ich łoża stała skrzynia wyłożona cedrem. Zrobiona z drewna czereśniowego, służyła do przechowywania zapasowych koców i pamiętek rodzinnych – ubranek dzieci do chrztu. Każdego ranka John siadał na niej, gdy wkładał skarpetki i buty. Angie otworzyła wieko i poczuła woń cedru zmieszanego ze środkami przeciw molom. Wsparta o krawędź, powoli opuściła się na kolana, jakby przystępując do komunii.

Nie potrzebowała szperać w czeluściach skrzyni, żeby znaleźć rzecz, którą chciała wziąć do rąk. Jej palce na oślep natrafiły na twardą okładkę dziennika, który umieściła dokładnie w tym miejscu całe lata temu. Ciężko podnosząc się z klęczek, zamknęła wieko i siadła na skrzyni. Rozłożyła księgę na kolanach, rozmyślając w duchu, że dzień w dzień John przebywał tak blisko jej sekretnych notatek, na szczęście całkowicie nieświadom grożącego niebezpieczeństwa. Gdyby odkrył tę część przeszłości żony, historię po prostu niemieszczącą się w jego głowie, na zawsze odmieniłoby to ich życie.

Gdy Vangie wpatrywała się w dziennik, w jej pamięci natychmiast zaroilo się od wspomnień. Nie otwierała go od czterdziestu lat, to jest od dnia, w którym włożyła go na dno skrzyni. Zabawne, że dokładnie przypomniwała sobie tę chwilę.

Pomyślała wtedy, że ukrywając dziennik pod stertą pledów, postępuje nieroztropnie. Powinna go raczej spalić. Teraz założyła okulary, uświadamiając sobie natychmiast, jaki był ostatni wpis, nim zrezygnowała z dalszego prowadzenia dziennika. Byłoby rozsądniej usunąć tę stronicę, ale słowa, jakie zapisała wówczas, były jej zbyt drogie. I teraz otworzyła księgę z lekką obawą, że po latach grzbiet się rozpadnie. Tak się jednak nie stało, robota introligatorska była porządna.

Rozdział 3

HAWKE'S COVE – 1944

17 kwietnia 1944 roku Kolejny sztorm. Najwyraźniej kwiecień lubi zachowywać się zgodnie z przysłowiem – trochę zimy, trochę lata. Liczę, że majowe żytko też dochowa wierności ludowemu porzekadłu. Deszcz leje dziś bez końca, choć nawet chmury robią wrażenie znudzonych. Może to prozaiczne, ale nieuniknione – muszę zabrać się do prania. Ted Frick, który zajrzał tu, żeby sprawdzić, czy da się zreperować linię elektryczną, orzekł, że jutro ma się poprawić. Przeżył w Hawke's Cove całe swoje życie; „Byle tak dalej” – dodał z parsknięciem.

Ja też się czuję, jakbym spędziła tu całe życie, ale w moim wypadku „życie”

oznacza ze trzydzieści letnich sezonów. Rosłam w przekonaniu, że wszystkie dzieci latem wyjeżdżają na wieś. Każdej zimy wyczekiwałam powrotu do Hawke's Cove. Nawet jako mała dziewczynka liczyłam najpierw tygodnie, a potem dni oddzielające mnie od daty, gdy rodzice wsadzali mnie w Bostonie do pociągu jadącego do Great Harbor. Byłam święcie przekonana, że babcia będzie na mnie czekać na stacji.

Chociaż muszę doglądać kanalizacji i elektryczności, szyć zasłony niezbędne w czasie zaciemnienia i zgłaszać się po kartki żywnościowe, nie jestem pewna, czy doczekam tu końca wojny. Jeśli ta wojna w ogóle kiedyś się skończy. Nie.

Nie wolno mi tak myśleć. Powinnam wykreślić tę uwagę, ale w końcu jest to mój intymny dziennik, nieprzeznaczony dla cudzych oczu.

Czekam, a czekanie kojarzy mi się z ciężą bez szczęśliwego rozwiązania, z kolei cięża przywodzi mi na myśl śmierć.

Znalazłam na dnie szuflady robocze spodnie Johna i jego kraciastą koszulę. Nie wiem, dlaczego zajrzałam właśnie do tej szuflady, no, ale trzeba trafu, że natknęłam się na jego rzeczy – cuchnące pleśnią, wilgotne w dotyku. Jeśli tylko pogoda pozwoli, upiorę je jutro. Chciałabym, aby pachniały Johnem. Przeniosłam się do Hawke's Cove po części w nadziei, że to miejsce nie będzie mi o nim przypominać. Ale wszystko się sprzysięgło, żeby było akurat na odwrót. Stale myślę o moim mężu, który nadal przebywa w Anglii, szkolony do nieuniknionej akcji bojo-

wej. Stamtąd wyślą go na front. Jeśli John wie, dokąd go skierują i kiedy, zachowuje w tej sprawie daleko idącą dyskrecję. W jego listach nie ma o tym najmniejszej wzmianki.

Kiedy byłam nastolatką spędzającą tu wakacje z babcią i z kuzynostwem, wkładaliśmy do szafy saszetki z lawendą, żeby pozbyć się uciążliwego zapachu wilgoci. Nawet teraz, gdy uchylę szufladę lub drzwiczki szafki, drewno wydaje z siebie charakterystyczny zapach. To woń lata, starego domu wiejskiego i nasączonego solą powietrza. Zapach wiosny jest inny – mokry, płodny.

Może Ted nie myli się co do jutra. Słychać, jak z bazy marynarki wojennej w Great Harbor nadlatuje samolot. Jego szum miesza się z wiosennym świergotem ptaków.

Wyszłam na dwór, kiedy ryk silnika stał się wyraźniejszy. Słońce przebiło się przez chmury, gdy samolot przelatywał mi nad głową, więc osłoniłam oczy ręką.

Patrzyłam, jak jednosilnikowy myśliwiec wznosi się wyżej i wyżej, aż zanurzył się w obłoku i zniknął z pola widzenia. Wraz z nim schowało się też słońce, a ja opuściłam rękę.

18 kwietnia 1944 roku No i Ted miał rację: po nocnej ulewie i wichurze sztorm ucichł. Dziś wyszło trochę słońca, pogoda wymagała kurtki, ale był to najcieplejszy dzień tegorocznej wiosny. Po powrocie z pralni długo stałam na wydmach, rozmarzona i zamyślona. Na jednej z wydm jest zagłębienie (zagłombienie, jak mawiają miejscowi), więc przysiadłam sobie w nim, podczas gdy moje myśli fruwały z kwiatka na kwiatek jak pracowite pszczoły. Nie zawsze jest mi tak radośnie. Ale kiedy idę na wydmy, widok mew walczących ze sobą o zdobycz lub pofalowanego wiatrem piasku przerywa ciąg ponurych wspomnień i przez kilka minut przynosi ulgę.

Może powinnam sprawić sobie psa. Niezgrabnego szczeniaka z miękkimi brązowymi oczyma i skłonnością do biegania za skunksami. „Ale co byśmy zrobili z psem w mieście?” – słyszę w wyobraźni głos Johna, choć już nie pamiętam jego zapachu.

Biedny John, nigdy nie zrozumiał mojej miłości do tej farmy. Jego z tym miejscem nie łączy historia, która pozwala nie zwracać uwagi na pewne niedostatki. W jego oczach miejscowi są nudnymi ignorantami. To jego opinia, nie moja. Spotkałam dziś panią Frick, która nie wydała mi się ani nudna, ani ograniczona. Raczej prostolinijna, tak bym ją

określiła. O wszystkich mieszkańcach tego małego półwyspu opowiada ze swadą. Siebie nazywa z dumą „doświadczoną kobietą”.

Właśnie postawiłam na tylnym siedzeniu auta kosz z wilgotnym jeszcze praniem, myśląc, że zasłużyłam na sandwicza z grillowanym serem w kafejce, kiedy obok przemaszerował naczelnik Dubee w towarzystwie oficera marynarki. Obaj na mój widok przytknęli palce do czapek, ale nie przerwali rozmowy. Kiedy w młodości przyjeżdżałam tu na wakacje, Ernie Dubee był jednym z nielicznych tuziemców znanych mi osobście. Zdaje się, że spotykał się nawet z moją kuzynką Frances tego lata, kiedy nie przyjechałam do ©bo tata ciężko zachorował. Teraz, kiedy miem na ulicy, tylko uśmiechamy się ostrożnie 17

do siebie na znak młodzieńczych wspomnień; pozdrawiamy się jak stary znajomi, którzy nie mają już ze sobą wiele wspólnego, prócz niejajnej pamięci dni spędzonych razem na plaży. Kiedy mam ochotę na dłuższą pogawędkę, pytam go, czy mam rację w sprawie Frances.

Plastikowy kontuar imitujący marmur był nadal trochę lepki, mimo że Sam Moore przetarł go na mój widok wilgotną szmatą. Choć w szkole był energiczny, teraz robi wrażenie przepracowanego. Stał, szurając stopami pod ladą, gdy tymczasem ja zagłębiłam się w lekturę odręcznie spisanego jadłospisu. Kazałam mu czekać, póki nie wybrałam tego, na co miałam ochotę przed wejściem do kafejki: sandwicz z białego chleba z grillowanym serem, herbata z mlekiem, nie z cytryną.

Zsunęłam się ze stołka barowego i czekając na zamówienie, kartkowałam stos kolorowych pism. Doszłam do wniosku, że przesłodzona okładka „Saturday Evening Post” jest w naszych czasach nieco obraźliwa, przedstawiając życie, jakie – zdaniem redakcji – być powinno. Nagle potrąciła mnie od tyłu kobieta przeglądająca pocztówki.

– Och, przepraszam. – Zacerwieniła się i dotknęła mojej ręki. – Nazywam się Judy Frick. A pani jest wnuczką Florence Bailey, prawda?

– Tak, Vangie Worth – przedstawiłam się. – A pani mąż pracuje na mojej farmie, tak? – Nie wiem, po co zadałam to pytanie. Przecież słyszałam, jak Ted wspominał o swojej żonie Judy.

– Zgadza się. Krążą plotki, że pani tu zostaje po sezonie.

– Sama jeszcze nie wiem. To zależy. – Nie potrzebowałam dodawać od czego. – Właśnie zamówiłam lunch, zostanie pani ze mną?

Może po prostu tęskniłam za zwykłą rozmową, ale naprawdę spotkanie z Judy sprawiło mi radość. Jest na tyle starsza ode mnie, by nadać ton naszej pogawędce.

Konwersacja nad dwiema filiżankami herbaty zajęła nam tak wiele czasu, że już nie zdążyłam rozwiesić prania za dnia i musiałam je zostawić. Coraz lepiej idą mi kontakty z miejscowymi. Ludzie w typie Judy, jak to bywa w małych miścinach, wiedzą, kim jestem, ale niewiele więcej. Starsi mieszkańcy rozpoznają mnie zazwyczaj dopiero wtedy, gdy wspominam babcię. Wówczas przypominają sobie, że latem przyjeżdżały do niej wnuki, ale nie pamiętają każdego z nas z osobna. Ci, co są w moim wieku, najczęściej przenieśli się do miasta i pracują w fabrykach. Większość mężczyzn – moich rówieśników – została powołana na front i służy za granicą, jak John. A poza tym wcale nie chcę, by ludzie znali moje dzieje – przynajmniej jeszcze nie teraz. Wystarczy, jeśli myślą, że czekam tu na zakończenie wojny. Wszelkimi sposobami unikam rozmów, które w naturalny sposób zmierzają do pytań w rodzaju: „Kiedy powiększycie rodzinę?”. Powiększycie rodzinę. Brzmi to jak zwrot z dziedziny ogrodnictwa.

Powiększyć działkę albo klomb. Zasiałam ziarno, które zakiełkowało i długo rosło, prawie do żniw. Myślę, że kiedyś, któregoś dnia, powstanie wiersz z tą metaforą.

Ale jeszcze nie teraz.

Dzięki Bogu, Judy rozgadała się na temat miejscowych. Oczarowała mnie uśmiechem i obserwacjami na temat wszystkich, którzy żyją w Hawke's Cove. Nie ma tu nikogo, kogo by nie znała i nie wyraziła o nim swojego zdania. „Bart Lewis, stary wyga, wyrwie parę groszy z każdej transakcji, jaką zaoferuje”. Nie wiem, o co jej dokładnie chodziło, ale jej język jest tak barwny, że nie prosiłam o wyjaśnienia.

„Musisz wziąć do malowania Edmunda Willisa. Każdy inny tylko spojrzy na ciebie i doda piętnaście procent do sumy, którą zwykle bierze”. Każdy, o kim wspomniała, miał jakiś epitet: „uczciwy”, „przemysłny”, „sprytny”, „okropny”. Zastanawiam się, jaki przymiotnik Judy zarezerwuje dla mnie.

Kiedy wreszcie wyszłyśmy z kafejki, Judy wskazała na zatokę.

– Słyszałam, że zeszłej nocy stracili lotnika. – Dostrzegłam flotyllę łodzi wypływających na połów homarów i spory kuter czekający na re-dzie.

– Wczoraj o zachodzie słońca widziałam samolot. Czyżby to jego pilot?

– Wcale tego nie wykluczam.

– Myślisz, że go odnajdą? Wzruszyła ramionami.

– Będą próbowali. – W jej głosie wyczułam rezygnację. Nie liczyła, że akcja ratunkowa przyniesie rezultaty.

Po powrocie do domu, tuż przed zmierzchem, postawiłam kosz z praniem przy sznurach i ruszyłam na wydmy wydeptaną ścieżką. Z ich najwyższego wzniesienia rozciągał się widok na wgłębienie w linii brzo-gowej, nazywane czasami Zatoczką Baileya, a niekiedy Plażą Baileya. Po-nieważ Judy zwróciła się do mnie jako do wnuczki Florence Bailey, na-tychmiast z ogromną wyrazistością przypominałam sobie postać babci. Była córką zamożnych bostończyków, która zakochała się w Henrym Baileyu z Hawke's Cove. Stworzona do balów kotyliionowych i akcji fi-lantropijnych, Florence sprzeciwiła się woli rodziców i osiadła na far-mie. Upór nie pozbawił jej jednak miłości rodzicielskiej. Kiedy pra-dziadkowie umarli, zostawili jej w testamencie niemałą fortunę. Spadek pozwolił na wysłanie do dobrych szkół nie tylko dzieci, ale i wnuków, łącznie ze mną. Jak wielu innych na początku dwudziestego wieku, tak-że jej synowie i córki, łącznie z moim ojcem, rozjechali się po świecie w poszukiwaniu życia z dala od farmy i oceanu.

Nawet w najgorszym okresie Wielkiego Kryzysu babcia mogła trzymać na farmie dwóch pracowników, chociaż obroty spadły tak drastycznie, że część zabudowań popadła w ruinę. Jednakże postanowiła całkowicie zignorować zmiany ekonomiczne zachodzące w Hawke's Cove – prze-stawianie się z rolnictwa na turystykę – i obruszała się na tych, którzy wynajmowali pokoje letnikom, by zapewnić sobie nieco lepszy byt. „Musiałby nastąpić sądny dzień, żebyście zobaczyli, jak nasza farma zamienia się w motel. Wykorzystamy papę i naszą determinację, żeby ocalić zabudowania” – przestrzegała. Jednakże na parę lat przed śmier-cią przestała zarządzać gospodarstwem. Twierdziła, że jest zbyt zmę-czona, by czuwać nad pracą siły najemnej. Gdy miałam osiemnaście lat, pokoi-k za kuchnią pozostał pusty, po raz pierwszy za mojej pamięci. Dopiero niedawno dotarło do mnie, że robotnicy rolni stracili pracę u babki w związku z kosztami mojej edukacji. Kiedy tata umarł, babcia

dyskretnie pomagała mamie finansowo, i to ona zapłaciła za moje studia w Smith College.

Nic więc dziwnego, że kiedy idę ścieżką, myślę o babci i niemal ją widzę, przypominając sobie sceny z dzieciństwa, gdy trochę się z niej podśmiewaliśmy, zaabsorbowani przez cały boży dzień zabawą i psotami. Pamiętam, jak rozparta w plecionym fotelu w kapeluszu z szerokim rondem popijała przemyconą whisky, zaciągając się kolejnym papierosem.

Rozwiesiłam teraz pranie i zadarłam głowę, żeby śledzić wzrokiem krążące samoloty, nadal poszukujące zaginionego pilota. Ponieważ baza lotnictwa znajduje się zaledwie o parę kilometrów stąd, po niebie krąży mnóstwo adeptów; hałaśliwe przypomnienie o toczącej się wojnie. Smutny to fakt, że większość stanowią chłopcy, którym powierzono męskie zadania. Dźwigają swój los jak spadochrony.

Stale zdarzają się katastrofy. W zeszłym tygodniu jeden z uczących się pilotów wylądował w stercie siana na polu Sylvestra Feeneya. Samolot zarył dziobem, a kółka podwozia utknęły w murku granicznym zarosniętym trawą. Chłopak płakał jak dziecko, kiedy wyciągano go z kokpitu. Pan Feeney, który dostarcza mi mleko, opowiadał, że pilot był bardziej przerażony wizją kary za zniszczenie maszyny niż tym, że mógł postradać życie. „Oni są zbyt młodzi na to, by pojąć, że śmierć jest nieunikniona – orzekł, ściskając banknoty, które mu dałam. – Ciągłe mają mokro za uszami”. Nie wiem, co oznacza ten zwrot, ale wyobraziłam sobie wtedy chłopczyków z wielkimi uszami, świeżo po kąpieli, z zaczesanymi do tyłu wilgotnymi włosami.

Od czasu do czasu ogłaszają tu próbny alarm. Mieszkam tak daleko od miasteczka, że gdy wieje wiatr z północy, nie słyszę syreny. Dbam, by wieczorem zaciągnąć story w oknach, ale nie jestem pewna, czy odblask lampy naftowej nie jest mimo wszystko widoczny z oceanu. Po co wystawiać się na ryzyko? W Hawke's Cove wszyscy stale plotkują o okrętach podwodnych wroga, wynurzających się u brzegu.

21'

W ciszy pochmurnej kwietniowej nocy, z jedynym w miasteczku kinem wyświetlającym budzące grozę kroniki filmowe, gazetami zapełnionymi długą listą zabitych i rannych, łatwo sobie wyobrazić niemiecką jednostkę wylaniającą się spośród fal w pobliżu skalistych zatoczek. A na-

wet cały łańcuch tych okrętów, ciągnący się wzdłuż wschodnich brzegów Ameryki. Czekających na złowrogi sygnał z Berlina.

Lepiej więc starannie zasłaniać okna.

19 kwietnia 1944 roku Źle spałam poprzedniej nocy. Moja babka poradziłaby sobie z bezsennością, wypijając szklaneczkę whisky. Ja sobie na to nie pozwalam, ale postanowiłam przy następnej okazji kupić w Great Harbor butelkę sherry w celach terapeutycznych.

Moje myśli biegną od Johna, który szczęśliwie nadal tkwi w bazie szkoleniowej w Anglii, do stanu zabudowań, aż wreszcie zatrzymują się nad moją żałobą. Niekiedy potrafię zmusić się do wypchnięcia z pamięci rozmyślań o dziecku, koncentrując się na konkretnej sprawie: jak duży ogród powinnam zaplanować? Czy należy kupić świnie? Ted Frick uważa, że bezwzględnie tak – żywić ją resztkami, a potem zjeść.

Przybyłam tu, by uciec od tłumu, czuję się jednak bardzo osamotniona. Nie mogąc myśleć o innych, jestem skazana na rozpamiętywanie własnej doli, a ponieważ mam bujną wyobraźnię, bywa to męczące. Mimo to nie chcę wracać. Tamto otoczenie jest mi zbyt dobrze znane. Nie, znane nie jest odpowiednim słowem. Raczej za wiele mi przypomina. Nasuwa myśl o innych czasach. Tam jadałam truskawki, na które miałam nieprzepartą ochotę. W sąsiednim sklepie kupiłam wyprawkę. Na tamtym krześle siedziała Henrietta, gdy się jej zwierzyłam, że jestem w ciąży. Boston wydawał mi się wtedy zaludniony ciężarnymi kobietami; zastanawiam się teraz, jak to było możliwe. Wszyscy mężczyźni przecież odjechali. John też. Zaraz, myślę kolejność zdarzeń. Przecież wyruszył na front wkrótce po tym, jak malutka umarła.

Liczyłam w duchu, że Hawke's Cove, farma babci, będzie mi przypominała jedynie o rozrywkach młodości i o wakacjach. Obiecywałam sobie, że zajmę się uprawianiem ogródka i pisanem wierszy. Zapomniałam, że tu, w staroświeckim łożu babci, nasze dziecko zostało poczęte.

Rozglądając się za sprzętem ogrodniczym, po raz pierwszy od powrotu na farmę zajrzałam do stodoły. Znalazłam części rozlicznych narzędzi, ale żadnego w całości. Żelazne grabie ze złamanym uchwytem, zardzewiała podkova. Drewnianym grabiom do siana brakuje więcej zębów niż tutejszemu staruszkowi. Natrafiam na zniszczoną skrzynkę z różnymi narzędziami – młotkami, obcęgami, śrubokrętami i przedmiotami o zupełnie niewiadomym przeznaczeniu. Ktoś je bardzo starannie poskładał i teraz czekają, by ich użyć.

Innym pożytecznym sprzętem w stodole okazuje się rower. A nawet dwa rowery.

Stały oparte o boczną ścianę, złączone jak dwie bestie. Wyciągnęłam na środek jeden z nich, archaiczny model Schwinna. Nie mam pojęcia, do kogo należał.

Postanawiam podrzucić go Sunderlandom do naprawy. W tych czasach, kiedy benzyna jest skrupulatnie racjonowana, gdy każda decyzja o jeździe samochodem budzi opory natury patriotycznej, byłoby miło używać środka lokomocji bez poczucia winy lub lęku, że zabraknie kuponów na stacji benzynowej.

Przez noc padało, tak że pranie na sznurkach zamiast wyschnąć, ocieka wodą.

Niebo się jednak przeciera, jak się tu mawia, „jak spodnie rybackie”, więc rodzi się nadzieja, że dzień będzie słoneczny. Nasza wierna południowoschodnia bryza wprawiła w ruch kraciastą koszulę Johna. To sprawiło, że jej rękaw czule objął moją wiszącą obok bluzkę.

Pojechałam długą, wyboistą drogą do Sunderlandów. Koronkowa linia brzegowa cofa

się niekiedy, tworząc małe zatoczki, nazwane imionami pierwszych osadników.

Farma Sunderlandów leży przy Zatoce Dwighta. Dowiedziałam się, że matka nieżyjącej już gospodyni była z domu Dwight i że farma powstała w czasach pionierów na tym półwyspie. Rodzina pochodziła z lojalistów i na pamiątkę tego faktu komin starego domostwa jest pomalowany na biało i czarno. W ten sposób powiadamiano brytyjskich marynarzy, że osada jest im przyjazna.

Zabytkowy dom otacza śmietnisko nowoczesności: części samochodów, wszelki złom, zużyte opony, zwoje przewodów elektrycznych, stare akumulatory, drewno opałowe.

Wszystko ułożone w sterty według kryteriów właścicieli. Jeszcze na długo przed akcją społeczną nakazującą zbieranie metalowych odpadków na cele wojenne farma Sunderlandów wyglądała dokładnie tak samo i taką ją pamiętam, odkąd zaczęłam tu przyjeżdżać na wakacje. Z tą różnicą, że jej właściciele stali się obecnie oficjalnymi dostawcami złomu, z czego czerpią niezły dochód. Mają też opinię ludzi, którzy wszystko potrafią naprawić, bez względu na to, co im się przywiezie.

Cóż to za para – podobni do siebie jak bliźniacy. Teraz już chyba po sześćdziesiątce, ale miejscowi nieodmiennie mówią o nich Chłopcy. Tu się urodzili i wychowali, Hawke's Cove opuścili tylko na czas służby w wojsku, by wziąć udział w pierwszej wojnie światowej. Kiedy zajechałam do nich, sprzeczali się, jak zreperować motor. Nie zdążyłam jeszcze wysiąść z auta, gdy zbliżył się do mnie Jake.

– To półgłówek, zupełnie nie zna się na silnikach – odezwał się na wstępie.

Mówił półgłosem, żeby złośliwa uwaga nie dotarła do uszu brata. Są nierozłączni i ponoć odnoszą się do siebie z legendarną wręcz kurtuzą. Jake pomógł mi wyciągnąć rower z tylnego siedzenia, kiwając głową w reakcji na litanie moich próśb:

– Łańcuch, naoliwić mechanizm, koła trzeba scentrować... Podeszedł do nas Howard, z daleka wykonując ten sam gest co brat, choć nawet nie słyszał mojej listy.

– Niech się pani nie turbuje. Już my się tym zajmiemy. – Jake, zapominając o skargach na brata, klepnął go po ramieniu. – Howie to zrobi. Zna się na rowerach jak nikt.

– Dobrze. Nie mam telefonu, więc dajcie mi znać przez kogoś, jak rower będzie gotowy. – Ruszyłam w stronę auta.

– Nie, sami go pani dowieziemy. Gratis – dorzucił Howie.

Gdy podskoczył, żeby otworzyć mi drzwiczki, zauważyłam kątem oka ponton leżący na trawie. Większość powietrza z niego uszła, więc wyglądał jak wielki żółty placek. Jake odnotował moje zainteresowanie.

– Znaleźliśmy go dziś na brzegu, wyrzuciły go fale. Musiał należeć do tego lotnika, co spadł do oceanu. Nadal nie natrafili na jego ślad.

– Biedny człowiek. Zastanawiam się, co mogło się z nim stać – rzekłam i podeszłam do pontonu.

– Pewnie fala go zmyła. Wczoraj ocean był groźny. Z taką tratwą niewiele się działo. – Jake i Howie z szacunkiem pokręcili jednocześnie głowami, jakby składając hołd poległemu lotnikowi.

Na myśl o śmierci w lodowatych wodach Atlantyku o tej porze roku przeszedł mnie dreszcz. Zbyt wiele wakacji spędziłam w Hawke's Cove, by nie wiedzieć o licznych przypadkach utonięcia; w ten sposób nabrałam szacunku dla nieobliczalnego oceanu.

Morze pochłaniało rybaków i dzieci, a teraz wciągnęło tego anonimowego lotnika.

I to trzy mile od rodzinnego domu, a nie trzy tysiące mil. Miałam nadzieję, że pilot wypadł z pontonu już martwy z powodu przemarznięcia. Pewnie kamizelka ratunkowa jeszcze przez jakiś czas utrzyma na powierzchni jego zwłoki. Niedługo przyływ wyrzuci je na brzeg.

– W każdym razie ci z marynarki wojennej zapowiedzieli, że rzucają okiem na ponton. Raczej go potem zostawiają.

Coś zwróciło moją uwagę, gdy wpatrywałam się w żółtą gumę. Na bocznej ścianie pontonu dostrzegłam jakieś cięcie, które wyglądało jak zaciśnięte wargi.

Pochyliłam się i wskazałam palcem na pięciocentymetrową szczelinę.

– Zauważyliście ją?

Jake i Howie spojrzeli po sobie, po czym zgodnie kiwnęli.

– Taaa, może skończył z tym wszystkim sam.

– Skończył?

Howie wzruszył ramionami.

– No, wie pani... – Przeciągnął palcem po szyi, naśladując ruch noża.

– Och. Dlaczego?

– Szybka śmierć jest lepsza od powolnej.

Było ciągle ciepło, gdy wróciłam na farmę, więc zostawiłam pranie, żeby się dosuszyło, i nalałam sobie herbaty, przeglądając przy okazji katalog nasion.

Nadal nie mam wyraźnego planu, ale lepiej będzie, jeśli zasieję rośliny w skrzynkach, zanim wymyślę, jak ma wyglądać ogród.

Tak się zaczytałam, że znowu zostawiłam pranie na dworze. Wilgotny wiatr sprawił, że ponownie nasiąkło wodą. Strzępy mgły znad oceanu wyglądają jak duchy. Podoba mi się ten widok, może opiszę go w jakimś wierszu. Wszystko to pięknie, ale trzeba odłożyć dziennik i zdjąć wreszcie pranie.

Wydarzyła się zdumiewająca rzecz. Całe ubranie Johna zniknęło ze sznura.

20 kwietnia 1944 roku Coś podobnego! Ernesta Dubea ta kradzież raczej rozbawiła, niż zaniepokoiła.

Ernie nie zmienił się tak bardzo od naszych szkolnych lat, raczej stał się potężniejszą wersją tamtego chłopca, którego znałam. Nadal jest płowłosy, choć teraz czuprynę ma krótko przyciętą, po wojskowemu. Udało mu się wyrosnąć z nastoletniej. pucołowatości. Chociaż jego tata był naczelnikiem policji za czasów naszej młodości, na posterunku z jed-

nym jedynym etatem tytuł był bardziej honorowy niż oficjalny. A teraz jestem trochę zdziwiona, gdy w tej roli spotykam Erniego. Przypuszczam, że to zawód dziedziczny, jak w rodzinach farmerów czy rybaków. Idź w ślady ojców i nie rozglądaj się na boki.

– Pani Worth, przypuszczam, że to jakiś włóczęga w potrzebie zwędził rzeczy pani męża. Jest pewnie teraz w połowie drogi do Bostonu.

Nie ma się czym przejmować. – Ernie naskrobał coś w notatniku, po czym spojrzał mi w oczy. – To nie te czasy, kiedy byliśmy dziećmi. Wielki Kryzys sprawił, że wielu mężczyzn ruszyło przed siebie. Zwyczaj dochodzą na kraniec półwyspu i zwracają.

– Ernie, ja się nie lękam włóczykiów. Chciałabym tylko odzyskać ubranie. – Siedziałam po drugiej stronie dużego stołu, którego mój kolega z młodości używał jako biurka. Leżały na nim sterty plakatów z wizerunkami poszukiwanych przestępców i raportów z okolic górskich. Znad tych papierów Ernie patrzył na mnie jak na chudą rudowłosą dziewczynkę, z którą wdawał się w bójki na plaży.

Jego kundel wylazł spod stołu i począł mnie podejrzliwie obwąchiwać. Właściciel pstryknął palcami, żeby przywołać psa do porządku, ale ten zupełnie go zignorował. Pomachał ogonem na znak, że jestem zupełnie niegroźna.

– Pal, do nogi! – krzyknął Ernie władczo i kundel z westchnieniem wrócił pod stół. – Może pani potrzebuje psa?

– Tylko jeśli mogłabym go wypożyczyć. Nie chcę trzymać psa w mieście.

– Pal, chcesz pójść do pani Worth?

Pies spojrzał na swego pana, ale nie wyraził zdania.

– Hej, Ernie, może skończ z tą „panią”, dobrze? Przecież znamy się od dziecka.

Nie odpowiedział, jedynie wzruszył ramionami i leciutko się uśmiechnął, a ja poczułam się zawstydzona, że zwracałam się do niego po imieniu.

Kiedy wyszłam z posterunku, ujrzałam idącą z naprzeciwka wąskim chodnikiem Judy Frick. Musiałam mieć zatroskaną minę, bo stanęła i szarpnęła mnie za ramię, jakby chciała wytrząsnąć ze mnie wyznanie.

– Co się dzieje, Vangie? Wyglądasz, jakbyś była zmartwiona.

W takich czasach moja mina może zapowiadać nieszczęście, więc bardzo szybko przywołałam się do porządku.

– Nic ważnego. Jakiś syn, wiesz czyj, ukradł ze sznura na bieliznę ubranie Johna.

Nie wiem, czy sprawił to mój oburzony ton, czy też jej ulga na wieść o drobnym przestępstwie, w każdym razie mocno ujęła mnie pod rękę i poprowadziła w kierunku kafejki.

– Opowiesz mi o wszystkim nad filiżanką czegoś gorącego. Przez chwilę sądziłam, że miała na myśli moje dziecko.

Nie wiem, dlaczego ta myśl przysłała mi do głowy, ale zrozumiałam, że pamięć o tej kruszynie stale mi towarzyszy i gdy tylko dzieje się coś złego, od razu przypominam sobie o jej stracie. Jednak szybko się zre-flektowałam i rzuciłam:

– Nie, zjedzmy raczej lunch. U mnie.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, natychmiast ich pożałowałam. Nie jestem jeszcze gotowa do intymnych rozmów, które towarzyszą obiadkom w cztery oczy i filiżance herbaty. Miałam nadzieję, że tego popołudnia będzie miała inne sprawy na głowie.

Niemniej właśnie słyszę, jak nadjeżdża.

Słońce chowało się już za korony drzew, gdy Judy napomknęła, że czas zbierać się do domu. Siedziałyśmy w plecionych fotelach, a przed nami na ziemi leżały naczynia i resztki posiłku. Kwietniowe słońce okazało się nadspodziewanie ciepłe.

Judy zrzuciła buty, ściągnęła pocerowane skarpetki i świecąc gołymi piętami, z rozkoszą zanurzyła palce w młodej trawie. Zrobiłam lemoniadę z cytrusów, które przyniosła ze sobą. Zużyłam tak mało mojej racji cukru, że starczy mi jeszcze na chałkę, którą zamierzam upiec. Judy ma na oko czterdzieści pięć lat i jest pulchna w miłą, macierzyński sposób. Nie ma wystających kości, tylko podolek, na którym można by się wyplakać. Nie wiem, po co to piszę, dzisiaj nie chciałam się mazać.

Skończyłam babskie wyznania, nie odsłaniając się zbyt, na przykład wspominałam o planach od dawna chodzących mi po głowie.

– Judy, nie mam pojęcia, czy przywiązywać się do tego miejsca. Bo gdy John wróci z wojny, od razu przeniesiemy się do Bostonu.

– Moja droga, nie sądzę, żeby wojna miała się skończyć, zanim zasiejesz rośliny w swoim ogrodzie, ujrzysz, jak rosną, i zbierzesz plony. Zrób przynajmniej tyle, i w ten sposób twój pobyt tutaj nabierze sensu.

Judy starała się uciszyć mój wewnętrzny niepokój. Chcę, żeby nastąpił koniec wojny, bo wtedy będziemy się z Johnem wspierali w naszym

nieszczęściu. Jeśli założę, że wojna potrwa dużo dłużej, to po prostu tego nie wytrzymam. Jednakże nadal muszę sobie udowodnić, że nie postradałam zmysłów, przenosząc się na jakiś czas do Hawke's Cove. Wcale się tu nie ukrywam, lecz pracuję. I cóż z tego, jeśli uprawiam nie poezję, lecz grządki? Pragnę poczuć w sobie żywotność.

Wspomniałam też o innym planie:

– Mogłabym hodować krowę albo świnie. Wykorzystać ziemię dla wspólnego dobra.

– Aha, to dobro przez duże D, tak? – Judy wysunęła język, żeby nie uронić ostatniej kropli lemoniady ze szklanki.

– Tak. Biorąc pod uwagę Wysięk Wojenny. Nienawidzisz tego sloganu, co?

– Nie powiedziałabym.

– No, ale ty miałaś szczęście.

– Co przez to rozumiesz?

– Twój Ted nie musiał iść na front.

– Ale poszedł Teddy. – Judy powolnym ruchem odstawiła szklankę na talerz po kanapkach i złożyła ręce na brzuchu. – Ta wojna zabrała mi syna na zawsze.

– Och, jak mi przykro. Judy, nie wiedziałam o tym.

– Skąd mogłaś wiedzieć? Nie jesteś stąd. W gruncie rzeczy nie masz pojęcia, kto w Hawke's Cove ucierpiał wskutek wojny i w jaki sposób. Przybyłaś z miasta, myśląc, że tu jest jak u Pana Boga za piecem.

Słońce tak mocno świeciło za plecami Judy, że musiałam zasłonić oczy dłonią. Nie widziałam jej miny, ale poczułam, że wskutek błędnych założeń swoją nierozważną uwagą być może zniweczyłam załazek nowej przyjaźni.

– Judy, bardzo przepraszam. Zbyt dużo mi się czasami wydaje.

– Wiesz, co moja mama mówiła w takim wypadku? – I Nagle parsknęła śmiechem, przełamując napięcie między nami. – Człowiek, zakładając, że coś jest tak i tak, nakłada na siebie chomąto.

Wyciągnęłam rękę i ścisnęłam jej pulchną dłoń. Zrewanżowała się tym samym i poczułam, że jest gotowa do zawarcia ze mną bliskiej znajomości.

Lampa naftowa w kuchni rzuca niepewne cienie w chwili, gdy piszę te uwagi. Myślę o Judy i o jej żałobie, zastanawiając się, dlaczego nie mogłam się przemóc i opowiedzieć o mojej stracie. Chyba dlatego, że każ-

da z tych śmierci jest tak odmienna. Okoliczności różnią się dramatycznie, porównania są nie na miejscu.

Rozmyślałam nad tym, czy utrata dziecka, które wychowywało się w radości i w smutku, jest równie ciężka, jak odejście ledwie narodzonego. Nie mogę się odwołać do żadnych wspomnień o malutkiej, został mi tylko dogłębny żal. Judy natomiast pamięta swego syna jako w pełni ukształtowanego człowieka. Ona widzi puste miejsce przy stole, ja mam przed oczami jedynie malutką trumienkę. Ona pamięta jego dzieciństwo, ja mogę je sobie tylko wyobrazić. Ach, zachowałam się jak tchórz, bo nie chciałam podjąć tego tematu lub choćby o nim napomknąć. Judy powiedziała o swoim nieszczęściu zwyczajnym tonem. Chcesz mnie poznać, to musisz wiedzieć, co przeżyłam. Kiedy wyraziłam słowa współczucia, nie chciała ich roztrząsać.

– Vangie, ty też musisz sobie poradzić. Po prostu żyć dalej. Teddy był pierwszym z miejscowych poległym na froncie. Całe miasteczko obchodziło żałobę wraz ze mną.

Z początku nie mogłam znieść tej nadmiernej troskliwości, tych przejawów sympatii na każdym kroku. I wtedy zginął drugi chłopak z Hawke's Cove, i znów oplakiwało go całe miasteczko. Wtedy zrozumiałam, że tutaj ci chłopcy byli kochani. Oni należeli nie tylko do swoich matek, ale i do wszystkich stąd. Moja żałoba była żałobą pozostałych ludzi. Widzisz, Vangie, nas jest tu w sumie paręset mieszkańców. Dzielimy się rozpaczą i radościami każdego z nas.

Zastanawiam się, czy było to zaproszenie do życia we wspólnocie.

1 maja 1944 roku Nie jestem zbyt systematycznym dziejopisem. Może to sprawiło cudowne wiosenne powietrze, które każe mi pracować na dworze, w moim własnym ogrodzie. Resztki ochoty do pisania używam na cotygodniowe listy do Johna. Wpisy do dziennika są więc jak odgrzewane kotlety. Opisuję mu pogodę i spotkanie z Judy Frick.

Wszelkimi siłami staram się, by listy zawierały różne nowinki i były utrzymane w lekkim tonie. Zrobiłabym niewłaściwie, gdybym go obarczyła swoimi lękami. Jest główną ich przyczyną, ale jak mogłabym mu to wyznać? Zresztą odpisałby: „Nie ma powodu do niepokoju. Co będzie, to będzie”. John jest pragmatykiem. Żadne z nas nie pisze zbyt wylewnie. Wydaje mi się, że od śmierci malutkiej trzymaliśmy się na pewien dystans. Powtarzam sobie w duchu, że byłoby niesprawiedliwie,

gdybym dodawała Johnowi zmartwień, więc z tego powodu opisuję zwyczajne rzeczy.

Jednakże odkrywam w sobie pewną sprzeczność: istnieją sprawy, których nie chciałabym zawrzeć w liście, ale mam ochotę uwiecznić je na papierze. Kiedyś wszystko to będzie jak spłowiwały haft, a pragnęłabym pamiętać, jakie było, gdy to przeżywałam. Powtarzam sobie, że najwyższy czas znowu wrócić do poezji. Nie wystarczy coś sobie mamrotać, kiedy człowiek by chciał, żeby go publikowano.

Muszę się skupić, zbierać myśli i obserwacje, a następnie przekuć je na wersy.

Wczoraj wieczorem byłam na kolacji u Fricków. Ernie Dubee też przyszedł, dodatkowy mężczyzna do towarzystwa dla wojennej żony. Głównym tematem rozmowy przy stole były lokalne plotki, padło trochę uwag o polityce. Czy już słyszeliśmy, że Everett ubiega się o bezprecedensową jedenastą kadencję radnego?

Stary lis tak długo zajmował swoje stanowisko, że jest już w zasadzie do niczego, ale nikt nie ma sumienia, żeby głosować przeciwko niemu. Znałam Everetta bardzo pobieżnie, jako sprzedawcę w sklepie żelaznym, w którym moja babcia zaopatrywała się w gwoździe i haczyki do obrazków. Nie mogłam go sobie wyobrazić w innym stroju niż w skórzanym fartuchu, którym był przepasany, gdy stał za ladą, mając załknięte różne przyrządy w kieszeni na piersi. Stale grzebał w pojemnikach ze śrubkami i całówkami.

Z początku myślałam, że to ze względu na mnie tak mało rozmawiano o wojnie, prócz zwykłych narzekań na złe zaopatrzenie i handel kartkami na czarnym rynku.

Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że milczano na ten temat z uwagi na Erniego. Ten, będąc w wieku, w którym wszyscy jego koledzy walczyli za oceanem, pozostał na miejscu jako podwójny zakładnik sytuacji – musiał czuwać nad bezpieczeństwem miasteczka, a zarazem był jedynym opiekunem starej i schorowanej matki.

Ernie był jedynakiem, późnym dzieckiem i pamiętam do dziś, że pani Dubee budziła w nas strach, gdyśmy przyjeżdżali na wakacje. Jej publiczne targanie Erniego za uszy było dla nas wstrząsające i zawstydzające. Rozbiegaliśmy się spóźnieni na kolację z poczuciem grozy. Kiedy naczelnik policji Dubee senior stracił przytomność za kierownicą służbowego auta i zaraz potem zmarł, Ernie, zaledwie szesnastoletni, został

odtąd ofiarą humorów i finansów matki. Polisa na życie ojca okazała się zbyt skromna, więc zaraz po maturze Ernie musiał zarabiać na chleb dla siebie i rodzicielki. Stara jędza nie dopuściła nawet, żeby się ożenił, ale o tym Judy obiecała opowiedzieć przy innej sposobności.

Na koniec obie dołożyłyśmy naszym partnerom w lokalnej grze w karty.

Nie mam ochoty się położyć, więc wracam do dziennika. Systematycznie go prowadząc, znowu odkryłam, jakie to przyjemne. Ciągle myślę o tamtym wieczorze.

Od tak dawna nie przebywałam wśród ludzi. Już miałam Judy odmówić, gdy uświadomiłam sobie, że sprawi mi to przecież frajdę.

Składkowy posiłek (przyniosłam zapiekankę z fasolki szparagowej), wspólna gra w karty. Minęło pięć miesięcy od tamtych strasznych wydarzeń – śmierci malutkiej i nagłego wysłania Johna na front. Jeszcze wczoraj nie mogłam sobie wyobrazić, bym potrafiła się śmiać w głos. A tej nocy zaśmiewałam się z głupawych historii i nie najlepszych dowcipów.

Nie uważam, abym miała naturę szczególnie podatną na długą żalobę. Byłam zawsze radosnym stworzeniem, naczelnym wesółkiem w rodzinie. Przeżywanie mojego nieszczęścia było dla mnie czymś tak nowym, że wielokrotnie nie wiedziałam, jak się zachować. Niekiedy myślę, że jestem tym już tak zmęczona, iż zaraz się otrząsnę. Ale w następnej chwili całkowicie się mu poddaję, czuję się winna z powodu nielojalności. Nie umiem określić, czy to wina wobec Johna, czy wobec mojej kruszynki, czy też po prostu bierze we mnie górę czysta żaloba.

Zastanawiam się, czy to doświadczenie zmieni mnie dożywotnio? Czy też moje dawne „ja” kiedyś zwycięży?

Po powrocie od Judy i Teda przez dłuższy czas stałam na ganku z tyłu domu.

Powietrze było rześkie, ale rzeškością nie jesienną, lecz wiosenną. Ptaszki, które wcześniej się budzą, już dawały o sobie znać, dzięki nim cisza nie była całkowita. Ponieważ zostawiłam na dworze rower, a chmury w moim mniemaniu zapowiadały deszcz, wprowadziłam go do stodoły. Cóż za dziwne uczucie. Miałam niepojęte przeświadczenie, że nie jestem w niej sama. Czy usłyszałam coś niepokojącego, czy też może jakiś obcy zapach wzbudził we mnie czujność? Księżyc nad chmurami był w pełni, więc w ciemnościach dostrzegałam cienie, ale

nic się nie ruszało. Wstrzymałam oddech i wtedy dotarł do moich uszy chrobot gryzoni. Te małe dranie gryzły coś na belce nade mną.

Moja wyobraźnia jest doprawdy zbyt rozwinięta. Pozbywam się strachu, ale postanawiam zamknąć się w domu na klucz. I może wypożyczyć Pala.

Stary piec kuchenny daje ciepło, gdy siedzę tu i piszę dziennik. Na górze nadal sobie pozwalam na piecyk na ropę, by ogrzać sypialnię przed pójściem do łóżka.

Ale ze względu na Johna, który się o mnie lęka, nigdy nie zostawiam go na noc.

Rozmyślałam, czy będę zdolna tu mieszkać, jeśli ta niekończąca się wojna przedłuży się do następnej zimy. Nie potrafię przyjąć do wiadomości, że mogłaby trwać jeszcze cały rok. Może jesienią wrócę do Bostonu; powiedzmy, że spędzę długie wakacje w Hawke's Cove. I nic więcej. Trzeba się zastanowić, jak tu przystąpić do działania, zanim nadejdą upalne dni na plaży. Ciekawe, czy do tego przywyknę?

Przedtem tak nie myślałam, ale teraz jestem odpowiedzialna za wszystko – za dom, ogród, rozwalającą się stodołę, a na dodatek za podatki. Śmieszne, że to akurat na mnie spadło. Może babcia wiedziała, że byłam tą osobą, która najbardziej lubiła farmę. Moja mama po śmierci ojca nie chciała mieć z nią do czynienia. Wuj George uważał ją za brzemień ponad siły i odetchnął z ulgą, gdy wykonawca testamentu babci oznajmił, że ja zostałam jej spadkobierczynią. Frances z pewnością wie, że może mieć tu wiele do powiedzenia, ale jej życie na Zachodnim Wybrzeżu nie zachęca do wizyt w stanie Massachusetts. Zwłaszcza teraz, gdy pracuje w zakładach lotniczych. Od dawna nie słyszałam nic o Steviem, wysłanym gdzieś na Pacyfik. Modlę się za niego każdego wieczoru, prosząc Boga o jego powrót w całości i w zdrowiu. Jakże byłoby dobrze, gdyby można było dzielić to miejsce z nimi obojgiem. Może za parę lat i oni, i my będziemy mieli dzieci.

Usiądziemy wszyscy w wyplatanych krzesłach i popijając whisky, będziemy patrzeć, jak bawią się w podchody albo chowanego w tej wielkiej stodole. Powinam się zająć jej remontem, bo tylko w ten sposób przetrwa następne dziesięć lat.

Co Judy mówiła? Zostań od siewów do zbiorów, żeby nadać sens ucieczce z miasta?

Już dawno minęła północ. Zastanawiam się nad tym, co zapisałam, i dziwi mnie, że zaczynam rozmyślać o przyszłości. Próbowałam zasnąć, ale obudziłam się przemarznięta, zgnębiona snami, które nie są niczym innym jak codziennymi zmartwieniami zamieniającymi się w abstrakcyjne obrazy. Choć w pokoju nie jest zbyt zimno, ten chłód pochodzi od środka. Od tak dawna nie przytulałam się do nikogo, że nie jestem w stanie wyprodukować własnego ciepła, mimo trzech koców, którymi się okryłam. W ciąży było mi stale za gorąco. Byłam okropna dla Johna, który wracał do domu tylko na przepustki w czasie weekendów. Zrzuciłam na niego kołdrę, aż wreszcie przenosiłam się z łóżka na kanapę. Jakżebym chciała zachować trochę tamtego ciepła. Rozmyślam, czy jeszcze będzie mi dane spać obok niego. W nocy najbardziej za nim tęsknię.

Nie czekał, aż zostanie powołany. Zgłosił się na ochotnika parę tygodni po Pearl Harbor. Mając dyplom wyższej uczelni, został natychmiast skierowany na obóz dla kadry oficerskiej. Byłam taka zła. Nie dlatego, że się zgłosił. Jakżeby mógł tego nie zrobić? Wpadłam we wściekłość dlatego, że najpierw dostał kartę powołania, a dopiero potem mnie o tym powiadomił. To dla niego typowe – układa sobie w głowie jakiś plan i zawiadamia mnie o nim w ostatniej chwili. Chciałam, aby odczekał do jesieni, ale oświadczył, że to nie ma najmniejszego sensu.

Oskarżyłam go, że idzie do wojska wiosną, by uniknąć wakacji w Hawke's Cove.

Usłyszałam w odpowiedzi: „Evangeline, trwa wojna. Nie możemy zważać na takie bałamutne sprawy. Ty też powinnaś się zgłosić do pracy, a nie rozkoszować się plażą”.

Kiedy po raz pierwszy zjawił się w domu prosto z obozu szkoleniowego, jeszcze w mundurze, pomyślałam, że wygląda jak obcy. Wełniana tkanina jego marynarki była tak ostra, że chwilę się zawahałam, nim go objęłam. Nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, że jego doświadczenia wojenne oddzielią nas od siebie również w sensie psychicznym. Ja nie potrafię wyobrazić sobie jego życia, a on nie będzie umiał podzielić się ze mną tamtą rzeczywistością. Jego listy właśnie o tym świadczą.

Są neutralne w tonie, pozbawione zwierzeń. Ale niespodziewanie, w czasie naszych wakacji tutaj, gdy John był na przepustce, zaszłam w ciążę. I nagle moje własne doświadczenie stało się zupełnie odmienne

od jakichkolwiek jego wyobrażeń. To sprawiło, że przestałam być wobec niego taka niecierpliwa.

Jeszcze jedna okropna myśl chodzi mi po głowie. Zbyt okropna, by ją zanotować, ale jednak to zrobię. Była tak długo ukryta w najgłębszych zakamarkach mojego mózgu, że z ogromnym trudem teraz się do niej przyznaję. Nigdy nie zamierzałam zająć w ciąży. Wcale nie przyjąłam tej nowiny z radością, mimo entuzjazmu Johna.

Oznaczało to odłożenie planów życiowych. Chciałam zrobić dyplom, pragnęłam wykładać. Obrzydliwe, egoistyczne uczucie. Kiedy John właśnie w tym pokoju zasugerował którejs nocy, byśmy spróbowali porządk dziecko, dosłownie mnie zatkało. Jak zwykle, wyjaśnił mi metodycznie, dlaczego powinniśmy się o nie postarać, no i zabraliśmy się do robienia dziecka. W trakcie tej czynności przez cały czas obliczałam, w jakiej jestem fazie cyklu. Miałam nadzieję, że szczyt płodności jeszcze nie nastąpił, więc sugestia Johna okaże się bezowocna. Myliłam się jednak, bo zaszłam w ciążę natychmiast. Jeszcze raz John wcielił w życie swoje plany. I wówczas, jakby za sprawą magii, ja też zapragnęłam tego dziecka.

Wszystkie inne sprawy zeszyły na drugi plan i musiałam przyznać, że John miał rację. Powiedziałam to jednak w duchu, nigdy na głos. I teraz niekiedy zastanawiam się, czy John nie sądzi, że byłam zbyt słabo przywiązana do naszej kruszynki.

Jest tak cicho, nawet ćwierkanie ustało. Słyszę buczenie boi na oceanie, dochodzące nawet przez zamknięte i szczelnie zasłonięte okna. To zbyt skomplikowany sygnał, żeby potraktować go jak kołysankę, niemniej zaczynam wsłuchiwać się w dzwon. Liczę uderzenia – sześć... trzy... siedem uderzeń.

3 maja 1944 roku Złożyłam dziś wizytę dwóm paniom o tym samym imieniu – Ruth. Ruth Banks i Ruthie Jones. Dwie starsze damy z pasją ogrodniczą. Przyjaźniły się z babcią, więc trochę mi było wstyd, że wcześniej ich nie odwiedziłam.

Kiedy dotarłam do ich domu z widokiem na Dziurę Francuza, jak się nazywa ta zatoczka, obie głośno narzekały na kradzież. Ze sznura do suszenia bielizny ktoś podwędził koc z monogramem Ruthie Jones. Powiesiła go, by się przewietrzył po zimie. Ten incydent przypomniał mi o kradzieży na moim podwórku, więc im opowiedziałam, że ktoś ściągnął ubranie Johna. Trochę pojęczałyśmy na temat upadku obyczajów,

ale cała ta sprawa niepokoi mnie coraz bardziej. A jeśli ten włóczęga, który wedle Erniego już dawno sobie stąd poszedł, nadal tu tkwi, to co jeszcze może się stać?

Zostałam na herbacie, pilnując, by rozmowa znowu nie zeszła na niebezpieczne tory, i zachęciłam obie panie do udzielenia mi wskazówek ogrodniczych. Ruth Banks, ubrana jak nastolatka w drelichowe spodnie z podwiniętymi do kostek nogawkami i w męską koszulę, miała tyle ziemi za paznokciami, że zaczęło mnie zastanawiać, czy to może jeszcze z zeszłego roku. Zerknęła co chwila na Ruthie Jones, która fruwała wokół nas, gdyśmy usiadły w różanym ogrodzie na pomalowanych na biało żeliwnych ławkach. Dopiero wtedy, gdy Ruthie doszła do przekonania, że spełniła wszelkie nasze życzenia, przysiadła przy nas i w mgnieniu oka zasnęła, z małutkimi rękami złożonymi na podołku. Te dłonie wyglądały jak dwie gołębicę.

Ruth Banks z dumą podkreśla, że przetrwały z Ruthie dłużej niż niejedno małżeństwo. Zdołałam zaobserwować, że równa doza cierpliwości i podenerwowania trzyma je pod jednym dachem od tylu lat. Niektórzy utrzymują, że jedna z pań była kiedyś mężatką, a drugą rzucił kochanek, ale podejrzewam, że te szczegóły zostały zmyślone w sposób charakterystyczny dla zamkniętej zbiorowości, która chroni siebie przed przybyszami.

Kiedy odchodziłam, Ruthie Jones wręczyła mi ogromny bukiet żonkili wykopanych z klombu na prawo od ścieżki do Dziury Francuza. Umieściłam je w koszyku, który miałam zamontowany na rowerze, i z podrygującym kwieciem ruszyłam przez pola do siebie. Bukiet nie był porządnie związany i po drodze gubiłam śliczne świeże kwiaty. Szczęściem nikt nie widział, jak zawróciłam i na czworakach zbierałam swoje zguby. I oto gdy wstałam z klęczek, ujrzałam go! A raczej dostrzegłam kraciatą koszulę Johna, jak zniknęła w krzakach na obrzeżu pola.

– Hej! – krzyknęłam. – Stać! – Byłam jednak za daleko, by go dogonić, jeśli w ogóle zamierzałam rzucić się w pościg za złodziejem. Cóż by to był za tytuł dla lokalnej gazety: „Wściekła kobieta z pękiem żonkili ściga złodziejaską”. Już widzę tę wiadomość. Porozmawiam z Erniem i zakomunikuję mu, że ten cwaniak żyje tu sobie w najlepszej.

Z radością odnotowuję, że mój ogród dobrze się rozwija. Wczoraj zajmowałam się sałatą i cukinią, a w małych pojemnikach pojawiają się zdrowe pędy roślinek.

Ostrzeżono mnie, że zrobiłam zbyt gęstą rozsadę pomidorów i że muszę jak najszybciej zainstalować ogrodzenie przeciwko sarnom i dzikim królikom.

Przypuszczam, że zwrócę się z tym do kogoś, bo nie wyobrażam sobie, abym sama potrafiła wkopać słupki. Widzę mój ogród jak z dziecięcej baśni, ale Pan Królik musi się od niego trzymać z dala.

Ted bardzo solidnie zadbał o przewody elektryczne. Ktoś z elektrowni ma się tu pojawić na początku przyszłego tygodnia i podłączyć do prądu wszystkie te kable, które Ted pracowicie przeciągnął w całym domu. Dosyć to okropna płatanina na ścianach, sufitach, kończąca się skrzynką wystającą na wysokości schodów do piwnicy. Założył nawet dodatkowe korki, na wypadek gdybym zainwestowała w lodówkę. Teraz wystarczy mi lodówka starego typu – metalowa szafka z miejscem na bryłę lodu. I tak niewiele w niej trzymam.

3 maja – popołudnie Dostałam list od Johna. Pocziarz Roy Tingler mrugnął do mnie, gdy podeszłam do swojej skrytki, więc zorientowałam się, że czeka mnie coś innego niż cotygodniowy apel matki, abym zrezygnowała z pustelniczego życia.

Żeby przeczytać list w spokoju, poszłam do niewielkiego parku z widokiem na zatokę. Papeteria lotnicza jest taka niepraktyczna; papier szybko nasiąknął wilgocią od moich palców. Usiadłam na ławce oddzielonej od ścieżki szpalerem krzewów. Było tu zacisznie, choć zauważyłam braci Sunderlandów przyglądających mi się z dróżki wzdłuż oceanu. Howie, a może raczej Jake, pomachał mi na przywitanie. Uniosłam rękę z listem, a on w odpowiedzi rozczapierzył palce w znaku zwycięstwa.

Listy Johna mówią tak mało, a cenzor na dodatek wykreśla tak wiele. Mój mąż w ogóle nie zdradza, co robi, a jedynie wspomina nie „kumpli”, jakby powiedzieli Amerykanie, lecz „współtowarzyszy broni” i miary brytyjskie, zatem przypuszczam, że nadal jest w Anglii. Ale, jak sądzę, coraz bardziej przygotowuje się do przerwania w inny rejon. Czuję się tak, jakbym patrzyła w lustro oceanu – tylko na płdźnie coś widać. Ten człowiek tkwił tak mocno w moim życiu, a teraz nie mogę ujrzeć w myślach jego twarzy.

John podpisał list jak zwykle: Kocham cię. Tęsknię za tobą. Twój mąż, John.

Ani razu w żadnym z listów nie wspomniał o dziecku. Naprawdę nie wiem dlaczego.

Czy zakłada, że jeśli nie poruszy tego tematu, to ja o nim zapomnę i się nie zasmucę? A może po prostu maleńka już nie jest ważna w jego życiu, które przyszło mu pędzić tak daleko?

10 maja 1944 roku Spotkałam go dzisiaj. Tego człowieka w niebiesko-czerwonej koszuli Johna. Po raz pierwszy w tym roku wybrałam się na plażę. Woda jest zbyt zimna, żeby w niej pływać, ale powietrze nagrzało się od słońca, więc włożyłam kostium kąpielowy.

Zdrzemnęłam się na piasku, czując na plecach coraz silniejszy żar. Nie spałam mocno, właściwie zamknęłam oczy i poddawałam się ciepłu. Do mych uszu dobiegł odgłos kroków na piasku. Kiedy siadłam, ten człowiek stał pochylony nade mną, jakby chcąc mnie obudzić.

– Pani się spieczę.

Od razu uprzytomniłam sobie, że ma rację. I zaraz potem zorientowałam się, że ma na sobie ubranie Johna.

– Skąd pan ma te rzeczy?

Patrzyliśmy na siebie przedzieleni kocem. Majowa bryza na moich rozgrzanych plecach przyprawiła mnie o dreszcze.

– Z domu towarowego – odparł bez chwili wahania. Poczułam, że oblewam się pąsem.

No jasne. W spodniach i koszulach Johna nie było nic nadzwyczajnego. Połowa mężczyzn w Hawke's Cove nosi takie same. Prócz tego, że kieszonka na jego kraciastej koszuli siepie się od ciągłego noszenia w niej pióra. Na koszuli tego mężczyzny po kieszeni został kwadrat w wyraźniejszy wzór.

– Przepraszam. Po prostu... nie wiedziałam, co powiedzieć.

– W porządku. Pani mąż?... – Pytanie było na tyle ogólne, że można było odpowiedzieć cokolwiek, więc dość łatwo wybrnęłam, opowiadając o kradzieży rzeczy ze sznura.

– Nie umiem wyjaśnić, dlaczego aż tak się tym przejęłam. To były już znoszone ubrania i John – no cóż – szybko ich nie włoży.

Okryłam plecy płaszczem kąpielowym i przewiązałam się paskiem. W tym stroju poczułam się nieco pewniej, więc postanowiłam się przedstawić:

– Jestem Vangie Worth.

Dziwne, w jaki sposób wypowiedział swoje imię. Gdy podałam mu swoje, robił wrażenie, jakby zapomniał, że też wypada dokonać prezentacji. Wreszcie rzekł z ociąganiem:

– Joe. Joe Green. – Jakby wypowiadał je po raz pierwszy w życiu. Zastanawiam się, czy nie jest może ofiarą bombardowania, chociaż w jego oczach nie zauważyłam charakterystycznej pustki, jaką dostrzega się u powracających weteranów wojny, cierpiących na stany lękowe. Nie, jego błękitne oczy były pełne życia i wpatrywały się we mnie najwyraźniej zadowolone ze spotkania. Ręce mu nie drżały. Zaskoczyło mnie, jak gładkie i ciepłe miał dłonie, gdy wymieniliśmy uścisk.

– Pani Worth, może pani tak się przejęła kradzieżą, bo to ubranie było częścią pani życia przed wojną. Jakaś pozostałość lepszych czasów.

Wiem, że Ernie nie będzie zachwycony, gdy mu oświadczę, że Joe Green nie jest człowiekiem, którego szukamy. Dość mi się spodobał.

14 maja 1944 roku Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Chociaż dzień w dzień poświęcam parę godzin na pracę w ogrodzie, choć jeżdżę codziennie do miasteczka, stałam się taka pobudliwa, jakbym się czegoś spodziewała. Czy raczej kogoś. Może to naturalna reakcja na cudowną wiosenną pogodę. Instynktowny czas nadziei, czekania, planowania, rozrodu. Pewnie myślę nudę z oczekiwaniem. Ale przecież mam mnóstwo do zrobienia – więcej, niż mogę nadażyć. Jak więc mówić o nudzie? Dni schodzą mi na różnych zajęciach domowych, czytam wskazówki na temat wekowania i marynowania, licząc optymistycznie na obfite zbiory. Powinnam odmalować salonik. Nie sądzę, by za mego życia ktoś go odnawiał. Niebieska farba zostaje mi na rękach, gdy tylko dotknę ściany.

Niekiedy to uczucie oczekiwania zmusza mnie do wyjścia na dwór i spacerowania całymi godzinami. Dziś zmieniłam stałą trasę wzdłuż oceanu i ruszyłam przez las, by dostać się na pastwiska po różnych śladach. Każda społeczność – czy to jeleni, czy krów, czy ludzi – zostawia ślady szczególne dla swego gatunku – wąską dróżkę, skopaną ścieżkę, koleiny dwukółki. Jedno prowadzi do drugiego, a ja podążam każdym śladem, jaki wypatrzę pod nogami.

Gdybym miała czas i energię, by pójść przed siebie na zachód, dotarłabym w końcu do mostku przez solanki oddzielające nas od Great Harbor. Tradycyjne spory u nas dotyczą topografii: czy mianowicie Hawke's Cove jest półwyspem – tak uważa większość, czy raczej wyspą. Niektórzy tradycjonaliści utrzymują, że słone bagna w czasie powodzi liczą się jako woda. W każdym razie ten mostek nadaje Hawke's Cove pewien rodzaj niezależności.

Kiedyśmy wczoraj wieczorem omawiali tę sprawę przy kartach, Ted powiedział, że istnieją ludzie starej daty, którzy nigdy nie przeszli na drugą stronę mostu. Bo uważają, że jest im to zupełnie niepotrzebne. Odrzuciłam tę teorię jako miejscową legendę.

– Przecież pod mostem nie ma podstępnych duszków – odezwałam się. Ted rozłożył karty i zaczął je z uwagą studiować.

– Naprawdę? – rzekł ze śmiertelnie poważną miną, na co wszyscy dostaliśmy spazmów ze śmiechu.

A jednak, po powrocie z moich długich spacerów, gdy zmuszam się do zjedzenia czegoś na kształt porządnego posiłku, czekam. Staję na tylnym ganku, wyrzuciwszy większość jedzenia do pojemnika na śmieci, i wyczekuję w ciemności. Wsłuchuję się. Nie lękam się niczego, lecz czekam. Spodziewam się nadejścia Johna, który mi powie, co mamy dalej robić. Nigdy nie wspomniał, że będziemy się starali o następne dziecko. Szukam w pamięci każdej jego uwagi wypowiedzianej przy moim łóżku w szpitalu. Od wykrochmalonych na sztywno prześcieradeł bolały mnie starte łokcie. Czy choć raz powiedział: „Jak wrócisz do domu, będziemy starać się od nowa?”. Nie pamiętam.

Będzie dużo lepiej, gdy już doprowadzą elektryczność. Sprawię sobie radio, które zagłuszy ciszę i złagodzi napięcie oczekiwania.

14 maja 1944 roku Znowu widziałam dziś Joego Greena. Gdy na czworakach przeszukiwałam piasek na plaży, by znaleźć szkiełka oszlifowane przez fale, ujrzałam nagle przed sobą ślad jego stóp. Zdobyłam nad nim przewagę. Rozparł się na skałce, do której można dotrzeć tylko w czasie odpływu. Przez dłuższą chwilę nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, głęboko pogrążony w myślach. Palił papierosa, zaciągał się powoli i wydmuchiwał dym jakby niechętnie. Następnie zgasił niedopałek na kamieniu i ostrożnie umieścił go w paczce, którą włożył do tylnej kieszeni spodni. Ta czynność sprawiła, że w końcu mnie dostrzegł i uśmiechnął się, jakby spodziewając się tego spotkania.

Ja też się uśmiechnęłam w odpowiedzi, pomachałam i ruszyłam w jego stronę. Joe, niezbyt wysoki, jest dość chudy, nie wiadomo, czy z natury, czy wskutek jakiejś choroby. Nosi brodę, co jest obecnie raczej nietypowe, ale mam wrażenie, że nie jest to celowy zabieg, raczej wynika z okoliczności, nad którymi nie panuje. Mam ochotę go podkarmić.

– Przepraszam, nie chciałam zakłócać pańskiej samotności. Wyprostował się.

– Ależ to miła przerwa. Nie jestem dla siebie najlepszym towarzyszem. W naturalny sposób wyrównaliśmy krok, idąc brzegiem, tuż obok języków wody na wilgotnym piasku. Joe zauważył, że zbieram szkiełka, więc wypatrzył dla mnie parę sztuk, które włożył mi do ręki w trakcie rozmowy. Poruszaliśmy obojętne sprawy: pogodę, szczególne piękno nadmorskiego krajobrazu, przewrotność maja; gdy człowiek już go polubi, następuje czerwiec. Żadne z nas nie zadawało pytań, jakiś instynkt kazał nam wstrzymać się od tego, co uprzejmość nakazuje nowym znajomym. Po dwudziestu minutach dowiedziałam się o nim tyle, by sprawiło mi to przyjemność. Joe Green jest zabawny, z daleka potrafi rozpoznać różne gatunki ptaków, z wprawą rzuca kamykikaczki. Wcale nie potrzebuję wiedzieć, skąd tu przybył i co robi. Jest po prostu miłym facetem. Nie ma na sobie ubrania Johna. Nie umiem określić, czego dowiedział się o mnie.

– Tu muszę panią pożegnać – rzekł, gdy stanęliśmy na dróżce wydeptanej przez jelenie i prowadzącej do lasu w głąb łądu. – Dzięki za wspólny spacer.

Wyciągnęłam rękę, którą on przytrzymał odrobinę dłużej, niż należy, ale nie do tego stopnia, abym chciała ją wyrwać.

Gdy ruszyłam w stronę domu, obróciłam się i zauważyłam, że Joe też się obejrzał.

Pomachaliśmy do siebie, śmiejąc się z tego zbiegu okoliczności.

Wiem, że nie wspomnę o tej chwili nikomu. Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła, to uwagi ze strony Judy czy Erniego. A zwłaszcza Johna.

19 maja 1944 roku Dziwne, że piszę dziennik w biały dzień, ale deszcz zmusił mnie do przerwy w pracach polowych, a na porządki domowe nie mam ochoty. Rośnie ciasto na chleb.

Zachęcam je do szybszego wyrośnięcia, stawiając dzieżę obok pieca z otwartym piekarnikiem. Ciepło sprawia, że w kuchni nie ma zwykłej wilgoci. Gdy nie mogę się oddać zajęciom ogrodniczym, czuję się jak balon z wypuszczonym powietrzem, zdany na poddmuchy wiatru.

Co nowego powinnam tu odnotować? Dla przyszłych pokoleń i na taką okazję, kiedy sama będę chciała przypomnieć sobie dawno przeżyte chwile? Chodzi o drobiazgi, o szczegóły, z których utkane jest życie. Że na przykład lniana ściereczka przykrywająca ciasto jest błękitnobiała, że dzieża należała jeszcze do mojej babki, która otrzymała ją w prezen-

cie ślubnym, że odór ropy naftowej przywołuje dawne wspomnienia, kiedy w chłodne lipcowe dni podpalałyśmy z babcią w piecu.

Że jeśli głęboko się zastanowię, pamięć tamtych dni przysłoni dzisiejsze niewesołe refleksje.

Po raz pierwszy, odkąd tu wróciłam, poszłam na nabożeństwo. Po odjeździe Johna regularnie chodziłam do kościoła. W niemal zabobonny sposób pragnęłam, aby moje modlitwy o jego szczęśliwy powrót odbywały się w miejscu do tego przeznaczonym, jakby domowe modły nie spełniały tego warunku. Czy Bóg przychylniej wysłucha ich w świątyni?

Zatem w niedzielę udałam się do drewnianego kościółka pod wezwaniem świętego Łukasza. Niewiele się zmienił od czasu, gdy przychodziłam tu jako dziewczynka,

zasiadając na ławce obok babci wystrojonej w suknię z wykrochmalonymi mankietami i kołnierzykiem, w kapelusiku ze słomki z nieodłączną różą z jedwabiu.

Po mojej drugiej stronie zajmowali miejsca Frances i Stevie. Czy dlatego, że byłam najstarsza z wnucząt, miałam przywilej siadania przy babce? A może to sprawił mój żywy charakter? Nawet w najbardziej upalne niedziele Frań i ja miałyśmy na sobie niedzielne sukieneczki z wykrochmalonego materiału, zapakowane na wakacje z naszymi codziennymi rzeczami, króciutkie rękawiczki sięgające nadgarstka, czarne pantofelki i starannie wywinięte białe skarpetki.

Oczywiście, przychodziłam na nabożeństwa do Świętego Łukasza także jako nastolatka, nawet jako dorosła kobieta, w towarzystwie Johna, ale kiedy dotykam ściemniałego drewna ławek i czuję mięciutki kłęcznik pod nogami, wracam myślami do tamtych niedzielnych przeżyć z dzieciństwa. Istnieje zapach typowy dla budowli drewnianych w nadmorskim klimacie. To amalgamat soli, wodorostów i wilgotnych okryć z grubego sukna. Głęboko wdycham to powietrze, gdy wchodzę do kościoła i klękam z anglikańskim szacunkiem należnym temu miejscu.

Zaskoczyła mnie obecność w kościele Joego Greena. Nie wiem, dlaczego tak mnie to zdziwiło – może dlatego, że nigdy przedtem go tu nie widziałam. Zauważyłam, że zawiązał niemodny wąski krawat pod kołnierzykiem koszuli, która wyglądała jak część garderoby Johna. Poza tym ubrany był w strój, który nosił podczas naszych poprzednich spotkań. Zajął miejsce na ławce rząd przede mną, po drugiej stronie przeje-

ścia. Kiedy uniósł głowę znad książeczki do nabożeństwa, odnotowałam, że jego kasztanowe włosy zrobiły się z tyłu trochę za długie i opierają się na kołnierzyku.

Musiał należeć do zagorzałych wyznawców Kościoła anglikańskiego, ponieważ zegnał się w odpowiednich momentach. Kiedy wstaliśmy, aby odśpiewać Bóg jest naszą potężną fortecą, jego naturalny baryton wyróżniał się na tle zgromadzenia złożonego z kobiet i starych mężczyzn. Zauważyłam, że w trakcie kazania pastora Cummingsa robił wrażenie głęboko zatopionego w modlitwie. Zamknął oczy i zmarszczył nos, bez wątpienia szlachetnego kształtu.

W drodze do wyjścia skinął w moją stronę głową i przesłał uśmiech. Nie został na kawie w stowarzyszeniu parafialnym, jak jest tu w zwyczaj, ja zresztą też nie.

Nie wiem, jak Joe, ale ja nie jestem jeszcze całkiem gotowa do życia towarzyskiego. Może w następną niedzielę. Poczułam się nagle rażniej, uczestnicząc w dobrze znanym rytuale w równie dobrze znanym mi miejscu.

Przyjmując komunię, myślałam o Johnie. Może robi to samo gdzieś w Anglii, myśląc o mnie.

Ciasto już gotowe do drugiego mieszania. Udaje mi się z niego ulepić trzy bochenki, które kładę na skrzynce przy piecu. W środy panie ze Stowarzyszenia Świętego Łukasza sprzedają swoje wypieki. Pewnie zrobię dla nich jakieś ciasto.

Zdaje się, że zbierają fundusze na sierociniec w Anglii lub coś w tym rodzaju.

Powinam bardziej zwracać uwagę na ogłoszenia wieszane na tablicy przy kościele.

Deszcz na chwilę ustał, pobiegłam więc do stodoły. W pustej stodole nastrój jest podobny jak w kościele. Ze względu na ciemne chmury panuje w niej półmrok, a ogromna przestrzeń nad głową ma w sobie coś majestatycznego. Ciszę przerywają tylko jaskółki śmigające między krokwiami, wylatujące przez otwór pod dachem.

Jestem zadowolona, że nie zamknęłam przed nimi drzwiczek, chociaż jaskółki to zręczni włamywacze i zawsze znajdą sobie jakieś wejście, żeby wślizgnąć się do środka.

Ostatnio ciągle chodzi mi po głowie, że powinam zająć się czymś jeszcze na farmie, nie tylko uprawą ogrodu. Wspomniał o tym Sylvester Fe-

eney, kiedy wczoraj przywiózł dostawę. Podeszłam do niego na podwórku, gdy stał z jedną ręką wetkniętą do kieszeni, a w drugiej trzymał skrzynkę z butelkami, w tym litr mego przydziałowego mleka. W skupieniu przypatrywał się stodołę. Na mój widok jego mały koń wzdrygnął się i potrząsnął uprzężą. Sylvester wyjął mi z rąk pustą butelkę po mleku i odezwał się:

– Masz pani tyle gruntu, żeby wykarmić dwie krowki.

– Nie wiem, jak długo tu zostanę. – Wręczyłam mu drobne za mleko. –

A poza tym nie mam zielonego pojęcia o hodowli krów.

Nie odpowiedział, tylko chrząknął znacząco. Mogło to oznaczać pogardę, zastanowienie albo odcharknięcie. Wspiął się na siedzenie i cmoknął na konika.

– Może bym wydzierzał je od pani, jak pani wróci do miasta. Nasz rząd potrzebuje mleka.

A więc gdy ulewa minęła, poszłam do stodoły. Była w niej zagroda na dwie krowy, zawalona rupieciami, kawałkami desek, zardzewiałymi narzędziami. Zebrała się tego cała sarta na lewej ścianie od wejścia. Po prawej jest pusta przestrzeń, pewnie przeznaczona na dwukólkę albo na żłoby. Mniej więcej od środka stodoły ciągnie się stryszek, na który można się dostać po przybitej na stałe drabinie.

Przypominam sobie, jak wspaniale bawiłyśmy się tutaj w chowanego, ukrywając się między kartonami i beczułkami, które – założę się – nadal tam tkwią. Dorośli uprzedzali nas ciągle, żebyśmy uważali na gwoździe sterczące z wilgotnego siana, po którym biegaliśmy na bosaka.

Na klepisku widać tu i ówdzie kałuże. Zaglądając do kątów, czuję, jak co pewien czas spływają mi na kark zimne krople deszczu. Najważniejsze – myślę sobie – żeby na stryszku było sucho. Bezpośrednio pod nim nie dostrzegam kałuż, ale na górze może być zbyt wilgotno, żeby trzymać siano.

Jednakże nie dane mi było wspiąć się na górę, ponieważ gdy tylko położyłam ręce na szczeblach drabiny, usłyszałam silnik podjeżdżającego samochodu. Z pewnym wstydem przywitałam się z Tedem i Judy, mając ręce upačkane błotem. I gdy teraz piszę te słowa, nie mogę sobie uświadomić, gdzie je ubłociłam. Pewnie dotykając drabiny.

Wieczorem znowu się rozpadało, więc obawiam się o moje roślinki. Deszcz bije brawo na moim dachu. Zamierzałam jutro rano ściąć trawę wokół domu świeżo naostrzoną kosiarką, którą po naprawie dostarczyli

mi bracia Sunderlandowie. Ale nawet ostrze jak brzytwa nie poradzi sobie z mokrą i przerośniętą trawą. Muszę się jeszcze w tym wprawić.

Ulewa odsunęła też nadzieje na rychłe zainstalowanie elektryczności. To właśnie zakomunikował mi Ted, przyjeżdżając na farmę. Zaparzyłam dla nas trojga herbatę i przesiedzieliśmy przy niej prawie do kolacji. Judy zaproponowała, żeby przeciągnąć też linię telefoniczną, skoro słupy i tak będą na mojej drodze wjazdowej. Określiła to jako „rozsądne”, bo ja jestem „tak daleko”. Wiem, co miała na myśli – tego złodziejawłóczykija, ale ostatnio jakoś mniej się nim zajmuję. Gdy o nim wspomniała, tylko wzruszyłam ramionami, jak uparte dziecko, któremu mówią, co jest dla niego dobre. Ale teraz, zastanawiając się nad tym, uważam, że Judy miała rację. Nie jestem nerwowa ani przeczulona na hałasy, zwłaszcza gdy mogę je sobie wyjaśnić – jak miotanie się szopa pracza w pojemniku na śmieci. Istnieje jednak sporo powodów, by utrzymać łączność ze światem zewnętrznym.

20 maja (5. 30 rano)

Obudziłam się, bo usłyszałam płacz. Nie płacz niemowlęcia, jaki czasami mi się śni, ale płacz dorosłego człowieka, pełen rozpaczy i strachu. Przerazona zerwałam się z łóżka. Może jednak usłyszałam ten krzyk we własnej głowie, może go sobie wymyśliłam.

22 maja 1944 roku Ernie zaprosił nas dzisiaj wieczorem do siebie, ale tylko na karty. Nie ma mowy, by jego matka jęzda zgodziła się na kolację dla gości. Judy i Ted podjechali po mnie autem. Ted nadal przeprasza, że trzeba poczekać z elektrycznością, ale uspokajam go, że nie ma to dla mnie aż takiego znaczenia.

W trakcie gry matka Erniego wróciła z partyjki bingo. Wręczyła mu siatkę pełną puszek i nasz szef policji, ciągle w marynarce od munduru, bez słowa zaczął je ustawiać na półce. Gertrudę Dubee ruszała zuchwą, roztrzaskając, czy nas przywitać. Wreszcie postanowiła, że to zrobi, i krótko skinęła nam głową, wyraźnie niezadowolona z inwazji na jej kuchnię. Czułam się tak, jakby za chwilę groziła mi inspekcja rąk – czy nie mam przypadkiem żaloby za paznokciami.

Ted, dzięki Bogu, rozładował sytuację żartem. Nawet pani Dubee się roześmiała.

– Znacie tę historię o turyście, który pojawił się wczoraj na targu? Zapytał LaRiviere'a, czy ułożył swoje puszki chronologicznie. Nie – odpowiedział mu Riv.

– Alfabetycznie.

Muszę zapamiętać ten dowcip i zacytować go Johnowi.

Gdy zbieraliśmy się do wyjścia, Ernie odciągnął mnie na bok.

– Spotkałem faceta przy wyrobisku piasku. Wygląda na to, że żyje tam na dziko od paru tygodni. Powiedział, że nazywa się Joe Green. Może to ten nosił ubranie Johna.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Sama o tym myślałam, kiedy go spotkałam. Ale to nie on. Zresztą rzeczy Johna nie pasowałyby na niego.

– Odnoszę wrażenie, że nic na niego nie pasuje.

– Ernie, facet jest w porządku.

Nic nie odpowiedział, tylko zapiał górny guzik munduru, zachowując sceptycyzm wobec mojej wiadomości.

– Ten człowiek rozgląda się za pracą. Powiedziałem mu, żeby zajrzał do pań Ruth.

One zawsze mają coś do roboty.

– Dzięki.

– Za co?

– Sama nie wiem. Może za to, że jesteś miłym facetem, a nie podejrzliwym gliną.

Ernie zaczerwienił się po korzonki włosów, słysząc ten nieoczekiwany komplement, i dla odmiany rozpiął guzik munduru.

– Więc co Ernie wymyślił?

Poznałam Judy na tyle dobrze, że wiedziałam, iż zada pytanie dopiero wtedy, gdy Ted wrzuci trójkę. Mam tyle spraw, które zachowuję w tajemnicy, że mogłabym je już zacząć grupować.

– Spotkał faceta, o którym z początku myślał, że to ten złodziej.

– Ma go zamiar aresztować?

– Nie, Judy. To jakiś pechowiec. Ernie skierował go do pań Ruth, żeby zapytał je o pracę.

– Vangie, to ty powinnaś go nająć – włączył się Ted do rozmowy. – Popatrz, musisz mieć kogoś do pomocy. Jeśli Ernie uważa, że on jest w porządku, nie byłby to taki głupi pomysł, choćby po to, żeby pomógł ci zbudować płot, zanim króliki wyżrą wszystkie jarzyny.

Nie mogłam zaprzeczyć, nawet nie próbowałam. Poprosiłam, aby mnie podwieźli tylko do dróżki prowadzącej do domu. Wieczór był łagodny, świecił księżyc.

Dzięki jego odbiciom w kałużach uniknęłam przemoczenia nóg. Suchą stopą dotarłam do domu. Nie wiem, może i powinnam wynająć do pracy Joego Greena. Ale mam tak mało do zaferowania w charakterze załaty – jedynie utrzymanie i pokoik za kuchnią.

Gdy piszę te słowa, roztrząsam możliwe komplikacje. Po co łączyć samotność z obecnością innej osoby? Siedzieć z kimś przy stole podczas kolacji, zamieniać parę ogólników, żeby uszanować prawo do prywatności, i zastanawiać się, czy klops, jaki przyrządziłam, naprawdę mu smakuje, czy tylko chwali z grzeczności.

Nie jestem pewna, czy jestem do tego gotowa. I zupełnie nie mam pojęcia, co by na to powiedział John. Nie był uszczęśliwiony moją przeprowadzką z Bostonu do Hawke's Cove. W dwóch ostatnich listach wstrzymał się z krytycznymi uwagami, ale w każdym z poprzednich wyrażał zdumienie, że nadal tkwię poza domem, jak to ujął, z dala od krewnych i przyjaciół. Nie miałam serca, by mu odpisać, że właśnie z tego powodu chciałam odjechać jak najdalej. On nigdy nie zrozumie, że traktuję to miejsce jako schronienie.

Czy jeśli zatrudnię Joego Greena, nie pozbawię się swego azylu?

Zanim weszłam wieczorem do domu, stanęłam przed drzwiami. Z daleka dobiegał huk fal miotanych przez niewidzialny sztorm. Zazwyczaj spokojna zatoczka cała pieni się i wzdyma, wyrzuca małe bałwany, które rozbijają się o piaszczysty brzeg. Tak jestem tym podekscytowana, że z ganku kieruję się na plażę. Jest na tyle ciepło, że planuję jutro kąpiel w oceanie. Zabawne, pierwsze w tym sezonie poważne pływanie odwlekam znacznie bardziej, niż robiłam to za dziecinnych lat. Poczulałam się zwolniona od tyranii letniego rytuału, teraz mam cały czas dla siebie.

Biała piaszczysta ścieżka była wyraźna w świetle księżyca, łatwo prowadziła do celu. Usłyszałam, jak kaczki śpiące na stawie nieopodal zaprotestowały przeciwko takiemu najściu. Gdy piasek staje się głęboki, tu i ówdzie wbite są długie tyczki. Balansuję jak linoskoczek, chwytając się ich. Zdejmuję pantofle, by pewniej poczuć się na drodze. „Nie dotykaj piasku, bo zamienisz się w piasek” – krzyczeli moi towarzysze zabaw. Śmieliśmy się, krzyczeliśmy, turlaliśmy się na wydmach. W naszych młodych organizmach nie było miejsca na smutek czy refleksje, które teraz mnie nie odstępują, gdy siadam na chłodnym piachu.

Księżyc tak silnie oświetla fale, że widzę załamujące się białe grzywy, które rozpryskują się jak szklana koronka i zamieniają się w niebyt. Myślę, że wreszcie nastał czas pisania poezji. Ta refleksja wprawia mnie w dobry humor.

Wracając do domu, uświadamiam sobie, że zamierzałam tworzyć wiersze od chwili przyjazdu tutaj, ale wciąż nic nie napisałam. Nie powstał ani jeden wiersz od zeszłego lata. Oczekiwanie dziecka stało się ważniejsze niż układanie strof.

Prokreacja zwyciężyła poezję.

Gdy znalazłam się w obejściu, przez murek obrośnięty winem przyjrzałam się krzywej stodole. Ciemna bryła na tle ciemniejszego nieba wydała mi się teraz kalekim domostwem inwalidy. Propozycja Sylvestra Feeneya ciągle chodziła mi po głowie i teraz pomyślałam, że Joe Green może naprawić stodołę.

15 maja 1944 roku Niesłuchanym zbiegiem okoliczności Joe Green pojawił się na progu mego domu, gdy zastanawiałam się, gdzie go szukać. Od naszego spotkania w kościele widziałam go w miasteczku tylko raz, no, może dwa razy. Za pierwszym razem na targu, gdy kupował bochenek czerstwego chleba. A za drugim – tak, szedł aleją nadmorską.

Zaproponowałam, że go podwiozę, ale odmówił, utrzymując, że ma ochotę na spacer.

Przyjął moją skromną ofertę: dwadzieścia dolarów miesięcznie, wikt i dach nad głową. Panie Ruth wynajęły go do koszenia trawy raz w tygodniu, a potem przysłały do mnie. „Starsze panie uważają, że potrzebny pani pomocnik do prac polowych”. Czy wszyscy w Hawke's Cove sądzą, że nie obędę się bez asysty?

Zaprosiłam go na lunch, który pochłonął jak człowiek zmuszony do nieokazywania wilczego głodu. Zrobiłam następne kanapki i postawiłam na stole placek rabarbarowy przeznaczony na sprzedaż wypieków dla Stowarzyszenia Świętego Łukasza. Akcje charytatywne należy rozpoczynać od własnego domu.

Po posiłku poszliśmy z kubkami herbaty do stodoły i dokładnie ją obejrzeliliśmy.

Joe, popijając herbatę z ulubionego garnuszka mojej babki, rozglądał się uważnie wokół. Tu wbił wystający z belki gwóźdź, tam ostukał ścianę. Zebrał trochę przemokniętego siana z klepiska, roztarł w ręce, po czym podawszy mi kubek, wspiał się zrećnie na drabinę. Nie chcąc

pozostać w tyle, postawiłam oba garnuszki i poszłam w jego ślady. Gdy dotarłam do ostatniego szczebla, Joe podał mi rękę i wciągnął na stryszek.

– Dach nie jest w takim złym stanie, jak wynikałoby z ogólnego stanu stodoły.

Na tych parę dziur można położyć łaty, choć zalecałbym nowy gont. Ale nie warto go robić, jeśli nie zamierza pani inwestować w farmę.

– Jest pan więc cieślą?

– Nie z fachu. Mój ojciec wiele mnie w tej materii nauczył.

– To on był cieślą?

– Nie, tylko postępował w myśl zasad ciesiołki.

Nie wyjaśnił tego dziwaczego zwrotu i począł szybko zsuwać się w dół.

Szczęściem miałam na sobie spodnie, ale i tak schodziłam dużo wolniej od niego.

Na dole Joe Green czekał na mnie z otwartymi ramionami, jakby spodziewał się, że spadnę, a wtedy on mnie schwyta.

Pamiętam, że jako dziecko byłam zafascynowana słowem „enigma”. Uwielbiałam jego brzmienie i otaczającą je aurę tajemnicy. No cóż, Joe Green był ucieleśnieniem enigmatyczności. Gdy go zapytałam, kiedy zamierza się wprowadzić do pokoiku za kuchnią, spodziewałam się, że powie: „Pod koniec tygodnia” albo coś w tym rodzaju. Tymczasem spytał mnie, czy zgodzę się, by od razu tu zamieszkał.

Przypuszczałam, że weźmie jakieś rzeczy z obecnego lokum, ale wcale nie zamierzał tego robić. Najwyraźniej Joe Green należy do ludzi, którzy nie obciążają się bagażem. Kiedy przyniosłam mu pościel, spostrzegłam, że jego stan posiadania składa się z kozika, cieniutkiego portfela i białej chusteczki, która służy do owijania czegoś, co wkładał do szuflady w komódce.

Joe wydaje się taki szczęśliwy... nie, to nie tak. Zadowolony. Bo czuje się tu na swoim miejscu. Zniknął na długo w łazience, a kiedy z niej wyszedł, usprawiedliwiał się gorąco. Pożyczyłam mu szlafrok, Stevie zostawił go tu wieki temu. Liczyłam, że zgoli brodę brzytwą Johna, którą mu zostawiłam, ale tylko przystrzygł zarost. Chętnie pomógł mi w zmywaniu i ogromnie się ucieszył na wieść, że może bez skrępowania korzystać z domowej biblioteczki. Skoro mam go karmić, muszę też dostarczać mu stawy duchowej. Tak pewnie sobie pomyślał.

Już czuję, jak odchodzi ode mnie moje pustelnicze życie. Zamiast za-
grzać sobie zupę na kolację lub ugotować jajka, musiałam obmyślić ja-
kieś solidne danie.

Teraz piszę w sypialni, opierając dziennik o szafkę nocną. Lampa kop-
ci, więc przycinam jej knot i zostaję z małym owalem światła. John
spogląda na mnie z fotografii przy łóżku. Czy wyczuwam w jego twa-
rzy niezadowolenie? Evangeline – zdaje się mówić – coś ty najlepszego
zrobiła? Och, wiem, że John będzie miał z tym problemy.

3 czerwca 1944 roku Zewsząd słysząc pogłoski, nawet w takiej małej
mieścinie jak Great Harbor, gdzie gazeta wychodzi raz w tygodniu i
rzadko kiedy donosi o wydarzeniach w wielkim świecie. COS się szy-
kuje.

Dzisiaj wieczorem siedzę przy kuchennym stole. Wisząca lampa nafto-
wa kołysze się i wydziela zbyt wiele ciepła. Czuję krople potu pod wło-
sami i unoszę je, żeby odsłonić kark. Znowu się zastanawiam, czy ich
nie obciąć. Ciekawe, co powie John, gdy po powrocie zostanie żoną z
odmienioną fryzurą. Ale, prawdę mówiąc, niewiele go moje włosy ob-
chodziły. Niekiedy go prosiłam, żeby je wyszczotkował, ale ten zabieg
nigdy nie był tak zmysłowy, jak w duchu liczyłam. John robił to meto-
dycznie, tak jak się myje samochód. Jego zmysłowość ujawnia się w
pracy.

Widzę go, jak robi delikatne znaczki na planie, zaznaczając miejsce
przyszłych drzwi i okien, a w głowie ma już gotowy projekt. Obserwuję
go, kiedy nie zdaje sobie z tego sprawy. Wówczas zamyka oczy, na
ustach igra lekki iśmiej. Nie nazwałabym Johna mężczyzną z pasją.
Zakładam, że jest dobrym kochankiem, ale nie mam skali porównaw-
czej. Zawsze dba, abym czerpała z naszego aktu przyjemność.

Ale tak naprawdę pochłania go tylko praca.

Unoszę włosy nad karkiem i zwijam je w kok, lecz luźne kosmyki na-
tychmiast się wymykają. Właśnie wszedł Joe i jest jak cień w panują-
cym półmroku. Zaproponował, że urąbie trochę lodu do lemoniady. Ra-
zem wychodzimy na werandę.

Zroszona szklanka jest wilgotna w moich rękach, gdy siedzimy pod
gwiazdami, w przyjemnej strudze chłodnej bryzy znad oceanu. Przez
dłuższą chwilę milczymy.

Wreszcie Joe wskazuje na konstelacje:

– Orion, Kasjopeja, Wielka Niedźwiedzica, Andy Hardy.

– No, no – odzywam się, na co wybucha śmiechem. Pokazując mi gwiazdy, Joe nachyla się i dotyka brodą mojego policzka. Nie ruszam się. Nie wiem, czy jest tego świadomy, czy też nie.

Całą uwagę skupiłam na tym jego geście. Nie wykonuję żadnego ruchu. – Tylko sprawdzam, czy pani pilnie słucha – powiada i wstaje ze swego miejsca.

Usłyszałam go nad ranem. Jęk brzmiący jak ostrzeżenie. To był ten sam płacz, który przypisywałam sobie.

8 czerwca 1944 roku Tyle się wydarzyło. Dwa dni temu siły sojusznicze dokonały inwazji na Normandię w ostatecznej próbie zakończenia wojny. John gdzieś tam jest. Wiem o tym bez żadnej informacji z jego strony. Najtrudniejsze jest to, że nie potrafię odgadnąć, gdzie się teraz znajduje. Gdybym wiedziała, że jest w Arles, w Paryżu, w Glasgow czy w Paughkeepsie, zniósłabym to dużo lepiej. Nagle cały ten jego obóz szkoleniowy w Anglii nabiera sensu. Zastanawiam się, czy wylądował z pierwszą falą żołnierzy na plaży Omaha, czy może zrzuciono go z samolotu? Spędzam teraz tyle czasu przy radioodbiorniku, narzucając swoje towarzystwo Frickom.

Zapamiętuję wszystkie dane: tylu zabitych, tylu rannych, tylu zaginionych w akcji. Wsłuchuję się w przerywane trzaskami przemówienia Winstona Churchilla i prezydenta Roosevelta, składających hołd tysiącom poległych. Czterdzieści osiem godzin temu żyłam w klimacie umiarkowanego niepokoju. Martwiłam się i modliłam. Ale teraz... Teraz jestem przerażona. Odkąd podano pierwszą wiadomość o inwazji, jest mi ciągle niedobrze.

Wczoraj wieczorem Joe zaszedł do Fricków, żeby odciągnąć mnie od radia. Łagodnie przekonywał:

– Już dziś nie podadzą żadnych nowych wiadomości. Trzeba odpocząć, przespać się trochę.

Jest na tyle bystry, że mówi mi, bym się nie martwiła, bo wszystko skończy się dobrze. Kiedy wysiadłam z auta, zwymiotowałam. Nie odezwał się słowem, tylko podał mi swoją chusteczkę i zaprowadził do domu.

10 czerwca 1944 roku Roy Tingley na poczcie delikatnie zasugerował, że minie pewnie sporo czasu, zanim otrzymam kolejny list od Johna i nim moje listy dotrą do niego. Jednakże nadal stale je piszę, wypełniając strony nieznaczącymi szczegółami z życia codziennego: Ogród dobrze

rośnie, ścięłam trawę, panie Ruth mają się dobrze i przesyłają pozdrowienia. Judy Frick skrzyła nogę w kostce. Joe Green rozpoczął remont stodoły. Zwyczajnym tonem wspominam o obecności Joego w moim życiu. Choć nie jestem w pełni szczerą. Gdyby go przy mnie nie było, popadłabym w depresję.

Joe i ja pojechaliśmy dziś do Sunderlandów, żeby pożyczyć podnośniki. Joe elegancko odmówił prowadzenia. „Pani W. , z rozkoszą pobędę pasażerem”. Tak się do mnie zwraca, pani W. , by jakoś utrzymać nasz stosunek chlebobawczyń – siła robocza, mimo żartów, które sobie z tego stroimy. Po sprzątnięciu ze stołu po kolacji czasami przychodzi nam do głowy, żeby zabawić się w przeciąganie ścierki i dowieść, kto silniejszy. W jego ustach „pani W. ” brzmi czule, w żadnym wypadku poddańczo. Ale jest to rodzaj bariery słownej, która pozwala mi z otwartym czołem wręczać mu co miesiąc jego należność.

Sunderlandowie ani chcieli słyszeć o zapłacie za wypożyczenie sprzętu, więc gdy Joe pomagał im załadować na archaiczną ciężarówkę kupę złomu na Wojenny Wysięk, postanowiłam przejść się na plażę.

Gdy wracałam ścieżką, niewidzialna dla trójki mężczyzn, usłyszałam nagle zachrypnięty od papierosów głos Jake'a:

– Mieszkasz u pani Worth?

– Tak.

– Miła kobita. Pamiętam jej babkę Florence. Też dama, nie powiem. Nie urodziła się tu, ale wyszła za męża za Baileya.

Dołączył Ho wie:

– Pani Worth potrzebny jest pomocnik na farmie. Ten jej mąż nie zajmował się gospodarstwem. Wedle mnie, nie lubił naszych stron. No wiecie, miastowy chłopak.

– Nie znam pana Wortha, wiem tylko tyle, że jest na wojnie za oceanem, więc nie będę się o nim wypowiadał.

Braciom Sunderlandom spodobała się ta odpowiedź.

– Taa, nie ma potrzeby źle się o kimś wyrażać.

Po minie Joego zorientowałam się, że wie, iż chłopaki czekają teraz na wyjaśnienia, skąd się wziął w tych stronach. Zauważyłam, jak zmarszczyli krzaczaste brwi w oczekiwaniu na opowieść Joego.

Ale on nie pisał słowa. Ani im, ani mnie.

Zaanonsowałam swój powrót głośnym:

– Haalo! Zadanie wykonane?

– Pewnie potrzebna byłaby pomoc przy wyładunku – mruknął do nas wszystkich Joe.

Przytaknęłam na znak, że się zgadzam, ale on pokręcił głową.

– Tylko, wicie, muszę się dziś zabrać do stodoły. Trzeba się posunąć z robotą, żeby zdążyć przed największymi upałami.

– To, co musisz zrobić, to podstawić podnośnik, ale uważaj, bo wtedy stodoła może się gibnąć.

– Nie, Howie, co ty gadasz. Taka stara stodoła po prostu się zapadnie. – I Jake zademonstrował, jak się to może stać, pokazując palcami „V”.

Gdy wsiedliśmy do auta, zauważyłam ponton nadal leżący na trawie.

– Więc komisja z marynarki wojennej zostawiła go wam?

– Nie, w ogóle się jeszcze nie pokazała. Pewnie im na tym nie zależy. Ale kto znalazł, ten go sobie zatrzymuje. Takie prawo na morzu. – Howie podszedł do tratwy i kopnął ją gestem właściciela.

– Sunderlandowie znaleźli ją na swojej plaży – wyjaśniłam Joemu, który cichutko siedział na fotelu obok, zatopiony w myślach. Przynajmniej na to wyglądało.

Uruchomiłam silnik plymoutha i ruszyłam, machając im na pożegnanie. W drodze powrotnej do domu zajechaliśmy do sklepu LaRiviere'a. Joe był dziwnie spięty, wchodząc do środka, aż mnie zastanowiło, czy sprawiła to rozmowa z Sunderlandami. Zdaję sobie sprawę, że okolicznościom jego przybycia do Hawke's Cove towarzyszy jakaś zagadka, ale nie znamy się na tyle dobrze, by go o nią wypytywać.

Ledwo wyszliśmy ze sklepu, ujrzałam, jak Ernie zmierza do swego służbowego auta.

On też nas zauważył, jeszcze nie przeszedłszy na drugą stronę ulicy, więc stanął przy samochodzie. Pal skorzystał z tej chwili wahania i przeskoczył na miejsce kierowcy.

– Szybko do tyłu – rozkazał mu Ernie i zaczął iść w naszym kierunku.

– Joe Green.

Joe nie odpowiedział, tylko zamarł w miejscu, podczas gdy ja zbliżałam się do Erniego.

– Joe – powtórzył Ernie, a ja się obejrzałam, żeby sprawdzić, dlaczego Joe nie podąża za mną. – Vangie, mogę sobie pożyczyć twojego pomocnika na parę godzin?

– Dziś jest nadmiar próśb o jego pomoc – odparłam. – Jesteś drugi... – Przerwałam, bo Ernie dał znać Joemu, żeby podszedł bliżej. Uczynił to

z wyraźnym wahaniem i ruszył w naszą stronę dopiero po dłuższej chwili.

– Bliźniaki Collinsów zaginęły, trzeba szybko je odszukać. Zechciałbyś mi towarzyszyć, Joe?

Joe skinął głową.

– Jasne. Czy mogę podrzucić najpierw panią Worth do domu?

– Nie mamy czasu. Pojedziesz od razu ze mną.

Joe podał mi torbę z prowiantem i ruszył za Erniem do auta policyjnego, w którym Pal rozparł się na przednim siedzeniu.

Kiedy wrócił do domu, opowiedział, że chłopcy niemal zagrzebali się w piasku.

Przywiązali znaną boję do drzew nad głębokim dołem, używając w tym celu skradzionej linki i paru kółek. Cały rów ma średnicę ze trzydziestu metrów, głębokość dziesięć do piętnastu. Od niepamiętnych czasów miejscowi wydobywali stamtąd piasek do posypywania zaladzonych dróg i wyrobu cementu. Nie jest to piach taki jak na plaży, lecz żwiropodobna gęsta masa, barwy brudnożółtej, lepiąca się do odzieży, z której wcale nie chce zejść. Kiedy byliśmy dziećmi, zakazywano nam zabaw w pobliżu wyrobiska, nie tylko z powodu niebezpieczeństwa zasypania, ale i niechęci naszych matek do czyszczenia potem ubrań. Joe oczywiście przyszedł cały oblepiony tym piachem, a ja się nie na żarty zmartwiłam, starając się zeskrobać warstwę z kolan jego jedynych wyjściowych spodni.

Ale jest i dobra wiadomość: Ernie z Joem znaleźli chłopców dosłownie w ostatniej chwili. Joe twierdzi, że to zasługa Pala, który znacząco skomlał z siedzenia auta Erniego.

11 kwietnia 1944 roku Teraz na mnie przyszła kolej zorganizowania przyjęcia karcianego. Nie mogłam tylko wymyślić, co począć z Joem. Byłoby niezręcznie go wykluczyć, ale nie wypadało też włączyć go do naszego ścisłego grona. Doszłam do wniosku, że wszystko odbędzie się w naturalny sposób, gdy przyłączy się do gry po kolacji.

Judy i ja sprzątnęłyśmy ze stołu i umieściłyśmy talerze w zlewie, zalewając je tylko zimną wodą, żeby resztki zapiekanki z kurczaka nie przyschły do nich na dobre. Joe podniósł się ze swojego stołka i wręczył mi talerz ze słowami:

– Miło mi było z państwem. Życzę wszystkim dobrej nocy.

– Joe. – Ernie wstał i oparł się dłońmi o blat stołu. – Może przysiadziesz się na kilka rozdań?

Joe zerknął na mnie i widząc mój przyzwalający uśmiech, kiwnął głową:

– Owszem, czemu nie.

Przez jakiś czas graliśmy w kierki, a kiedy padła propozycja, byśmy zagrali w lokalną grę, postanowiłam pozmywać naczynia. Zaproponowałam więc, by goście grali beze mnie. Joe zasugerował, że też odejdzie, żeby rozgrywka była sprawiedliwa, ale ja naprawdę chciałam zrobić porządek w kuchni. A poza tym lubię obserwować grających.

Tym razem rozmowa skoncentrowała się na wojnie i na nadziejach związanych z inwazją. Uważaliśmy, że ta akcja przyspieszy upragniony koniec wojny. Ja trzymałam emocje na wodzy i mówiłam opanowanym tonem:

– To z pewnością położy kres wojnie. Niemcy nie wytrzymają takiego zmasowanego ataku.

Ted ścisnął karty w ręce, nawet na nie nie patrząc.

– Okropne, tylu ludzi poległo. Ale cóż można zrobić? Musimy być przygotowani na wszystko, byle zwyciężyć. I pokonać Hitlera.

Znowu zabrałam głos:

– Ja myślę, że wszystko sprowadza się do poświęceń. Poświęceń w skali kraju i na płaszczyźnie osobistej.

Gdy powtórzyłam to słowo, poświęcenie, przy stole zapadła cisza. W istocie myślałam wtedy nie o Johnie, lecz o naszym dziecku. Judy i Ted z pewnością boleli nad losem syna. Ernie zapewne myślał o sobie. Stojąc przy zlewie, plecami do zebranych, nie miałam pojęcia, co o tym sądzi Joe. On jednak nie zdradził się z niczym.

– Piętnaście za dwie karty – rozległ się jego głos.

Po odjeździe Fricków, których serdecznie pożegnałam, Joe długo jeszcze rozmawiał z Erniem, oparty o jego auto. Poszłam do łóżka, bo byłam już zbyt zmęczona, żeby im towarzyszyć. Ledwie zapadłam w płytki sen, gdy ich głosy przywróciły mnie do świadomości.

– Nie zrozumiem mnie źle, jestem zadowolony ze swojej pracy. Wyciągam niezłą pensję; jeśli pozostanę w służbie, mogę nawet liczyć na emeryturę. Cieszę się poważaniem społeczności. – Ernie zamilkł na chwilę, usłyszałam cichy trzask zapalanej zapałki.

– Czy wielu z pana kolegów poszło na wojnę?

– Taa. Wszyscy. No wiesz, to nieduża miejscina. Było nas bodaj dwudziestu w wieku poborowym. A nawet paru już po trzydziestce – Hank Colby i Bert Lamb też się zgłosili.

– A pan został.

– No tak, coś w tym rodzaju.

– I wszyscy powtarzają panu, że też pracuje pan dla dobra kraju, że miasteczko nie przetrwałoby bez pańskiej obecności, i tak dalej, i temu podobne.

Ernie się roześmiał:

– Dokładnie tak jest.

– Mają rację.

– Wiem.

– A jednak nie jest panu łatwiej z tym ogólnym poparciem.

– Nie.

Zamknęłam oczy i próbowałam dłużej nie podsłuchiwać. Musiało poskutkować, bo obudziło mnie dopiero tupanie mewy na dachu domu i jej skrzekliwy głos rozpoczynający poranek.

16 czerwca 1944 roku Wreszcie nastąpiły prawdziwe upały. Powyżej dwudziestu stopni! Zaraz po lunchu wybrałam się na plażę, nie zwracając uwagi na dobre rady, zakazujące kąpieli bezpośrednio po posiłku. Pastor Cummings tego ranka wydawał się rozradowany czerwcowym ciepłem i nie wspominał w kazaniu o ogniu piekielnym oraz siarce, tracąc okazję do napomknienia swej trzodzie o karze za grzechy.

Joe ciężko pracował, kopiąc rów, w którym miał umieścić jpodnośniki. Miały one unieść konstrukcję stodoły, żeby ! mógł wykonać nową podmurówkę. Poczułam się winna, uciekając na plażę, gdy on tyrał w niedzielę. Po cichu zaszłam go od tyłu, gdy zawzięcie kopał w zagadkowo rytmiczny sposób, i udało mi się go przestraszyć.

– Hej, proszę nie robić takich numerów biednemu człowiekowi!

– Zapraszam na plażę!

Popatrzył na wykopany już rów i poczynił w myślach <? jakieś obliczenia.

Spojrzał na niebo, na wzgórek usypanej ziemi, wreszcie na mnie.

– Może za pół godziny? Wtedy trochę się ochłodzę.

– Zostawiłam kąpielówki Johna na łóżku.

Tym razem się ze mną nie sprzeczał, jak robi to zawsze, gdy mu proponuję pożyczanie któregoś z męzowskich ubrań. W domu towarowym

już wydał zaliczkę na poczet dalszych prac, więc przynajmniej ma własną zmianę bielizny.

Minęło dużo więcej niż pół godziny, gdy wreszcie pojawił się na plaży. W tym czasie wszyscy rozeszli się już do domów, żeby zmyć z siebie sól morską i zacząć przygotowywać kolację. Mewy podlatywały coraz bliżej, gotowe i mnie przepędzić ze swojego terytorium. Rzuciłam im parę pokruszonych herbatników z dna torby plażowej.

– Idźcie, przeklęte żółtookie drapieżniki!

Już się zbierałam do zejścia z plaży, gdy ujrzałam Joego idącego w moją stronę.

Prawie nieużywane slipki Johna były na niego trochę za szerokie w tali. Rzucił ręcznik na piasek, zdjął koszulę i bez chwili wahania rzucił się w łagodną wodę zatoczki. Wynurzył się, strząsnął krople z twarzy i popłynął kawałek stylem grzbietowym. Jego radość zachęciła mnie do ponownej kąpieli. Od dawien dawna nie pływałam w towarzystwie. Dzieci i nastolatki bawią się w wodzie, pluskają i udają delfiny lub syreny. Dorośli zajmują się innymi sprawami. Czytają na plaży, zabierają się do robótek ręcznych, gdy tylko zasiądą na piasku. Matrony w czarnych kostiumach z obowiązkową spódniczką do pół uda stoją w wodzie po kolana i bardzo ostrożnie wchodzą coraz głębiej, nie przerywając rozmowy z koleżankami, ale uważając na wnuczęta. Istnieje taki graniczny punkt, gdy zanurzone po szyję nadal gadają i kręcą głowami, nie chcąc stracić podopiecznych z pola widzenia. Obserwowałam takie kobiety jak babcia – blade, miękkie ciało sterczących nad wodą ramion, białe czepki osłaniające loki prosto od fryzjera, kloszowe spódniczki otaczające ich na wodzie kołem.

Płynęliśmy z Joem może nie na wyścigi, ale na tyle szybko, by popisać się formą.

Wyszliśmy na brzeg w kostiumach przylepionych do ciała niczym wodorosty i odciągalśmy je, nieco skrępowani wydawanym przez nie dźwiękiem.

W pływaniu jest dziwna intymność.

Mewy już się rozpanoszyły na naszych kocach i usuwały się z wyraźnym niezadowoleniem. Wytarłam się grubym ręcznikiem i włożyłam płaszcz kąpielowy.

Kiedy Joe rzucił swój ręcznik i pochylił się, by podnieść koszulę, zauważyłam blizny na jego plecach, jakby od przypalenia lub głębokiego zdarcia naskórka.

Intensywnie różowy kolor wskazywał na niedawne zranienia. Spostrzegł moją zaskoczoną minę i szybkołożył koszulę. By odwrócić uwagę od swoich pleców, pokazał mi dłonie.

– Och, Joe, musimy ci kupić rękawice robocze. – Jego palce pokrywały pęcherze od pracy z łopatą. – Jestem pewna, że gdzieś w okolicy można je dostać. – Gadałam szybko, głęboko zawstydzona brakiem na farmie niezbędnej odzieży ochronnej, ale i zirytowana nieudolnością mego pomocnika, który sam powinien zadbać o siebie.

Kiedy wróciliśmy do domu, sięgnęłam do mojej skromnej apteczki. Wyjęłam wodę utlenioną, słoik wazeliny i paczkę gazy. Bądź dzielny – podtrzymywałam go na duchu. Połałam mu dłonie wodą utlenioną. Przez minutę zachowywał się jak stoik, ale po chwili tańczył jak dziki na popękany linoleum, machając w powietrzu obolałymi rękami. Oboje wybuchnęliśmy w końcu śmiechem.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie. Ujęłam jego lewą rękę i zaczęłam pocierać wazeliną cztery opuchnięte miejsca u podstawy palców. Była to już trzecia generacja pęcherzy, poprzednie – na wnętrzu dłoni i w miejscu, gdzie kciuk styka się z palcem wskazującym – już popękały. Zostały po sobie owalne czerwone ślady. Wmasowywałam w nie wazelinę, a następnie najlepiej, jak mogłam, zabandażowałam gazą, żeby zakryć świeże pęcherze. Kiedy w trakcie zabiegu przekreśliłam mu rękę, ujrzałam na ich wierzchu zabliznione rany podobne do tych na plecach.

Nie odzywaliśmy się do siebie, gdy zabrałam się do jego prawej dłoni. Nieskoro mi było do żartów, chciałam się skupić na swoim zadaniu. Smarowałam pęcherze, kładłam wazelinę cienką warstewką i czekałam, aż się wchłonie.

Joe ma niezwykle długie, smukłe palce, rzadko spotykane u mężczyzny. Takie ręce nazywa się rękami pianisty. Nie nosi obrączki ani sygnetu. Dłonie są gładkie, ale na nadgarstkach rosną delikatne włoski.

– Pani Worth, myślę, że wystarczy. – Jego głos był miękki, niepewny. Natychmiast odwinęłam bandaż.

– Gotowe.

Uczucie mdłości przeszło, ale pozostał wewnętrzny niepokój. Ciągłe trudno mi jeść, niemniej próbuję. Jak wszelkie gwałtowne uczucia, za-

łoba – zresztą podobnie jak szczęście – ma wpływ na funkcjonowanie organizmu. Staram się być ciągle zajęta.

Mój ogród ma się dobrze. Płot, który Joe postawił w pierwszym tygodniu pracy, trzyma z dala Królika oraz jego krewnych i znajomych. Zasadzone rośliny robią wrażenie zdrowych, podobnie jak chwasty, które powinnam rozróżniać na pierwszy rzut oka. Na prace ogrodowe przeznaczam ranki. Pochłonał mnie bez reszty klomb z

cyniami, a geranium i petunie są imponująco dorodne w skrzynkach pod oknami.

Cała farma wygląda teraz barwnie, wesoło, jeśli nie liczyć stodoły, która przypomina tonąca łódź. Obok niej walają się narzędzia, kamienie, deski. Ten widok kojarzy mi się z niezdarnie prowadzonymi wykopaliskami archeologów. Jutro Joe ma zainstalować podnośniki, uważa, że w ten sposób będzie mógł właściwie osadzić całą budowlę, która w ciągu siedemdziesięciu lat wyraźnie osunęła się na bok. Utrzymuje przy tym, że ani stodoła się nie zapadnie, ani on nie straci życia pod walącymi się ścianami.

Kiedy mu powiadam, żeby pamiętał o Wstrętnej Wiedźmie ze Wschodu, która spuściła Dorotce całą chałupkę na głowę, on tylko potrząsa głową i powtarza:

– Zobaczmy, moja śliczna.

Po południu pojechałam do Great Harbor na zaproszenie Judy. Spędziłyśmy nieco czasu na zakupach, a potem zjadłyśmy lunch w miejscowym hotelu. Na koniec uraczyłyśmy się pójściem do kina na film z Bogartem. Był smutnoromantyczny, ogromnie mi się podobał. Kiedy Judy podrzuciła mnie do domu, było już bardzo późno. Potknęłam się na ganku i weszłam do zupełnie ciemnej kuchni. Noc była czarna jak otchłań, bez jednej gwiazdy na niebie. Chciałam wymacać zapalki, ale nie natrafiłam na nie.

– Cholera – wyrwało mi się.

Zakląłam znowu, uderzając się boleśnie w palec o nogę od stołu. Szłam ostrożnie w kierunku saloniku, bo przypominałam sobie, że położyłam zapasowe pudełko zapalek na kominku, gdy nagle usłyszałam za sobą głos Joego.

– Chciałaby pani trochę światła?

Nagle całą kuchnię zalało światło elektryczne.

– Pani W. , witam w dwudziestym wieku. Klasnęłam w dłonie z takim samym entuzjazmem, z jakim biłam brawo pod koniec filmu, gdy na widowni zapalono światło. Mam więc elektryczność. Ale babcia by się ucieszyła.

23 czerwca 1944 roku Joe jest u mnie od miesiąca. Przez ten czas uporządkował podwórko, zreperował drugi rower, więc teraz są dwa...

Zadbał o auto, wykopał fundamenty pod stodołę i przygotował ją do wyprostowania, zbudował porządną płot, zaplanował ogrodzenie przyszłego pastwiska i dotrzymywał mi towarzystwa.

Okazał się także przydany w sąsiedztwie. Pomógł Tedowi w jakimś trudnym zadaniu, ściał złamana wicherem sosnę u pań Ruth, nie uszkodziwszy przy tym nawet jednej róży na ich popisowym klombie.

Jego obecność na farmie sprawia, że rzadziej ogarniają mnie czarne myśli i częściej odczuwam radość, zastanawiając się, co dobrego ugotować na kolację dla tak ciężko pracującego mężczyzny. Joe zmusił mnie do myślenia o sobie, gdy już nie mogę znieść rozmyślań na temat Johna.

Judy powiada, że on spełnia moje potrzeby.

– Co przez to rozumiesz? – spytałam.

– Masz w sobie ogromną żywotność. On pomaga ci rozkwitnąć.

25 czerwca 1944 roku Niesamowita historia. Podnosząc stodołę, Joe wykrył skrytkę na whisky. Słyszałam o farmerach w Hawke's Cove, którzy jeszcze w osiemnastym wieku pędzili rum, ale te zasoby są dużo późniejsze. Podejrzewam, że należały do brata dziadka, Ralpa, czarnej owcy w rodzinie. Jak to bywa w porządnym domu, o skandalu tylko napomykano, i to ściszym głosem, żeby dzieci się nie dowiedziały.

Ralph Bailey był zawsze uważany za czarną owcę w szacownej rodzinie. Dowiedziałam się ze strzępów rozmowy, gdy nas wszystkich położono już do łóżek, że Ralph znikł bez śladu. Po latach przysłał wido-kówkę, powiadając, że mimo wszystko znajduje się wśród żywych. Po tej pocztówce słuch po nim zaginął. Bardzo rzadko jego imię padało przy stole, a kiedy ktoś je wspominał, reszta wznosiła oczy ku niebu.

Teraz domyślam się powodów jego zaginięcia. Z pewnością nabrał więcej towaru, niż mógł spieniężyć, sądząc po ilości whisky zmagazynowanej w skrytce przypadkowo odnalezionej przez Joego.

Może ukradł ją komuś, może urzędnicy podatkowi byli na jego tropie. W każdym razie wuj Ralph rozplątał się bez śladu.

– No i co ja mam z tym zrobić?

– No cóż, gdy widzę dwudziestopięcioletnią whisky, do głowy przychodzi mi jedyne rozwiązanie. – W oczach Joego dostrzegłam przewrotne ogniki. Trzymał w ręku butlę, którą wyciągnął ze skrzynki.

– Wypić?

Na koniec najlepszym wyjściem wydało się nam pozostawienie alkoholu tam, gdzie był. Schowek okazał się dziurą wygrzebaną pod podłogą, rozmiarów metr na metr pięćdziesiąt, głęboką na osiemdziesiąt parę centymetrów. Ścianki wyłożono drewnianymi deszczułkami. Całość jest tak solidna, że nie grozi zawaleniem. Joe sądzi, że może pochodzić jeszcze z czasów niewolnictwa i pewnie służyła za skrytkę dla uciekinierów z Południa podczas akcji „Podziemna Kolej”. Ta uwaga wywołała u mnie dreszcz trwogi. Wyobraziłam sobie, jak musiało być straszne siedzenie po ciemku w tej klaustrofobicznej dziurze. Promień światła mógł oznaczać albo wolność, albo niewolę.

3 lipca 1944 roku Mała lampka nocna oświetla mój dziennik, gdy na blacie szafki wpisuję kolejne uwagi. Twarz Johna na fotografii wydaje się mniej ponura w blasku żarówki, a nawet wręcz pogodna. Zdaje mi się, iż dostrzegam w jego rysach zadowolenie, pewnie dlatego, że od blisko miesiąca sama jestem nieco bardziej pogodna.

Wczoraj przyszedł list od niego. Dzięki Bogu, jest cały i zdrow, choć brudny i zmęczony. Moje modlitwy zostały wysłuchane, przynajmniej na razie.

Roy Tingley aż się rozpromienił, gdy wyciągałam ze skrytki pocztowej naddartą kopertę. Pojedyncza kartka, a taka cienka, że aż przezroczysta. Zappełnił tylko jedną stronę, ceniąc sobie bardziej oszczędność słów niż papieru. Jego charakter pisma architekta nosi ślady cenzury.

Droga Evengeline, Jestem cały, nie odniosłem ran. Wiem, że się niepokoisz, więc od razu Cię informuję, że po wyładowaniu tutaj cztery dni temu ciągle maszerujemy tą niegdyś piękną krainą. Nadał spotykam farmy i winnice, które na pierwszy rzut oka wydają się nietknięte. Z bliska widać, że stoi tylko jedna ściana budynku, a psy zostały zastrzelone. Wielu moich współtowarzyszy to ci sami, z którymi zaczynałem. Uważamy się za szczęściarzy. Akcja idzie powoli, najbardziej narzekamy na stopy. Prócz tego nic mi nie dolega. A jak Ty się masz? Napotkałem punkt Czerwonego Krzyża, więc oni prześlą Ci mój list. Muszę kończyć. Wzywają nas. Noszę Cię w sercu. Kocham Cię. Tęsknię za Tobą. Twój mąż – John Usiadłam na pomalowanej na zielono ławce, z której

rozpościerał się widok na zatokę. List w moich rękach zwilgotniał, więc złożyłam go i wsunęłam do torebki, żeby pismo Johna się nie rozmazało.

Siedziałam ciągle z kopertą w rękach, gdy podszedł Joe z torbą zakupów pod pachą.

– W porządku z nim?

– Tak twierdzi.

– To dobrze. O, jak dobrze, pani W. – Postawił torbę i siadł obok mnie. Przez chwilę w milczeniu wpatrywaliśmy się w ocean. W porcie łodzie rybackie, które nie wyruszyły na połów, kołysały się miarowo, uderzając o siebie. Woda falowała, zbierało się na kolejny sztorm.

– Właściwie o niczym mi nie mówi. O tym na przykład, czy się boi albo czy grozi mu niebezpieczeństwo.

– A o czym pani mu donosi?

– No, piszę, co robię, co się dzieje na farmie i jak się przedstawia moje życie codzienne. Wspominam, że mi go brakuje.

– Czy donosi mu pani, że się pani o niego martwi? Albo że pani się boi?

– Nie. Oczywiście, że nie. Staram się nie dodawać mu trosk, najważniejsze jest jego bezpieczeństwo. Nie chcę pisać o czymkolwiek, co by mu przysporzyło zmartwień.

Joe był na tyle uprzejmy, że nie skomentował tego. Gdy tylko odpowiedziałam na jego pytania, natychmiast uzmysłowiłam sobie, o co mu chodziło.

– Och.

– Pani W., on się stara, jak może. Jest świadkiem lub uczestnikiem takich scen, o jakich nigdy pani nie opowie.

I proszę, żeby go pani o to nie wypytywała.

Powiedziawszy to, wstał, wziął torbę i odszedł, pozwalając mi na ponowne przeczytanie listu. Kogo Joe miał na myśli? Johna czy siebie?

Jego słowa wiele zmieniły w moim nastawieniu i teraz, gdy patrzę na fotografię Johna, jego twarz wydaje mi się pogodna.

4 lipca 1944 roku Zorganizowaliśmy dzisiaj wielki piknik. Składał się z typowych dań na święto Czwartego Lipca: sałatka z ziemniaków, surówka z białej kapusty, parówki, homar z małżami. Okazało się, że przygotowaliśmy za dużo zielonej sałaty, a za mało hamburgerów. Większość mieszkańców Hawke's Cove przybyła na paradę w Great

Harbor. Nasza samochodowa kolumna spotkała się przed mostkiem, gdzie łączą się trzy drogi wiodące z półwyspu.

Święto było wspaniałe, jak to bywa we wszystkich amerykańskich miasteczkach.

Przy takich okazjach lubi je portretować pismo „The Saturday Evening Post”.

Radni z Hawke's Cove zasiedli w karecie razem z rajcami z Great Harbor i rzucali cukierki w tłum dzieci machających małymi chorągiewkami. Jestem ogromnie przywiązana do obchodów Czwartego Lipca. W pochodzie szli też weterani Wielkiej i Wojny. Mieli ponure twarze, część z nich zwracała uwagę widocznym kalectwem – bliznami, pustymi rękawami marynarek.

Po nich przedefilowali dzisiejsi marynarze i żołnierze, przybyli z okolicznych baz wojskowych. Dla nich następny] przystanek to Europa. Albo Pacyfik.

Zastanawiam się, czy będą wspominali tę małomiasteczkową defiladę z rozrzewnieniem, czy z szyderstwem. Na ich widok wzmógł się entuzjazm. Nasi bohaterowie. Kiedy będziemy świętować ich powrót?

Joe uparł się, że pomoże miejscowym podsycać ogień pod wielkimi grillami.

Dostarczyli je bracia Sunderlando1 wie – odcięte dna od metalowych beczek na ropę naftową osadzone na konstrukcji z żelaznych prętów. Gdy uczestnicy parady wrócili do Hawke's Cove, w powietrzu unosił się zapach smażeniny, silniejszy od zapachu oceanu.

Początkowo nie zamierzałam się wybierać na ten doroczny spęd. Wiadomo, że uczestniczy w nim wielu bostończyków, którzy tu przyjeżdżają na wakacje.

McCormackowie i Hansonowie znają moją matkę. Byłam przekonana, że na pikniku pojawi się ktoś, kto wie, że w grudniu straciłam dziecko. Byłoby nie do zniesienia, gdyby ktoś z dawnych wakacyjnych znajomych podszedł i złożył mi kondolencje, ujawniając tajemnicę przed nowymi przyjaciółmi, którzy nie mają o tym pojęcia. Nie chciałabym, żeby mój sekret wyszedł na jaw, i to przez przypadek. Zwłaszcza gdyby w ten sposób dowiedziała się o nim Judy. Na pewno sama jej o tym powiem. Ale im więcej mija czasu, tym trudniej jest się z tego zwierzyć. Powinnam była od razu jej to wyznać, ale nie zrobiłam tego.

Napomknęłam Joemu, że chcę zostać w domu i popracować w ogrodzie. Piękna słoneczna pogoda po dwudniowym deszczu stanowiła doskonałą wymówkę. Tak sobie wykoncypowałam. Joe jednak był innego zdania i przekonał mnie, żebym mimo wszystko się wybrała.

– Pani W. , musi pani pójść.

– Nie, ja nie muszę, ale ty się wybierz. Nalegam. Spodoba ci się. Mnóstwo jedzenia i dużo zabawy.

– Dokładnie z tego powodu pani powinna się tam wybrać. Nie może pani przecież być jedynym mieszkańcem Hawke's Cove, który nie pokaże się w miasteczku na Czwartego Lipca, bo przez całą zimę tylko o tym by plotkowano. – Wręczył mi kosz z trzema plackami jagodowymi.

– Podjadę samochodem. Proszę nie zapomnieć o swetrze, bo wiatr od morza bywa chłodny.

Stałam, trzymając oburącz duży wiklinowy kosz, i czułam, że mięknę. Graliśmy długo w baseball. Jedliśmy, potem pływaliliśmy, potem znów zasiedliśmy przy stołach biesiadnych. Jedna czy dwie ze znajomych mi osób z Bostonu, które podeszły do mnie i nieśmiało złożyły wyrazy żalu z powodu mojej straty, pozostały niezauważone przez miejscowych. Pani Hanson była na tyle dyskretna, że wypowiedziała kondolencje tak, by nikt nie słyszał. W ogólnej zabawie nie zdążyłam zagłębić się w bolesne rozmyślenia.

Zapadł już prawie zmrok, gdy podszedł do mnie Joe.

– Dobrze się pani bawi? – I wręczył mi patyk z watą cukrową.

– Tak. – Ugryzłam kawałek jeszcze gorącej, lepkiej kuli. – Dzięki, że mnie namówiłeś do przyjścia tutaj. Czasami potrzebuję takiej stanowczej zachęty.

– Wiem. Nas wszystkich niekiedy trzeba zmuszać do rzeczy, które sprawiają nam przyjemność. – Lekko dotknął mego ramienia. – Bez pani bym tu nie przyszedł, więc jestem wdzięczny, że zmieniła pani zdanie. Ponownie położył mi dłoń na barku i odbiegł, żeby zebrać drewno na ognisko.

Myślę, że on uważa, iż jestem zamknięta w sobie z powodu lęku o Johna. Ja natomiast zastanawiam się, dlaczego on jest takim odludkiem. Może jeśli opowiem mu moją prawdę, on wyzna mi swoją.

W tym roku nie ma fajerwerków. Zamiast nich rozpalamy wielkie ognisko, przy którym dyżurują strażacy, gotowi do akcji na wypadek, gdyby ogień zbyt szybko się rozprzestrzenił.

Stoimy w cieniu, tylko nasze twarze są oświetlone przez złotoczerwone płomienie wystrzeliwujące w górę ponad głowami najwyższych mężczyzn.

Nikt nie kazał nam stanąć w kręgu, ale uczyniliśmy to instynktownie. Część z nas zostanie tu do późna, żeby wpatrywać się w ogień do ostatniej iskierki. Judy z Tedem już poszli, kobiety z małymi dziećmi również. Sylvester Feeney stał przez wiele godzin, ale odszedł przed wschodem słońca. Bracia Sunderlandowie, stojący jak zwykle ramię w ramię, wciąż dorzucali dREW do ognia. Ten niezwykły blask przemienił ich zmęczone twarze w rzeźby spotykane na średniowiecznych rzygaczach.

Wiatr porwał sznur iskieR, które wyglądały jak miniaturowe fajerwerki. Z wielu ust wyrwało się spontaniczne „Ooch!” i „Aaach!”.

Staliśmy w milczeniu, Ernie, Joe i ja między nimi. Zmęczeni atrakcjami świątecznego dnia, popadliśmy w kontemplację. Pal, pies Erniego, wpatrywał się w niego smętnym wzrokiem, prosząc o powrót do domu. Zjadł tyle smacznych resztek, że teraz marzył tylko o ciepłym legowisku.

Ernie pstryknął wreszcie na niego palcami, mówiąc nam dobranoc. Ciemność za kręgiem ogniska natychmiast go wchłonęła. Usłyszałam, jak zaskakuje silnik półciągarówki Sunderlandów, a po chwili odjeżdża wóz strażacki. Ognisko stawało się masą żarzącego się popiołu, tylko niekiedy trzepotał jeszcze mały płomyk.

Joe przysiadł na wilgotnym piasku.

– Powiedziałem, że zostanę i zasypię żar. Jeśli chce pani pojechać autem do domu, wrócę pieszo.

– Nie, z przyjemnością ci pomogę.

Żelaznymi grabiami rozprowadziłam resztki żarzącego się drewna, a Joe przez ten czas przyniósł dwa wiadra wody. Polewał głównie, gdy ja dalej grabiłam. Przez jakiś czas oboje wykonywaliśmy swoje czynności, aż z żaru przestała unosić się para. Po paru minutach Joe zasypał resztki paleniska piaskiem. Jutro nikt nie rozpozna na plaży miejsca, w którym paliło się nasze ogromne ognisko. Nic nie zdradzi miejsca amerykańskiego rytuału. Było mi trochę chłodno. Na szczęście miałam ze sobą sweter, po który Joe zawrócił mnie do domu jeszcze przed pój-

ściem na zabawę. Byłam teraz rada, że go wzięłam, i zgrabiętymi z zimna palcami usiłowałam go zapiąć.

Joe odstawił kubły i mruknął:

– Krzywo go pani zapina. – Delikatnie rozpiął mi sweter i zapiął jeszcze raz, wkładając guziki do odpowiednich dziurek.

To taki uroczy człowiek. Widać to po tym, jak zabrał się do pracy nad farmą babci, jak nawiązał przyjazne kontakty z większą liczbą mieszkańców, niż mnie się to kiedykolwiek udało, jak go oklaskiwano na meczu baseballowym. To jasne, że już pokochał Hawke's Cove. Niechby to było odwzajemnione uczucie. Może po wojnie – może po wojnie – jak mogę pisać te słowa i nie martwić się, że wystawiam się na drwiny diabła? W każdym razie któregoś dnia John wróci i może spadną mu z oczu łuski i w końcu on też polubi to miejsce.

10 lipca 1944 roku Zorientowałam się, że coraz bardziej zaniedbuję pisanie dziennika. Mogłabym szukać usprawiedliwień, ale to przecież niemądre. Przecież jestem jedyną osobą, która go czyta. Wiem, dlaczego nie prowadzę go systematycznie każdego wieczoru.

Jestem tak cholernie wyczerpana!

Czy wspomniałam o whisky? Tak, oczywiście. No więc postanowiliśmy ją przenieść ze schowka do piwnicy pod domem. Z tego między innymi powodu, że stąd łatwiej ją wydostać. Nie zaglądałam do piwnicy od wielu, wielu lat, i zgodnie z oczekiwaniami była pełna pajęczyn. Budziła lęk. Zapelniona jak stodoła starymi gratami, pachniała pleśnią. W północnym rogu jest wyjście zapasowe, przykryte drewnianą klapą. I tam postanowiłam umieścić szesnaście skrzynek z alkoholem.

Gdyśmy je znosili, Joe zaczął śpiewać jakąś okropną pijacką piosenkę o dziewięćdziesięciu dziewięciu butelkach piwa, aż mu zagroziłam, że wyrznię go jedną z nich. Wobec tego zmienił repertuar na Śmiało, ryccrze Chrystusa. Chciałam go również zbesztać za nieodpowiednią pieśń, ale ma tak ładny głos, że pozwoliłam mu dokończyć. Zna cały tekst.

Czasami czuję się tutaj tak osiadła, jakby nie było innego życia, do którego mam wrócić. Miasto, moja matka, przyjaciele... wszyscy wydają się częścią jakiejś innej egzystencji. Hindusi wierzą w reinkarnację. Żyjemy kilka razy, póki nie zrozumiemy, na czym polega życie. Sądzę, że pod tym względem myślę jak Hinduska.

W każdym razie uważam, że w tej idei może tkwić ziarno prawdy, tyle że przechodząc do kolejnego życia, wcale się nie umiera. W każdym ra-

zie nie umiera się fizycznie. Tyle doznałam dobra w dotychczasowym życiu, że teraz jestem wystawiona na zło. Jak będę żyła w tym okresie próby, tak będzie wyglądało moje następne życie. Jeśli powstrzymam się od myślenia o losie Johna, jeśli zdolam przestać rozmyślać o dziecku, to może jakoś uda mi się przetrwać tę reinkarnację.

Pobyty tutaj jest mi pomocny w tym procesie. W zasklepianiu ran pomaga pływanie w morzu, praca w ogrodzie, gra w karty z nowymi przyjaciółmi. Gojenie się ran psychicznych. Kiedy Joe podchodzi i staje nad zlewem, żeby zmyć naczynia, wnosi ze sobą zapach pożytecznej pracy – pot codziennego znoju, odór oleju maszynowego, którego używa do oliwienia narzędzi. Zazwyczaj brudzi też moją biedną starą podłogę. Strofuję go za to, a on się broni zabawnie. Wtedy jestem przekonana, że to najlepsze miejsce pod słońcem.

Kilka dni temu pojechaliśmy do miasteczka po zakupy. Joe chciał przywieźć parę worków cementu, więc wzięliśmy auto zamiast rowerów. Wysadził mnie przy poczcie i podjechał na parking przed sklepem z artykułami żelaznymi. Kiedy załatwiłam swoje sprawy w urzędzie pocztowym, nie mogłam znaleźć samochodu. Przeszłam całą ulicę tam i z powrotem, aż w końcu bezradnie stanęłam przed sklepem.

– Och, proszę pani – zawołał do mnie od drzwi Everett, starszy ekspedient, będący zarazem naszym radnym. – Pani mąż już wyszedł. – Tak szybko wrócił za ładę, że nie zdążyłam sprostować pomyłki.

Nie powiedziałam o tym Joemu, myśląc, że poczułby się zażenowany.

16 lipca 1944 roku Zwlekałam cały dzień z zapisaniem poniższych uwag. Jestem tak zbulwersowana, że czuję się, jakby ogarnął mnie paraliż. Także emocjonalny. Gdy wrócę do normalnego stanu, będę wiedziała, jak się zachować. Jak działać. Teraz chodzę bez sensu z kuchni do saloniku, z saloniku do kuchni, z kuchni na werandę. Bez względu na miejsce, w którym się znajduję, ciągnie się za mną moja nowa sytuacja.

Siedzi na moim biurku, składając się z kilku zdań oznajmujących, które zawierają informację o zaginięciu mego męża. Zgodnie z formułkami przewidzianymi przez armię na takie okazje. Wystarczy wpisać do rubryki „John Worth” i wysłać. Tyle tylko, że taki list nie przychodzi pocztą. W ten sposób natychmiast się dowiadujesz, że to poważna sprawa. Dwaj młodzi oficerowie w mundurach galowych przychodzą do

drzwi twego domu i każą ci stać przed nimi. Odrywają od pracy w ogrodzie, gdzie lipcowe słońce tak rozkosznie świeci i opala ci dłonie. Wysłannicy wojska przyprowadzili ze sobą Judy Frick, bo wiedzą, że samotna kobieta w takich chwilach najbardziej potrzebuje obecności innej kobiety.

Porucznik Worth. Zaginął. Pani Worth, proszę przyjąć wyrazy współczucia. Robimy wszystko, co w naszej mocy. I odjeżdżają, zadowoleni w duchu, że jakoś sobie poradzili z tą misją. Trafili na dojrzałą kobietę, która trwała w milczeniu, póki kurz nie opadł za ich dżipem.

Najpierw nie pozwalałam, żeby Judy mnie dotknęła. Ona już wie z własnego doświadczenia, że w tym oporze nie ma nic obraźliwego. Po prostu na razie nie chcę, by ktoś mnie obejmował. Judy zdaje sobie sprawę, że minie nieco czasu, zanim dotrze do mnie ta wiadomość. Ja tymczasem myślę, że koń mnie zrzucił.

Wtedy człowiek najpierw potrząsa głową, a potem sprawdza, czy nie złamał sobie którejs kończyny. Dopiero wówczas chwyta wyciągniętą dłoń.

Odwołując się do rezerw dobrego wychowania, polegamy przede wszystkim na sobie.

Dziękuję Judy za to, że została ze mną, i zapewniam, że nic mi nie jest. Czy John nie zaginął już w grudniu? Oczywiście, nie mówię tego na głos. Ted podjechał samochodem i teraz idzie w moim kierunku. Oboje starają się mnie przekonać, żebym pojechała do nich, ale odmawiam.

– Nic mi nie jest. Czuję się całkiem w porządku – mówię.

Judy ujmuje moją rękę i lekko ją ściska. Ted poklepuje mnie po ramieniu. Macham im z trudem na pożegnanie.

Rozglądam się, szukając Joego, ale on zniknął z pola widzenia. Wreszcie jednak się znajduje, czuję go za sobą. Nie dotyka mnie, tylko czeka, licząc, że może zechcę położyć mu głowę na piersi i się rozplakać. Pragnie być użyteczny w tym

nowym dramacie. Zakrywam twarz rękami, ale łzy nie napływają. Nie pozwolę sobie na nie.

Kiedyś byłam na jakiejś szalonej przejażdżce karuzelą. Świetna zabawa, wszyscy śmialiśmy się i wrzeszczeliśmy. Ale jazda zaczęła się zbyt długo przeciągać, bo nastoletni mechanik zostawił nas własnemu losowi i pewnie wyskoczył na papierosa.

Nasze wagoniki wznosiły się coraz wyżej, w coraz bardziej obłąkańczym tempie.

Nikt ich nie pilnował. Krzyki radości zmieniły się w jęki strachu. Karuzela nigdy się nie zatrzyma. Zginiemy podczas tej szaleńczej jazdy, mój mózg wybuchnie wskutek naporu siły odśrodkowej. I teraz dokładnie tak samo się czuję.

Świat wokół mnie kręci się do nieprzytomności. Przeprowadzając się tutaj, oszukiwałam siebie, sądząc, że w ten sposób mam władzę nad własnym życiem. Ale to było tylko złudzenie.

Joe troszczy się o mnie, jakbym była dzieckiem. Zaniósł mnie na rękach do saloniku i okrył mi nogi starym afganem babci. Najpierw przyniósł filiżankę herbaty, potem wrócił z kieliszkiem dwudziestopięcioletniej whisky. To przegnało dreszcze. Wreszcie przysiadł koło mnie na stołeczku, położył mi rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie, uspokajając moje ciało, podczas gdy wewnątrz wszystko się we mnie trzęsło. Nie mówi ani „No, no”, ani „Wszystko będzie dobrze”. Nie odzywa się ani słowem i tak właśnie jest dobrze. W końcu wstaje, żeby przygotować mi lunch składający się z zupy pomidorowej z puszki i krakersa posmarowanego cienko margaryną.

– Joe, nie musisz tego robić.

– Właśnie, że muszę. Dzisiaj ja zajmuję się pani ranami.

– Nie rozumiem.

– Proszę sobie wziąć wolny dzień od opieki nade mną. Niech mi pani pozwoli zatroszczyć się o siebie.

27 lipca 1944 roku W ciągu pierwszych paru dni od chwili, gdy nazwisko Johna umieszczono na liście „zaginionych w akcji”, nie mog – jf, łam opuścić farmy. Bo co by się stało, gdyby przyjechali, by zakomunikować, że się mylili? Albo że odnaleźli go całego i zdrowego, albo że...

Joe z całą energią zajął się wykończeniem podmurówki pod stodołę. Dzięki podnośnikom wyprostował ją i zbudował nowe fundamenty z cegieł. Jeszcze w czasie kopania pokazał mi, że budynek był pierwotnie wzniesiony z jednej strony na podkładzie z granitu, a z drugiej na podkładzie z drewna, więc jego przechył był właściwie sprawą nieuniknioną. Teraz musi jedynie wypełnić rowy. Godzinami przesiaduję i patrzę na jego pracę.

Pod koniec tygodnia zjawili się Ernie, Judy i Ted, żeby pograć w karty.

– To nasza kolej – oświadczył Joe.

Zauważyłam błysk porozumienia w oczach Judy. W jej pojęciu, a przecież sama przechodziła żalobę, nie chcę podzielić się z nią swoim bólem. Ale jak mogę porównywać swoją stratę z jej nieszczęściem? Jak mogłabym iść do niej, oczekując słów pociechy, skoro jej żaloba jest o tyle głębsza od mojej? Taka ostateczna.

Jeśli – nie, nie mogę zapisać tej swojej myśli. Jeżeli sprawy przybiorą gorszy obrót, wtedy będę zrównana z nią w tragedii. W sensie emocjonalnym. Na razie nie odebrano mi jeszcze nadziei. Więc o pomoc duchową zwracam się tylko do Joego. Nie szlocham, nawet się nie odzywam, ale on toleruje moje milczenie.

Mija już drugi tydzień, odkąd przekazano mi tę wieść. W niedzielę poszłam do kościoła. Żeby się do tego zmusić, skłoniłam Joego, by mi towarzyszył. Gdy się ubrałam, gotowa do wyjścia, siedziałam długo nad filiżanką kawy zbożowej, aż Joe wyjął mi naczynie z rąk i wylał płyn do zlewu. Wręczył mi kapelusz.

– Pani W. , założyłam krawat. Musimy się pospieszyć. Pastor Cummings nie wypuścił mojej ręki ze swojej dłoni, póki się nie zgodziłam, że przyjdzie do mnie z wizytą.

– Czuję się, jakbym zapadła na śmiertelną chorobę, bo ludzie odnoszą się do mnie z taką cholerną sympatią, starają się być tacy mili. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uprzytomniłam sobie, że w bardzo podobny sposób broniłam swej decyzji o przeniesieniu się na jakiś czas do Hawke's Cove. Gdzie teraz mogłabym się udać?

Siedzieliśmy z Joem naprzeciwko siebie w restauracji U Lindy. Namówił mnie, żebym postawiła mu śniadanie za to, że towarzyszył mi na nabożeństwie.

– Nie, tu się pani myli – rzekł do mnie, oddając menu kelnerce. – Oni naprawdę czują do pani sympatię. Nawet podziw. „Straszne, co się przydarzyło Evangeline Worth. Popatrzcie, jak godnie to znosi. Może i my tak potrafimy, gdy do nas przyjdą ze złymi wieściami”.

– Wcale tego dobrze nie znoszę. Joe, doskonale o tym wiesz.

– Ależ nic podobnego. Potrafi pani nad sobą panować. Przez chwilę mu uwierzyłam, ponieważ poprawiało to moje samopoczucie.

Dzisiaj rano po śniadaniu Joe zawołał, abym przyszła do stodoły. Skończył zapełnianie rowów wokół budynku – taczka za taczka kamieni i ziemi, którą trzeba było zrzucić, ubić i obsiać trawą. Z podziwem przyglądałam się jego dziełu i obesłam z nim całą stodołę. Wczesnym ran-

kiem łagodne światło wpada do środka przez okna stajni i okienko na stryszku. W tym świetle zauważyłam, że wszystkie graty zostały uprzątnięte. Obie zagrody, wymiecione i puste, czekają na bydło – są nawet nowe drzwi zbite z desek, a także żłoby. Przestrzeń po prawej naprzeciwko boksów została przerobiona na cztery stanowiska do dojenia krów przedzielone metalowymi prętami, z cementowym zagłębieniem wzniesionym strategicznie w miejscu, gdzie kończą się ich zady. W równych odstępach wiszą jasno świecące żarówki, odprowadzone od przewodu na grubej belce u powały. W kącie leżą bale słomy na podściółkę, a na zewnątrz, za siatką z gęstego drutu, jest miejsce na paszę zieloną. Na świeżo wyheblowanych półkach lśnią bańki na mleko i stągwie, optymistyczna przyszłość krowiej obecności w starej stodole mojej babki.

– A tu jest najlepsza rzecz. – Joe wziął mnie za rękę i zaprowadził do wrót.

Jedno skrzydło zastygło w pozycji, którą pamiętam od czasów dzieciństwa. Chwycił

je oburącz i puścił. Obie połówki zamknęły się z zadziwiającą symetrią. – A nawet lepiej to wygląda, gdy... – Pchnął skrzydła i oba otworzyły się na oścież, jakby gotowe do objęcia nowego dnia.

Zastanawiam się, co Joe zrobił z kolekcją kufrów i skrzyń złożonych w stodole. W ogóle o nich nie wspomniał, więc myślałam, że nie ruszył ich z miejsca. Pewnie po prostu zostawił tam, gdzie były. Nie wiem, co mogłabym w nich odkryć.

Przypuszczalnie zbiór ręcznie szytych kołder i kap. Są już pewnie w strzępach, ale nie pozbywano się ich z szacunku do kobiet, które je wyprodukowały. Ciągle śpię pod jedną z nich, podarowaną mi w prezencie ślubnym. To był ostatnia kołdra sporządzona ręką babci – dość prosty wzór z kwadratów w kolorze błękitnym, zielonym, czerwonym i żółtym. Babka była zbyt schorowana, by zrobić coś bardziej wymyślnego. Dawno minęły już czasy, gdy była mistrzynią w tym fachu. Po prawie dziesięciu latach kołdra też jest już sfatygowana – tu i ówdzie stała się gruzłowata, materiał wierzchni gdzieniegdzie się przetarł. Powinna się jej pozbyć, ale uwielbiam jej dotyk. Czułe wspomnienie dawnych dni.

28 lipca 1944 roku Obudziłam się lekko poirytowana. To miła zmiana po tylu dniach smutku.

Próbowałam pokonać zły humor, zabierając się do porządków. Wysprzątałam cały parter za pomocą szczotki, gąbki i ściereczki od kurzu. Dotarłam do kuchni, gdy wszedł Joe i naniósł błota ze stodoły.

– Może byś skorzystał z wycieraczki!

– Zdejmę buty. Naprawdę bardzo przepraszam... – Przezornie postanowił wyjść, by spotkać się z Sylwestrem Feeneyem, który miał nam udzielić rad w związku z kupnem krów w przyszłym tygodniu.

Gdy zostałam sama, usiadłam na ganku i pozwoliłam sobie na ostry wybuch złości.

Największy jej szczyt nastąpił wtedy, gdy sobie przypomniałam, że Joemu wyleciało z głowy, by wstąpić wczoraj po południu na pocztę, jak było umówione.

Ale gniew mi przeszedł, kiedy zaczęłam się przyglądać zamkniętym wrotom stodoły.

I wtedy pomyślałam o kufrach. Teraz – doszłam do wniosku – nastąpił najlepszy moment na ich inspekcję.

Bele słomy złożono jedną na drugiej niczym gigantyczne kostki cukru. Powietrze jest tam ciepłe i wytłumione. Usłyszałam bzyczenie osy, która tak długo rozbijała się o belki, aż znalazła swoje gniazdo. Przy najdalszej ścianie od wejścia dostrzegłam kufry oraz beczkę, którą pamiętam od młodości. Głosy rówieśników z dzieciństwa rozległy się echem, gdy sobie przypomniałam, jak bawiliśmy się tu w chowanego. Ogromna beczka stanowiła wspaniałą, choć może zbyt oczywistą kryjówkę, a czasami służyła nawet kilkorgu dzieciom. Pamiętam nasze stłumione szepty i chichoty, gdy zbliżał się ten, co nas szukał. Objął się w stodołę, jak nie przymierzając osa, a my siedzieliśmy jak trusie. Ta kryjówka była niezrównana tylko w zabawie z przeciwnikami, którzy na serio przyjmowali uwagi, że mamy trzymać się z daleka od stodoły.

Jeden z kufrów ma beczkowate wieko, a drugi – zwykły czarny prostopadłościan – wyróżnia się nalepkami na wszystkich ściankach – dowodami podróży babci do Europy. Mój ojciec zapakował się do niego, jadąc na studia. Na samym środku wieka widać znaczek jego uniwersytetu, między nalepkami z Paryża, Lizbony i Londynu.

Drobiny siana błyszczały w promieniach słońca i nadawały powietrzu żółtawe zabarwienie, zwłaszcza przy wrotach do stodoły. Najpierw otworzyłam kufer z wypukłym wiekiem. Jak się spodziewałam, umieszczono w nim bardzo stare wyszywane kołdry, starannie zawinięte w

prześcieradła. Zszywane z kawałków według dość popularnego wzoru, co trochę mnie rozczarowało. Chciałabym znaleźć któryś z popisowych wyrobów babci. Myślę jednak, że rozdała je krewnym na długo przed śmiercią. Złożyłam kołdry na lewą stronę, żeby zachowały się nieco dłużej.

Pozostał mi do przeglądu kufer na wielkie podróże. Wiem, że znajdują się w nim rzeczy ojca, bo na samym wierzchu leży jego sweter. Wyciągnęłam wszystkie ubrania i położyłam na beli słomy do szczegółowej inspekcji. Tata umarł, kiedy byłam nastolatką, i babcia wiele mi opowiadała o jego dzieciństwie, ale nie o latach dorosłych, bo wtedy już dawno rzucił farmę i prowadził własną firmę w Bostonie. Wyjęłam niemal wszystko. Wełniane spodnie, białe koszule bez kołnierzyków i mankietów. Wąski krawat – chyba przypominałam go sobie. Sięgnęłam ręką głębiej i wyciągnęłam jego togę oraz biret z ceremonii wręczenia dyplomu uniwersyteckiego.

Jeszcze raz zanurzyłam rękę i... moim oczom ukazał się koc pań Ruth.

– Pani W. ! – słyszę wołanie Joego z nutą zaniepokojenia w głosie. Nie zostawiłam mu kartki na stole kuchennym, jak to robię przed pójściem na plażę. A poza tym mój kostium kąpielowy dynda na sznurku przed domem.

– Pani Worth?

Mój rower stoi oparty o ścianę ganku, bo zapomniałam wstawić go do środka, więc Joe domyślił się, że nie wybrałam się również na przejażdżkę.

– Vangie?

Teraz zaszedł do stodoły, a jego niepokój uzewnętrzniał się wołaniem mnie po imieniu. Nigdy przedtem tak się do mnie nie zwrócił.

– Tutaj.

Już wie. Nawet przed postawieniem nogi na pierwszy szczebel drabiny zorientował się, że wykryłam jeden z jego sekretów. Nie najważniejszą tajemnicę, tego jestem pewna, ale moje odkrycie jest złamaniem zaufania, jakim go darzyłam. Kiedy ukazuje się w otworze prowadzącym na stryszek, ściskam w ręce koc.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Tak, ale nie zrobiłem tego od razu, a potem minęło tyle czasu, że nie potrafiłem się przemóc. Nocowałem w twojej stodole, wziąłem koc,

żeby się ogrzać w czasie zimnych kwietniowych nocy. Przywłaszczyłem sobie także ubranie twojego męża, by nie chodzić nago.

Mój Joe, mój przyjaciel, okazał się włóczęgąłodziejaszkiem.

– Dlaczego?

– Byłem u kresu.

– Dlaczego byłeś u kresu? – Od dawna chciałam zadać mu to pytanie.

– Nie mogę pani powiedzieć.

Gniew wybucha we mnie jak wulkan. Wypluwam z siebie słowa nabrzmiałe wściekłością i tłumionymi emocjami.

– Spotkałeś się z życzliwością i zdeptałeś ją jak śmieć. Pewnie codziennie wyśmiewasz się ze mnie, „Pani Worth, cha, cha. Ukradłem ubranie jej męża i drwię sobie z tego. Skradłem jej dobroć, jej zaufanie do mnie, jej...” – Zabrakło mi tchu. Wstrzymałam się cudem przed wypowiedzeniem słowa serce. Tak, on skradł mi serce. Z każdym epitetem pod jego adresem podchodziłam do niego coraz bliżej. – Mój mąż leży zabity gdzieś w lesie we Francji, a ty dokładasz mi cierpień.

Zmuszasz mnie, żebym się tobą zajmowała. To nie jest w porządku. Przybyłeś tu w bardzo podejrzanych okolicznościach. Przez cały czas mnie okłamywałeś.

Uderzyłam go. Raz, drugi, trzeci – z całej siły, z wściekłością. Za to, że zniszczył moje szczęście. Biłam go pięściami po piersi, bo mnie oszukał, bo żył, podczas gdy mój mąż zginął. Ponieważ moje dziecko urodziło się martwe i Joe Green nie miał pojęcia o jego istnieniu. Bo od samego początku domyślałam się, kto ukradł to ubranie, choć tak bardzo pragnęłam się mylić. Biłam go tak długo, aż chwycił mnie za nadgarstki. Poczułam równocześnie jego puls i swój. Mój walił jak oszalały, jego był ledwie wyczuwalny.

– Pani mąż nie jest martwy.

Czekał, póki nie przestałam się bronić, i dopiero wtedy rozluźnił uścisk. Ujął mnie delikatnie za ręce.

– Musi mi pani uwierzyć, gdy mówię, że zrobiłem to wszystko, by ocalić życie.

Przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że źle czynię. Nie miałem racji, postępując zgodnie z instynktem samozachowawczym. Ale wtedy spotkałem panią i kłamałem od pierwszej chwili. Z konieczności. – Puścił moje dłonie i odwrócił się tyłem. – Z konieczności – powtórzył. Znowu stanął do mnie twarzą. – Proszę nie sądzić, że przeżyłem choć

jeden dzień, gorzko tego nie żałując. Niech mi pani nie zadaje pytań zmuszających mnie do dalszych kłamstw. Czy może pani mnie zrozumieć?

Stałam z rękami jak przyklejonymi sztywno do boków, czując napływ gorąca. Było mi duszno, zapach siana ze stryszku stawał się nie do wytrzymania. Nie mogłam mu odpowiedzieć, a moje milczenie wziął za dowód braku zaufania.

– Pani Worth, stodoła jest wyremontowana. Gotowa na przyjęcie krów. Więc gdy odejdę, będzie pani mogła sobie powiedzieć, że ten człowiek zrobił przynajmniej jedną dobrą rzecz.

Minął mi cały gniew. Gapiłam się, jak Joe zbliża się do drabiny, i nagle uprzytomniłam sobie, że nie zniosę kolejnej straty. Następnego ciosu w serce.

Nie sądzę, że potrafiłabym na nowo przywyknąć do samotności.

– Joe. Nie odchodź.

Nie spojrział w moją stronę, jedynie zamarł, stojąc do mnie tyłem.

– Czy jest pani pewna?

– Tak.

Odwrócił się i zbliżył, obejmując mnie ramionami. Złożyłam mu głowę na piersi, jakbyśmy byli kochankami. Joe oparł policzek na mojej głowie i począł łagodnie mnie kołysać. Myślę, że oboje znaleźliśmy w tym goście ukojenie, oboje byliśmy spragnieni dotyku drugiego człowieka. Pogłaskałam jego koszulę, postanowiwszy w duchu, że nie mogę stracić także jego.

Śni mi się moja kruszynka, śni mi się poród. Okropne bóle porodowe każą mi się zwinąć w pól. Gumowa maska na nosie nie zapewnia narkozy. Rzucam się, gdy kroją mnie na żywca. Krew wypływa strumieniem i dziecko wstaje z głośnym płaczem, czego przecież w rzeczywistości nigdy nie zrobiło. Strumień krwi spływa na podłogę i zamienia się w rzekę, w której pływają lekarze i pielęgniarki. Budzę się, czuję mokre prześcieradło i orientuję się, że dostałam okresu.

– Cholera – mówię głośno i wstaję z łóżka, ściągając prześcieradło. Nikt mnie nie uprzedził, że po urodzeniu martwego dziecka miesięczka wraca szybko i jest bardzo obfita.

Koszula nocna i pościel są nasiąknięte krwią. Rozbieram się do naga. Ze względu na obecność Joego za ścianą trzymam teraz środki higieniczne w sypialni. Na szczęście mam podpaski, zakładam jedną z nich.

Schodzę po schodach na palcach i stoję przed zlewem w kuchni, żeby się umyć. Choć staram się zachowywać jak najciszej, i tak budzę Joego.
– Nic pani nie jest? – Wygląda jak duży brodaty chłopiec, gdy tak stoi w drzwiach swego pokoiku. Jedną ręką przytrzymuje koc, którym owinał się w pasie, drugą przeciera zaspane oczy.

– W porządku. Wracaj do łóżka.

– Co się stało? – Ponieważ jest mężczyzną, nie od razu kojarzy powód mojego zerwania się nocą. Ja z kolei wstydzę się mu tłumaczyć.

– Och. – Wreszcie do niego dotarło.

Zagotowałam tyle wody, żeby starczyło na namoczenie pościeli i koszuli oraz na dwie filiżanki herbaty. Prawie świta, więc postanawiam już się nie kłaść.

– Zrobię nam coś gorącego do picia.

Joe wciągnął spodnie, ja mocniej zacisnęłam pasek szlafroka. Czy wyglądamy na parę? Bolesne skurcze w dole brzucha sprawiają, że się krzywię. W tym momencie przypominam sobie sen. Krzywię się jeszcze bardziej.

– Może nie warto pić herbaty, lepiej napełnię butelkę gorącą wodą.

– Co wiesz na ten temat? – pytam i od razu ogarnia mnie lęk, że jest to jedno z pytań, których nie powinnam zadawać. Pewnie za chwilę dowiem się o porzuconej żonie.

– Siostry – odpowiada jednym słowem. Aha. Przecież ja nic o nim nie wiem.

2 sierpnia 1944 roku No więc mamy krowy, dokładnie trzy. Nie jest to jeszcze stado, ale pan Feeney mówi, że ta liczba kwalifikuje moje gospodarstwo na farmę. W czwartek udaliśmy się do Tylerville i wzięliśmy udział w aukcji organizowanej tam co tydzień. Joe wyraźnie nie chciał jechać, utrzymując, że ma mnóstwo pracy, że jest zajęty, że obiecał pomóc paniom Ruth w ogrodzie. Ustąpił dopiero wtedy, gdy Seb/ester Feeney dodał, że leżące na północy stanu miasteczko to „kompletna dziura”, a nie żadna modna miejscowość i że spotykają się tam wyłącznie farmerzy. Ponadto nasz przewodnik oświadczył, że nie pojedzie „tylko z kobietą do pomocy, żeby przywieźć krowy”.

Po tej uwadze Joe wpadł w entuzjazm.

Pojechaliśmy ciężarówką Feeneya z podskakującą na wybojach przyczepą mogącą pomieścić sześć krow. Siedziałam w szoferce wciśnięta między dwóch mężczyzn.

Czując się lepiej w towarzystwie Joego, napierałam na niego wskutek siły odśrodkowej na zakrętach, których na tej drodze nie brakowało. Feeney pokonywał je z ryzykowną szybkością. Jakimś cudem dotarliśmy w całości na sam początek aukcji. Stodoła, gdzie się ona odbywa, to wzniesiony z pustaków parterowy budynek z wielkimi dwuskrzydłowymi wrotami i szeregiem wysokich prostokątnych okien. Minęliśmy obóz, w którym umieszczono mężczyzn odmawiających z powodów etycznych udziału w wojnie, i przyszło mi do głowy, że może oni wzniesli tę budowlę. Wzdłuż jednej ze ścian stały rzędem zaparkowane czarne ciężarówki, które skojarzyły mi się ze szczeniakami labradorów ssącymi matkę.

Wewnątrz ujrzałam arenę ze stanowiskiem dla prowadzącego aukcję, a wokół – rzędy drewnianych ław. Znowu wciśnięta między moich towarzyszy, poczułam lekkie mdłości, bo tłum farmerów stale się kołysał, dając sobie znaki. Rozejrzałam się po sali. Ogorzałe twarze, naznaczone pracą polową. Poorane zmarszczkami czoła, skóra spalona słońcem i wiatrem, nieodłączny papieros zwisający z warg. Wszyscy byli już w dość zaawansowanym wieku, ich obowiązki powinni przejąć synowie. Jednakże w obecnej sytuacji musieli dalej ciężko pracować, licząc w duchu na szczęśliwy powrót dzieci z wojny. Jeśli oczywiście zwolnieni ze służby żołnierze zechcą wrócić na rolę. Ciągle chodzi mi po głowie głupia piosenka z czasów pierwszej wojny: „Jak ich zatrzymasz na farmie, gdy już zaznali innego życia?”.

Joe też się rozglądał. Zastanawiałam się, czy czuł się niezręcznie, że jest jedynym młodym mężczyzną w tym zgromadzeniu. Co myśleli o nim inni? Zauważył, że patrzę na niego, i uśmiechnął się.

– Może byłoby wskazane, żebyś trochę utykał?

– Skąd pani wie, o czym myślę?

– To ja o tym myślę. Czy właśnie z tego powodu nie miałaś ochoty tu przyjechać?

– Kolejne zakazane pytanie.

– Nie.

Musieliśmy skończyć rozmowę, bo wprowadzono pierwsze owce przeznaczone na aukcję.

Były tak rozkoszne, że już chciałam zrezygnować z kupna krów i założyć hodowlę owiec. Pan Feeney rzucił mi karcące spojrzenie, gdy mu o tym wspomniałam.

Rozległo się beczenie i nawet starzy wyjadacze uśmieli się, gdy pewien tryk sam postanowił wziąć udział w aukcji i odpowiadał na jodłowanie mistrza ceremonii głośnym: „Beee”.

– Dwadzieścia jeden docłów... Czy usłyszałem dwadzieścia dwa? To ci dopiero głośny baran, co? Kto mi da dwadzieścia trzy? Nie ty, głupia owco. Zostaliśmy przy dwudziestu dwóch...

Tuż po jedenastej, gdy ostatnie owce wyprowadzono przez tylne drzwi, weszły pierwsze krowy mleczne.

– Proszę nie podnosić ręki – ostrzegł mnie Feeney z niezapalonym papierosem w kąciku ust. – Ja będę rozgrywał.

Zawarliśmy umowę. Ja nabędę krowy, a on będzie ode mnie kupował mleko. Da mi dobrą cenę za dostawy własnej zielonki, a ja sprzedam mu krowy za cenę kupna, jeśli wyniosę się z Hawke's Cove przed upływem roku. Pan Feeney wybiera więc bydło bardzo skrupulatnie. Jego kryteria są dla mnie zupełną zagadką. Gdy pojawia się na arenie kolejny okaz, on albo kiwa głową, albo nią kręci. Zaczęłam się niepokoić, gdy nie zainteresował się siedmioma dorodnymi krowami, więc udałam się do rzadko używanej toalety dla pań. Dzięki akustyce nawet tam słychać było przebieg aukcji. Myjąc ręce nad umywalką, usłyszałam, że numer trzydzieści cztery został sprzedany klientowi z numerem sto trzy. To my, a więc stałam się właścicielką krowy! Potem nabyłam jeszcze dwie – matkę i jej cielaka.

Od dawna nie miałam żadnego zwierzęcia, bo John nie był ich miłośnikiem, więc wybiegłam, by się zapoznać z moimi krowami. Bessie ma sierść miękką jak sarna i jest łaciata, czarnobiała. Dotknęłam jej ciekawskiego wilgotnego nosa. Druga krowa jest rasy jersey, brązowobiała. Nazwaliśmy ją Mamuśka, a jej cielę – Baby.

Nie mam pojęcia, czym te właśnie okazy różnią się od pozostałych szesnastu, które przemaszerowały podczas aukcji.

– Metryką – odparł lakonicznie Feeney.

Razem z Joem załadowali nasze stado na przyczepę, podczas gdy ja przypatrywałam się operacji z bezpiecznej odległości. Jedna z krów kopnęła Joego w kolano, ale nic mu nie zrobiła, jak zapewniał. Sprawiała jednak, że trochę kuleje. Biorąc pod uwagę przebieg naszej rozmowy w czasie jazdy na aukcję, roztropnie wstrzymałam się od ironicznych uwag na ten temat.

Po obiedzie poszliśmy z Joem do stodoły, w której trzy krowy spokojnie przeżuwały wyznaczoną im ilość paszy. Pan Feeney udzielił nam szczegółowych instrukcji w tej sprawie. Joe pogłodził Bessie po krzyżu. – Pani W., myślę, że ta krowa bardzo się pani przyda. – Poskrobał ją za uszami.

– Nie jest to odwrócenie uwagi od tego, co się dzieje, ale skupienie się na czymś innym. A to jest pani bardzo potrzebne.

– Wydaje mi się, że chów bydła to przede wszystkim ciężka praca. I spada głównie na ciebie. – Patrzyłam, jak głodzi błyszczącą sierść zwierząt. – Joe, bez ciebie nie umiałabym się nimi zająć.

Objął mnie ramieniem i lekko uściśnął.

– To głupstwo, psze pani. Jestem tylko kowbojem znającym swój fach.

– Hej, kowboju, może trochę piwa? Ruszyliśmy do domu, trzymając się za ręce.

7 sierpnia 1944 roku Nie miałam pojęcia, że krowy są tak wymagające. Zawsze sądziłam, że tylko muczą i żują, a w przerwach przechadzają się po pastwisku. Nic podobnego. Krowy domagają się nakarmienia dokładnie o szóstej rano, następnie wy dojenia, i przeciągle ryczą, kiedy nie są obsłużone natychmiast. To dużo gorzej niż łakomy kot domagający się posiłku.

Joe jest taki dobry. Wstaje i zajmuje się nimi, zanim ja zwlekę się z łóżka.

Schodzę niepewnym krokiem i nastawiam kawę, choć czasami wracam na górkę i drzemię, póki nie usłyszę odgłosów kipienia. Joe nigdy nie narzeka, nawet żartem. Czasami odnoszę wrażenie, że on po prostu lubi tę pracę. Wczoraj w sklepie z artykułami dla rolników kupił miękką szczotkę do czesania koni i przez godzinę szczotkował krowy, jakby były rasowymi psami. Układa też o nich różne historyjki.

– Mamuśka i Baby zawędrowały aż do muru granicznego, żeby tam się położyć.

Bessie trzyma je na dystans.

Jego zdaniem ta krowa ma zadatki na przywódczynię stada. Ale później dostrzegł, jak Bessie i Mamuśka stały łeb w łeb, „rozmawiając sobie”, jak to nazwał.

Nie powinnam się dziwić. Joe i mnie traktuje jak ulubione zwierzę. Zawsze sprawdza moją temperaturę uczuciową i dostosowuje otoczenie do moich potrzeb.

Rzuca pracę, gdy dostrzega, że rozglądam się wokół martwym wzrokiem, i proponuje spacer albo przejażdżkę rowerem. Odmawia wzięcia sobie wolnego dnia.

– A co bym miał zrobić z czasem? – pyta.

– Pojedziesz do Great Harbor i obejrzysz film? Albo będziesz się byczył na plaży przez cały boży dzień?

– Nie mam ochoty na pierwsze, a plażę lubię tylko wtedy, gdy wszyscy już z niej zejdą.

Chodźmy nad ocean razem, gdy tylko jest ładna pogoda. Zazwyczaj około trzeciej.

Wtedy Joe ma już za sobą najcięższe prace, „do siódmych potów”, jak je nazywa, a ja wmawiam sobie, że też pożytecznie spędziłam dzień. Biorę lekką wałówkę – jakieś owoce, pudełko krakersów, termos z lemoniadą albo choćby z zimną wodą.

Nic wymyślnego.

Zaobserwowałam, że Joe ukrywa swoje plecy. Nigdy nie pracuje rozebrany do połowy, nawet w czasie największych upałów. Przypuszczam, że dlatego lubi plażować po południu, bo wtedy słońce grzeje znacznie słabiej. W ten sposób nie drażni świeżych blizn. Nie zapytałam, skąd je ma. Jest jak ściana, gdy napomykam coś na temat jego przeszłości. Choć sądzę, że całkiem nieźle poznałam Joego Greena, jest on nad wyraz zamkniętym w sobie człowiekiem.

10 sierpnia 1944 roku Panie Ruth zatelefonowały dzisiaj, pytając, czy mogą „wypożyczyć” Joego na parę godzin. Prócz koszenia trawy raz w tygodniu Joe zagląda tam kilka razy na tydzień, żeby przyciąć gałęzie lub przenieść jakieś ciężkie przedmioty. Niedawno Ruth Banks sama przносиła jakiś ciężki mebel. Pewnie tak nie było, ale wszem wobec wiadomo, że nie lubi prosić o pomoc.

– Vangie, kochanie, mogłabyś nam pożyczyć swojego chłopaka? Musimy podciąć drzewka i krzewy. Ty też czuj się zaproszona. Będzie nam rażniej w towarzystwie.

– Ruthie Jones mnie nie zmyli. Miała na myśli, że to mnie dobrze zrobi towarzystwo innych. Nadal unikam ludzi. Jestem najszczęśliwsza... nie, to nie jest odpowiednie słowo. Jest mi lepiej, kiedy nie muszę uczestniczyć w rozmowie.

I wiem, jak tego unikać. Ostatnio posługiwałam się tą metodą w sklepie kolonialnym. Kiwałam głową i wtrącałam uwagi do chwili, gdy Angela

West zapytała mnie, jak ja się miewam. Z delikatnym naciskiem na ten zaimek najtrudniej się uporać. Jak się mam? Świetnie. Doskonale. Używałam tych lakonicznych zwrotów, uspokajając tych, którzy słabo mnie znają. Lepiej udawać, że wszystko w porządku.

A co miałabym zrobić innego? Chwycić ją za ramię i krzyżeć: „Jak myślisz?! Mój mąż zginął. Codziennie wczytuję się w gazetę, śledząc każde nazwisko na liście, bo może zginął, a armia zapomniała mnie o tym zawiadomić”. Czy byłoby to niegrzeczne? Okrutne z mojej strony? W każdym razie nie tego się po mnie spodziewano.

Cóż za prześliczny dzień. Nieco mniej wilgoci w powietrzu, niebo intensywnie lazurowe nad całkowicie spokojnym lustrem oceanu. Na zachodzie zbierają się baranki i po zaciągniętym chmurami horyzoncie orientuję się, że jutro będzie padało. Pojechałam do pań Ruth z Joem. Wzięliśmy tym razem rowery, bo moja racja benzynowa jest już prawie na wyczerpaniu. Ruth Banks powitała nas z groźnie wyglądającym sekatorem, a Ruthie Jones w żółtym ochronnym fartuchu wokół pulchnego łona zajmowała się roślinami na klombie. Cała nasza czwórka powędrowała w kierunku starego żywopłotu zasadzonego jeszcze ręką ojca Ruth Banks. Oddziela dom od szosy.

– Mam już serdecznie dosyć tych zarośli. Pragnę mieć biały płot obrośnięty pnącymi różami. Już tyle razy musiałam przy nim tyrać. Tata go zasadził, żebyśmy nie opuszczały ogrodu. Myślę, że jestem na tyle dorosła, żeby nie wybiegać na jezdnię bez sprawdzenia, czy ktoś nie nadjeżdża.

– Poza tym przechodniom będzie miło, gdy ujrzą wasz piękny ogród. – Gestem dłoni wskazałam na nieskazitelny gazon i klomby zaprojektowane w starym stylu.

Przed domem i wzdłuż wyłożonej kamieniami ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych kwitły kwiaty w każdej możliwej barwie – niebieskie, czerwone, żółte, fioletowe i białe. Starannie dobrane skałki i krzewy tkwią jak kotwice przy klombach, nadając każdemu z nich odmienny charakter.

– Tak samo orzekł Joe, a ja na to odparłam – prawda, Ruth? – do diabła, dlaczegoż by nie? – Ruth Banks wręczyła mi sekator i podreptała gdzieś, by przynieść piłę i łopatę. To było naprawdę dobre. Fizyczny wysiłek, żeby wyrwać z korzeniami te dwudziestopięcioletnie krzewy. Cięliśmy je na kawałki, piłowaliśmy, pracowaliśmy, aż wreszcie ułoży-

liśmy stertę badyli szpecącą piękny ogródek. Joe obiecał, że pożyczycy od Sunderlandów ciężarówkę i wywiezie wszystko na śmietnisko.

Potem, wnosząc na butach żółtawą ziemię, zasiedliśmy w czyściutkiej kuchni i uraczyliśmy się domowym plackiem oraz prawdziwą kawą, którą Ruthie Jones skądś wytrzasnęła. Ruth Banks sięgnęła natomiast do kieszeni ogrodniczek i wyjęła tyle pieniędzy, ile ja płacę Joemu za miesiąc pracy.

– Nie, proszę, to nie jest konieczne. – Joe łagodnym ruchem odsunął rękę z żalobą za paznokciami. – Prawdziwa kawa jest najlepszą zapłatą.

– Proszę nie gadać głupstw. Weźmiesz to, bo nie widzę, żebyś był za bogaty.

– To za dużo.

– Potraktuj więc te pieniądze jako zaliczkę na budowę płotu.

– W porządku.

– Kiedy możesz się tym zająć?

– To zależy od pani W. – Joe spojrzał na mnie, oczekując odpowiedzi. Z niewiadomego powodu jego wzrok przypomniał mi o Johnie. Jakby to on patrzył na mnie z prośbą, abym zwolniła go z jakiegoś zobowiązania.

– Chryste, ludzie, ja nie jestem ekonomem. Uzgodnijcie to między sobą.

15 sierpnia 1944 roku To już miesiąc. Miesiąc, odkąd wręczono mi list. Mam w sobie taką bezsilność, jakbym nie mogła pokonać fali spychającej mnie w głąb oceanu. Człowiek w panice zapomina o jednej prostej radzie: uspokój się, wypłyniesz na powierzchnię.

Zamiast tego walczy na oślep, kłębi się i jest tak zdezorientowany, że otwierając usta, by zaczerpnąć tchu, połyka wodę.

Miesiąc, i ani słowa. Usiłowałam się oszukać: to będzie tylko kilka dni...

tygodni... I wtedy na pewno otrzymam wiadomość... Teraz pytam siebie, czy będzie to parę miesięcy? Lat? Czy kiedykolwiek się dowiem?

Głośno wyrażam swoje lęki tylko w obecności Joego. Wobec pozostałych zachowuję kamienną twarz. „Ona jest taka dzielna” – słyszę pod swoim adresem. Powtarzają to panie Ruth, Sunderlandowie, a nawet, niech im Bóg błogosławi, Frickowie.

Jedynie Joe słyszy moje kroki w sypialni podczas bezsennych nocy. Tylko on widzi, gdy zamieram, patrząc w przestrzeń, z rękami zanurzonymi w mydlinach. I tylko on wie, że nigdy nie płacę.

16 sierpnia 1944 roku Ściągam ogromny bukiet cynii. Pomidory są jeszcze zielone, ale na krzakach jest ich mnóstwo. Pogoda prawie idealna – słoneczne dni i mgliste noce. Deszczu tyle, że lustro wody nie opada. Zebrałam już wszystkie papryki, cukinie, fasolkę.

Patison dopisał nadzwyczajnie. Groszek został już dawno zjedzony przez jakieś zwierzę, zostało tyle co na jeden posiłek. Jestem z tego niezadowolona, ale się nie poddaję. W przyszłym roku wypróbuję szparagi. Mówiono mi, że nasza gleba jest dla nich odpowiednia. W przyszłym roku. Piszę te słowa i zastanawiam się, czy rzeczywiście będę tu nadal za rok. Czy tego pragnę? John nie zechce tu mieszkać. Jego życie, a raczej nasze wspólne życie jest związane z jego karierą architekta, co z definicji łączy się z miastem. Z tego powodu muszę być pesymistką. W każdym razie planuję pobyt na farmie na tak długo, by zasadzić szparagi. Sadzi się je bardzo wcześnie.

Takie są myśli, które prześladują mnie nocami. Chcę tu zostać, choć jest to przejaw nielojalności wobec Johna albo może marzenie nie do zrealizowania, albo po prostu bardzo egoistyczny pomysł. Z trudem wyobrażam sobie życie gdzie indziej. Ani razu nie zateśniłam do naszego mieszkania w Bostonie. Wiem, że to samolubne – płacić czynsz za coś, z czego się nie korzysta. To rozrzutność. Ale co będzie, jeśli John wróci i nie będziemy mieli gdzie mieszkać? Tak czy owak, to farma jest moim prawdziwym domem. Moim domem.

Właśnie sobie uprzytomniłam, że w większości listów do Johna, wysyłanych z nadzieją, że kiedyś do niego dotrą, odwołuję się do argumentów na rzecz pozostania tutaj. Nie ujmuję tego kategorycznie, raczej są to aluzje do dobrych stron życia na wsi, do przynależności do niedużej grupy mieszkańców. Opisuję mu, jak tu pięknie, ludzie są wobec siebie życzliwi, czuję się tu na miejscu, bezpiecznie. Odkrywam się w tych listach, bo... Nie, nie mogę pisać do niego w ten sposób, jakby moje listy miały nigdy do niego nie dotrzeć. Tego mi nie wolno.

Nasze zajęcia to przede wszystkim dogłądanie krów. Joe \ zrywa, się przed świtem, żeby je wydoić. Mamuśka i Bessie dają sporo mleka. Moim zdaniem taka ilość jest imponująca, ale Selvester twierdzi, że powinny dawać więcej. Baby już nie ssie.

Oddzieliliśmy ją od matki, tak że nawet jej nie widzi. Cielę ryczało z tęsknoty tak żałośnie, że rozboleły mnie nawet moje wyschnięte piersi. Joe spędzał z jałoweczką mnóstwo czasu, karmiąc ją z ręki, łagodnie czesząc miękkim zgrzeblem, przemawiając jak do dziecka. Baby dwukrotnie zdołała wyrwać się z zagrody i pobiec na pastwisko. Mamuśka, jak się wydaje, nic sobie nie robi z nieobecności cielęcia. Taka jest natura, jak sądzę.

Jestem dobrą... farmerką? Nie, raczej – dajmy na to – szefem. Tak, sprawdzam się jako zarządca. Już łatwiej idzie mi ranne zrywanie się z łóżka i szykowanie Joemu śniadania z prawdziwego zdarzenia – owsianka, jajka na bekonie, tosty. A zresztą robię to, na co on ma ochotę. Lubię dla niego gotować i z radością zauważyłam, że już mu nie sterczą zębra.

Po śniadaniu czas na sprzątanie po krowach. Nie mogę pojąć, dlaczego wypróżniają się w oborze. Zdumiewające. Ale nie mam im tego za złe. W stodole unosi się silny odór, lecz nie odbieram go jako nieprzyjemny. Jest odpowiedni dla miejsca, ten zapach ma swój cel.

Około dziewiątej nadchodzi Sylvester, żeby odebrać mleko. Przez pierwszy tydzień miał zwyczaj długiego obserwowania krów pasących się na odległym krańcu pastwiska, ale teraz chyba zdecydował, że nie robimy im krzywdy. Zabiera więc mleko i zostawia czyste bańki.

Po południu cały proces się powtarza. Joe nauczył je, aby przychodziły na zawołanie.

– Tutaj, Bessy, chodź, Mamuśka, Baby, chodź! Wracajcie krowki do domu! – Jest z siebie dumny, ale myślę, że przychodzą, aby się nażreć.

Gdy po raz pierwszy krowy na jego wołanie uniosły głowy, wpadł w ekstazę. A kiedy zaczęły wolno zbliżać się w stronę zagrody, krzyknął do mnie:

– Proszę to zobaczyć!

– Czy nie sądzisz, że ich zachowanie ma coś wspólnego z czekającą na nie paszą?

– Myślę po prostu, że traktują mnie z szacunkiem. Kiedy krowy jedzą, doimy je.

Oboje doszliśmy w tym do pewnej wprawy, poświęcając każdemu wymieniowi tyle samo czasu. Uważamy, żeby w żadnym z nich nie zostało ani kropli mleka. Taka nieostrożność – ostrzegł Sylvester – prowadzi u

krów do cyst. Niekiedy rozmawiamy ze sobą w trakcie dojenia. Ale często przemawiamy również do krów łagodnym, cichym głosem.

Rytmiczne ruchy, które wykonujemy, dźwięk strużki mleka spływającej do wiadra, czoła przytulone do boku krowy – wszystko to sprawia, że stajemy się trochę senni. Dojenie sprzyja medytacjom.

Mam radioodbiornik, nowiutkiego philco. Po kolacji słuchamy wiadomości, a potem kilku audycji. Joe jest tak zmęczony, że zazwyczaj zasypia, choć usiłuje z tym walczyć. Muszę wyznać, że lubię obserwować, jak śpi. Nie wiem dlaczego. Czasami mam ochotę przykryć go pledem i zostawić śpiącego na ławie. Otulić kocem jak dziecko. Nie robię tego jednak. Dotykam tylko ramienia, budzę z drzemki i mówię:

– Krowy.

Ostatnie dni lata są takie piękne. Wieczorem zazwyczaj wychodzę z Joem, gdy on po raz ostatni sprawdza, co się dzieje z naszymi przyjaciółkami w oborze.

Czasem siadujemy na ganku z tyłu domu i pociągamy nieco naszej whisky lub dzielimy się butelką piwa. Zdarza się, że wybieramy się na nocne pływanie.

Biegniemy z powrotem do domu, żeby się rozgrzać, bo wieczory są już chłodne.

Dzisiaj w nocy był alarm przeciwlotniczy. Usłyszeliśmy, jak syrena na budynku straży pożarnej obwieściła kodowany sygnał. Jedendwa, jedendwa. Pauza. Jedendwa jedendwa. Kilka świateł widocznych w zasklepieniu zatoki zgasło. Jest tak ciemno, że idąc na plażę, posługiwaliśmy się latarką. Nie ośmieliliśmy się wrócić, póki alarm nie został odwołany. Cały ten czas spędziliśmy w płytkiej wodzie przybrzeżnej, dając się unosić lekkim falom. Powietrze było zimniejsze niż ocean, który nocą wydaje się cudownie jedwabisty, w dużo większym stopniu niż za dnia. Nie było widać nawet jego zmarszczonej powierzchni. W ciemnościach nie mogłam dostrzec Joego, aż poczułam jego mokre włosy na swojej nagiej skórze, gdy przepłynął tuż koło mnie.

– Czy pani zgasła lampy przed wyjściem z domu? – Wie, że nie jestem tak ostrożna ze światłem elektrycznym jak z lampami naftowymi.

– Mam nadzieję.

– Niech to będzie pani zmartwienie, jak Japończycy zdobędą Hawke's Cove.

Prysnęłam wodą w kierunku, skąd dochodził jego głos, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko plusk. Joe zanurkował. Nagle szarpnął mnie za nogi, wciągając do ciemnej jedwabistej wody.

Ciemność daje nam pewne immunitety. Chroni nas przed zbyt szybką starością, rozpaczą, ale także i zbytnią powagą. Daje nam odrobinę większą wolność.

Bawiliśmy się więc w wodzie. Joe położył mi ręce na biodrach, ale szybko je cofnął, gdy uświadomił sobie, co robi.

Jutro – wieczorem wybiera się z Erniem na połów ryb.

17 sierpnia 1944 roku Czas od popołudniowego udoju do wieczornej inspekcji krów spędziłam z Judy. Ted zabrał się z Erniem i z Joem, więc obie postanowiłyśmy spędzić babski wieczór – pójść do restauracji, a potem do kina.

– Czy powinniśmy zaprosić panią Dubee?

– Judy, chyba żartujesz?

Bładoszare oczy Judy ukryte za okularami błyskały por zumiewawczo.

– No, myślałam, że taki babski wieczorek wymaga, by... Pogroziłam jej palcem przed nosem.

– Moja babcia powiedziałyby, że ty, Judy Frick, jesteś niezły numer i że trzeba się ciebie wystrzegać.

– Tak, pewnie by miała rację.

Judy prowadziła swego forda z taką nonszalancją, że ze strachu trzymałam się kurczowo klamki, spodziewając się na każdym zakręcie czołowego zderzenia.

Zauważyła mój lęk i zaśmiała się diabolicznie.

Dobrze czasami włożyć dopasowaną w talii sukienkę, pantofle na wysokich obcasach, pomalować usta czerwoną szminką i uczernić rzęsy prawie wyschniętym tuszem. Zbyt długo już chodziłam w nijakich podomkach lub starych spodniach. Gumiaki stały się moim codziennym obuwiem, na zmianę ze zniszczonymi tenisówkami z dziurą na palcu. Joe pewnie myśli, że w ogóle o sobie nie dbam. Zrazu mówi[^] sobie, że niewiele mnie to obchodzi, ale wcale tak nie jest. Ciągoty kobiece.

W sobotni wieczór Great Harbor pękał w szwach od marynarzy i żołnierzy na weekendowych przepustkach, z dużą ilością forsy w kieszeniach, obciążonych przeznaczonym im losem na polach bitwy. Nigdy przedtem nie oglądałam w miasteczku tak wielkiej liczby mundurów, ulic zapchanych młodymi szczupłymi mężczyznami z uśmiechem na

wargach i niecnymi zamiarami w sercu. Wiem, co wszyscy z nich mieli na myśli. Uważali, że muszą znaleźć się w łóżku z jakąś chętną dziewczyną, zanim wyruszą na wojnę. Większość tych chłopaków była tak młoda, że wyobrażałam sobie, iż za punkt honoru stawiali natychmiastową utratę dziewictwa. Rytuał przejścia do wieku męskiego. Żaden z tych chłopców nie sprawiał wrażenia miłośnika Galahada, czystego ducha i ciałem syna Lancelota.

Raczej wolałby pójść w ślady ojca, bohatera bardziej mu odpowiadającego rozwiązłością obyczajów.

Gdy spacerowałyśmy wzdłuż głównej alei, nadchodzili grupami i kręcili się wokół nas jak fale, które napotkały wir. Albo zbliżali się parami, przykładając na nasz widok palce do czapek. Niby uprzejmość, ale raczej początek flirtu.

Restauracja była zapełniona po brzegi, więc musiałyśmy poczekać na stolik w małym barze. Co najmniej trzech młodych marynarzy chciało nam postawić drinka, ale z wdziękiem odmówiliśmy, wskazując na kieliszki przed nami i na obrączki ślubne na palcach jako dodatkowy powód odmowy.

Judy pokręciła głową w zdumieniu.

– Mogłabym być ich matką, a oni chcą mi kupić drinka. Matki byłyby oburzone, gdyby się dowiedziały, że ich synkowie usiłovali poderwać starszą kobietę w barze. Założę się, że w mniemaniu tych chłopców byłabym idealna do uwolnienia ich od zbędnego dziewictwa.

– Pięć lat temu ci chłopcy byli jeszcze dziećmi. – Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby wygłosić tę uwagę. Może ich krótko ostrzyżone włosy, chuderlawe piersi. Ci podpici marynarze byli rozpaczliwie młodzi. A ja doszłam do wniosku, że ta wojna ciągnie się już stanowczo za długo, skoro dzieciaki w czasie jej trwania dorosły na tyle, aby teraz wziąć w niej udział. W porównaniu z nimi John był starym trzydziestoletnim mężczyzną. Miał przynajmniej szansę, żeby dorosnąć, ożenić się i prawie zostać ojcem. Odsunęłam szklankę z cocacolą, zakrztusiwszy się nią na myśl, czy los da mu jeszcze możliwość spłodzenia drugiego dziecka. A ja? Czy zostanę matką?

Nasze przyjaciółki w oborze miały się dobrze, ale odniosłam wrażenie, że rozglądały się za Joem, kiedy pojawiłam się nocą na inspekcji.

– Wróci. Śpijcie spokojnie – zapewniłam je.

Patrzą na mnie swoimi wielkimi oczami, w których dostrzegam nutę sceptycyzmu.

Dlaczego uważam, że któregoś dnia nie zniknie tak, jak się pojawił? Noc jest łagodna i bezchmurna. Świerszcze już rozpoczynają grać, to preludium jesieni. Wiatr wieje od morza, więc gdy siedzę w sypialni, dochodzi do mnie łoskot fal. Jest we mnie jakieś tęskne pragnienie. Nie. Nie jestem wobec siebie uczciwa nawet na tych stronicach. Wiem, co to jest, i nie jest to nieznane mi uczucie. Było nieobecne w moim życiu przez długi czas. Aż do tej chwili.

Myślałam, że jestem od niego wolna. Nikt mnie nie pieścił od tak dawna, i od tak dawna nie chciałam tego, że sądziłam, iż już jestem wolna od pożądania. Uważałam, że to najlepsze wyjście w danych okolicznościach. Bo któż by miał to robić? Ale teraz czuję w sobie pożądanie. Przychodzą mi do głowy najbardziej niestosowne myśli; ich bohaterem jest Joe. Tłumaczę sobie, że sprawiła to bliskość naszego życia na farmie. Powiadam sobie, że to naturalna ciekawość. Rozmyślam o jego dłoniach – szczupłych, eleganckich, tak bardzo różniących się od masywnych, zręcznych rąk Johna. Myślę, jak obejmują mnie w talii. Marzę o nich... Muszę natychmiast się opanować. Nie wolno mi.

To jedna z tych nocy, kiedy powietrze i woda mają tę samą temperaturę. Pobiegłam na plażę boso, ale ciągle w wyjściowej sukience. Chciałam tylko wejść na płyciznę, zanurzyć stopy, ale nagle ściągam z siebie całe ubranie i rzucam się na fale zupełnie naga. Woda spływa po moim ciele ciepła, rozkoszna. Zawzięcie pływam, może zmęczenie przegoni te okropne myśli. Kładę się na wznak, rozpuszczone włosy otulają mi głowę, a potem, gdy staję, opadają ciężko na ramiona. Postanawiam dopłynąć do małej skalistej wysepki, ledwie wystającej z wody. To skałka, na której stał kiedyś Joe, wpatrując się w morze i paląc papierosa. W wodzie błyskają fosforyzujące żyjątka, które kojarzą mi się z czarodziejskim pudrem. Księżyc jest tak jasny, że rzuca cienie. Do połowy zanurzona, przysiadam na skale i opieram się o nią plecami, patrząc, jak małe wiry kręcą się wokół swojej osi. Tak długo tu pozostaję, aż nadchodzi odpływ i odsłania mnie, naga.

Czym jest seks, jeśli nie wyobraźnią i dotykiem w odpowiednie miejsca? Któż będzie wiedział, że teraz właśnie wyobrażam sobie ręce Jogo Greena? Na dziesięć minut rozgrzeszam się z nielojalności i marzę, że oto jego dłonie mnie dotykają.

19 sierpnia 1944 roku Judy i Ted uważają, że Joe został zwolniony z czynnej służby wojskowej, bracia Sunderlandowie upierają się, że na pewno otrzymał kategorię D, ale zupełnie nie wiedzą, z jakiego powodu. Panie Ruth sugerują, że Joemu sumienie nie pozwala na udział w wojnie – pewnie jest mormonem albo kwakrem. A ja sądzę, że Joe jest wszystkimi tymi przypadkami po trochu.

Patrzę na niego, kiedy o tym nie wie. Niekiedy jego łagodna mina zmienia się raptownie. Rysy twardnieją, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrzznego bólu. Zdaję sobie sprawę, że jakakolwiek jest geneza jego pobytu w Hawke's Cove, tu, na mojej farmie, ma ona gorzki smak. Kiedy Joe się pojawił u mnie, był programowo pogodny. Gdyśmy się nieco ze sobą oswoili, a on stał się świadkiem moich ciężkich chwil, pozwolił sobie na luksus uchylecia maski. Miał chwile głębokich zamyśleń. Nie wtrącałam się, nie wypytywałam: „Co się stało”, pozwalałam mu być sobą. Te ponure nastroje nigdy nie trwają długo. Nie jestem pewna, ale sądzę, że dłuższe depresje są wbrew jego naturze. Gdy wołam go na obiad, twarz mu się rozjaśnia w uśmiechu. Widać, że jego psychika nie znosi tych mrocznych stanów.

Dziś rano, gdy weszłam do stodoły, zastałam go siedzącego na stołku, ze znieruchomiałą ręką i policzkiem przytulonym do boku Bessie. Nie słyszał, że przyszłam, choć Bessie zwróciła głowę w moją stronę. Pogłaskał ją po pysku i zabrał się do dojenia.

– Hej. – Stałam tuż za nim. Instynkt podpowiedział mi, żebym położyła mu ręce na ramionach. Czułam, jak pracują mięśnie.

Jeśliby strząsnął moje dłonie albo rzekł coś obojętnego, zakończyłabym tę zabawę poklepaniem go po plecach. Ale niczego takiego nie uczynił. Pochylił się tylko nieco bardziej i wtedy zrozumiałam, że w tej właśnie chwili staliśmy się dla siebie ważni. Więc nie zdjęłam rąk.

Ciągle nazywa mnie panią W. Póki tak się do mnie zwraca, granica jest bezpieczna.

Oboje jesteśmy świadomi przeszkód.

21 sierpnia 1944 roku To by się nigdy nie zdarzyło, gdybym nie potrzebowała słoików na przetwory i gdybym nie posłała Joego do miasta, zamiast z nim jechać. Nie poznałby mojej tajemnicy i teraz ani on, ani ja nie musielibyśmy cierpieć z powodu tego, że się dowiedział.

Pani Sutton tylko słyszała, że byłam w ciąży, ale nie miała pojęcia o mej stracie. Czasami grywa w brydża z moją matką, ale wyjechała na

Florydę przed planowaną datą porodu. Jest ona jedną ze znanych mi mieszkanek Bostonu, spędzających wakacje w Hawke's Cove. Nie należy do bliskich znajomych. Piszę o tym wszystkim z największymi oporami.

Słyszę, jak Joe kręci się w kuchni. Powinien być na dworze, reperować płot, a nie przejmować się mną.

Czuję dojmujący ból na myśl o tym, co się wydarzyło. Miałam najgorsze podejrzenia wobec tej groteskowej matrony zbliżającej się chwiejnym krokiem na niebywale wysokich obcasach, machającej obiema rękami na mój widok, ale teraz wydaje mi się, że te przeczucia dodałam ex post.

– Vangie, najdroższa! Jak tam bobas? – Podeszła do nas, stukając obcasami, gdy wychodziliśmy ze sklepu z artykułami żelaznymi. – Chłopiec czy dziewczynka?

Czyżby córeczka? Och, jak wspaniale. A to pewnie John. Jeszcze nie za oceanem?

Gdzie maleństwo? Muszę je koniecznie zobaczyć. – Słowa padały z jej karminowanych ust jak grad. Atak był prowadzony na oślep, bez chwili wytchnienia.

Zamieniłam się w bryłę lodu. Przestałam słyszeć jej głos. Nagle ogłuchłam, choć widziałam, że jej wargi nadal się poruszają, i zdawałam sobie sprawę, że obwieszcza światu mój sekret. Zdradza mnie przed Joem. Musiałam widocznie upuścić torebkę, bo jak we śnie wolno schyliłam się, by zebrać rozrzucone drobiazgi.

Nie pamiętam, jak znalazłam się w aucie, a Joe powiedział mi potem, że musiał użyć siły, żeby mnie tam doprowadzić i w ten sposób wyzwolić od pani Sutton. Przypominam sobie natomiast, że jej usta nadal się ruszały, gdy odjeżdżaliśmy. W drodze do domu Joe nie odezwał się ani słowem. Ujął natomiast moją lewą rękę i trzymał przez cały czas – nawet wtedy, gdy zmieniał biegi. Było zaledwie wczesne popołudnie, ale mimo to nalał mi szklaneczkę whisky. Potem następną. Aż to wewnętrzne złodowacenie przeszło w sen.

Kiedy oprzytomniałam, siedział w mojej sypialni na brzegu łóżka. Nie wiem, czy ruszył się stamtąd, gdy spałam – teraz słońce było już nisko – wiem jedynie, że ucieszyłam się, widząc go przy sobie. Sprawił mi przyjemność dotyk jego ręki odgarniającej mi włosy z twarzy.

– Wiesz, Joe, whisky nie jest lekarstwem.

– Nie. Ale na krótką chwilę przynosi zapomnienie. – Wypowiedział te słowa szeptem.

– Mówisz jak ktoś, kto sam próbował o czymś zapomnieć. Uśmiechnął się lekko.

Odrzuciłam koc, którym byłam przykryta, i usiadłam obok niego. Ujął moją rękę i głaskał ją delikatnie. Nieco uspokojona tą pieśczęcią, zaczęłam opowiadać.

Po raz pierwszy mówiłam o Molly jako o kimś, kto był częścią mego życia, nie tylko o utraconym dziecku, o martwym płodzie, który skazał się na śmierć, próbując się urodzić, ale o maleństwie, któremu nadałam imię. Molly Annę lub Charles – takie wybraliśmy imiona dla dziecka, na które czekaliśmy. Nawet nie przyszło nam do głowy, że możemy je stracić. Dopiero gdy John wyraził zdziwienie, że pragnę na płycie nagrobnej wyryć imię nieochrzczonego noworodka, pojęłam, że nie rozumiem rozmiarów mojej żałoby.

Kiedy lekarze się zorientowali, że moje drogi rodne nie rozszerzają się wystarczająco, było już za późno. Rozcięli mnie, jednakże dziecko było już martwe, uduszone. Jak mi powiedzieli, prawdopodobnie i tak by nie przeżyło. Było wcześniakiem. A więc tak to się odbyło. Pech, proszę próbować dalej. Tyle że John uciekł. Nie. Nie to mam na myśli. Został wysłany na szkolenie wojskowe, zanim opuściłam szpital. Nie było go więc, a maleństwo przyszło na świat za wcześnie.

Joe opatulił mnie kocem, widząc, że drzę.

– Codziennie po śniadaniu odwiedzał mnie w szpitalu. No wiesz, dali mu przepustkę okolicznościową, parę dni zwolnienia przed powrotem do bazy. Ale w końcu dostał rozkaz przerwania do Europy. Joe, żałoba zniknęła wtedy z jego twarzy, zastąpiło ją podniecenie. Wreszcie miał znaleźć się po tamtej stronie Atlantyku. Nawet nie czekał, aż mnie wypiszą. Nie odwołali mu przepustki, ale on chciał jak najszybciej znaleźć się wśród swoich kumpli, wrócić do wojska. Widać było, jak jest tym podekscytowany.

– Ciągle byłam pod działaniem silnych środków uspokajających. Tak robią w szpitalach, żeby stłumić ból po stracie dziecka. Nadal byłam półprzytomna, kiedy przyszedł i zakomunikował mi, że wyjeżdża. Nie przypominam sobie, jak dużo czasu minęło od tej chwili do momentu jego odejścia. Wydaje mi się, że parę minut, choć wiem, że to było kilka dni. Nawet teraz, kiedy to wspominam, ciągle uważam, że było to

tego samego dnia, w którym straciliśmy Molly. Joe, nawet nie pamiętam, czy powiedzieliśmy sobie, że się kochamy. Stało się tak, jakbym straciła ich oboje.

Joe poprawił mi pled na ramionach.

– To z powodu natręctwa innych postanowiłam przenieść się tutaj, gdzie nikt nie wiedział o mojej stracie. W domu spodziewano się, że będę ciągle płakała, ale że w końcu jakoś się pozbieram. Ale nic takiego nie nastąpiło.

– Nie płakała pani?

– Nie.

– Dlaczego?

– Żebym to ja wiedziała. Chciałabym móc szlochać. Jakaś śrubka we mnie została przykręcona zbyt mocno.

– A może trzeba się wyplakać, żeby poczuć, że przeboleła pani stratę.

Pokiwałam głową.

– Niekiedy wydaje mi się, że muszę pamiętać o każdym szczególe, bez względu na to, jakie to bolesne, bo tylko dzięki temu moje dziecko pozostaje realne.

Widzisz, w przeciwnym razie mogłabym sobie wmówić, że ta kruszynka nigdy nie istniała. A tego nie chcę. Pragnę przejść przez* tę żalobę do końca.

– Nigdy jej pani nie straci całkowicie. – Delikatnie pocałował mnie w czoło i wstał, żeby wyjść. Przez chwilę zatrzymał się w drzwiach z ręką przyciśniętą do uda, jakby wstrzymując siebie przed powrotem do mnie. – I nie straciła pani męża.

On wróci. Co do tego nie mam, wątpliwości.

I teraz słyszę, jak Joe w kuchni przygotowuje kolację, której nie mam ochoty jeść.

Kiedy będę pisała do Johna, nie wspomnę mu o tym incydencie. Wiem, że liczy, iż w końcu się pozbieram. Niewiele też donoszę mu o Joem. Lepiej, żeby nie wiedział, jaki Joe jest dla mnie ważny. Po co miałyby dojść do jakichś mylnych wniosków.

22 sierpnia 1944 roku Naprawdę nie mam żalu do Joego, że opowiedział Judy o dziecku. O Molly.

Przynajmniej miał na tyle rozsądku, że nie uczynił tego przez telefon. Telefony towarzyskie są tu źródłem wielu plotek. Nie wiedziałam, że Joe zwierzył się Judy, póki jej nie ujrzałam dzisiaj po południu. Ona nie

lubi kręcić. Weszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie. Ja w tym czasie łuskałam groszek przy stole kuchennym.

– Joe dobrze zrobił, że mi o tym powiedział. Nie bądź na niego zła. – Stanęła w bojowej pozycji, z nogami w rozkroku i z rękami opartymi na biodrach. Niechbym próbowała oponować.

– On się o ciebie martwił. Myślę, że przeraziłaś go swoją skrytością. Jasne, odwołał się do męskiego sposobu kurowania – dał ci whisky. Dobrze, że cię nią nie zabił.

– Pomogła mi przejść najgorsze. – Wstałam i zdjęłam z półki dwie filiżanki. – Prawdę mówiąc, jestem mu wdzięczna, że ci o tym opowiedział. Przepraszam, nie mogłam sobie pozwolić na taką szczerość. Przykro mi z tego powodu.

– Posłuchaj, Vangie. Każdy skrywa w sobie coś, co nie zawsze jest przeznaczone do wiadomości innych. Nie trać czasu, żałując, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś. W taki sposób radzisz sobie z żalobą. Ja o tym wiem. Kiedy zginął Teddy, potrzebowałam roku, by wymówić głośno jego imię.

Zamykałam jego pokój i nie wpuszczałam tam nawet Teda. Myślałam w duchu, że jeśli zostawię pokój w niezmienionym stanie, Teddy będzie tam obecny. Wszyscy odwołujemy się do niepojętych metod, żeby przejść przez ten straszny okres. A co do zaginięcia Johna, no cóż, o tym też nie musisz nic mówić. Chyba że – tu ścisnęła mnie znacząco za łokieć, żebym spojrzała jej w oczy – chyba że masz ochotę. A wtedy nie wahaj się ani chwili.

Skończywszy przemowę, dopiła herbatę i szybko wyszła. Pomachałam jej na pożegnanie i ruszyłam, żeby poszukać Joego.

– Pani Frick wymogła na mnie, żebym nie była na ciebie zła.

Joe stał na drabinie, zmieniając górny zawias u wrót stodoły.

– Czy dotrzyma pani obietnicy? – Nie patrzył w dół, zadając mi to pytanie, i dalej zajmował się wkręcaniem śruby.

– Właściwie nie mam wyboru. – Drabina zachwiała się nieco, gdy Joe sięgał po dłuższy śrubokręt. Uchwyciłam ją obiema rękami i mocno przytrzymałam.

Gdy skończył, szybko zszedł i położył mi dłonie na ramionach:

– Pani Worth, zawsze mamy wybór. – Puścił mnie i schylił się, żeby podnieść skrzynkę z narzędziami. – Albo nie robimy nic, albo coś postanawiamy i trzymamy się tego konsekwentnie. – Wolną ręką odgarnął

kosmyk włosów, który przywarł mi do kącika ust. – Jest pani na mnie zła?

– Nie. – Westchnęłam i założyłam włosy za ucho. – Nie. Nie jestem na ciebie zła, Joe.

Dziś wieczorem udało się nam złapać stację z Bostonu nadającą muzyką poważną.

Odbiór był bardzo dobry. Transmitowali Aida Verdiego. Muzyka była tak piękna, że przenieśliśmy się z kawą do saloniku. Joe nastawił radio głośniej i usiadł koło mnie na ławie. Nawet nie próbowaliśmy rozmawiać. Siedzieliśmy zasłuchani, puszczać wodze wyobraźni.

– Od dziecka uwielbiam opery. – Nie wstałam od razu po zakończeniu transmisji, choć było już późno. Przyjemnie było jeszcze posiedzieć, mając w pamięci ostatnie akordy.

– Taa, ja też zawsze byłem fanem mojego imiennika. Gdy spojrzałam na niego pytającym wzrokiem, zaśmiał się.

– Giuseppe Verdi. Czyli po angielsku Joe Green.

Gdy wstawał z ławy, zareagowałam szelmowskim szturchnięciem go w pierś.

Zaniósł filiżanki do kuchni, a potem poszedł do stodoły, do naszych przyjaciółek.

Ciągle siedziałam w saloniku, gdy wróci}.

– Dobranoc, pani W. – zawołał. Nie słyszałam, jak przeszedł z kuchni do swego pokoiku, ale wiedziałam, że czekał. Podeszłam do piecyka, zgasiłam go, patrząc, jak błękitny gazowy płomyk zamienia się w miniaturową gwiazdkę, i weszłam do ciemnej kuchni, bo byłam pewna, że nadal tam stoi.

Stało się tak, jakbyśmy znaleźli się w połyskliwej, pięknej bańce mydlanej.

Mogliśmy tylko stać blisko jej środka, bo gdybyśmy zrobili krok do tyłu, bańka rozprysłaby się bez śladu. A więc łagodnie i dostojnie pocałowaliśmy się na dobranoc.

Siedzę teraz u siebie i piszę te słowa, mówiąc sobie, że to był tylko pocałunek.

Taki, jaki wymieniają przyjaciele. Nic więcej. To sobie wmawiam. I zabieram się do pisania listu do Johna. Myślę, że nigdy do niego nie dotrze.

25 sierpnia 1944 roku Całe dni spędzam na pracy w ogrodzie. Wyrynam chwasty, zbieram owoce, podcinam gałązki. Robię porządki i przygotowuję miejsce na późne zbiory – zimową odmianę patisonów i niekończące się zastępy dyń. Gotuję na parze, kraję, siekam, ubijam i wypełniam słoiki przetworami. Gromadzę. Tak określa się tu robienie zapasów.

Mam już imponującą listę: ogórki konserwowe i różne sałatki, duszone pomidory, piure, sos pomidorowy. Zapełniłam nimi piwnicę, a jest tego tak dużo, że nigdy nie zdołam ich zjeść. Rozdam przyjaciółom w Bostonie, którzy nadal myślą, że odbiło mi, bo siedzę tutaj i bawię się w farmerstwo. Kiedy wręczone im słoiki z domowymi przetworami, udowodnię, że to nie była zabawa, lecz sprawa serio.

Część zapasów przeznaczam w myślach dla Stowarzyszenia Pań parafii Świętego Łukasza. Sprzedadzą je na różnych festynach, choć na ogół bywa tak, że każdy w końcu kupuje własne wyroby, ponieważ jest ich zbyt wiele.

Zostawię sobie dżem truskawkowy do wiosny, a jagodowy do początków lata. A także różne rodzaje ogórków konserwowych – słodkawe, na ostro, kombinacje smaków.

Nauczyliśmy się od pani Feeney, jak wyrabiać masło, i też zrobiłam zapasy.

Jestem pomysłowa, więc część przetworów zamienię na prawdziwą kawę.

Joe uważa, że powinnam wystawić swoje najlepsze wyroby na lokalnym targu. Może tak zrobię.

On tymczasem pospiesznie wykańcza dach stodoły. Zbliży się sezon huraganów, chociaż niebo jest nadal rozkosznie błękitne, a pogoda łagodna. Widzę go z okna kuchni, jak przybija szare dachówki, kupione u braci Sunderlandów.

Dziś rano zrobiłam sobie przerwę w przyrządzaniu konfitur i podawałam mu dachówki. Gdy patrzyłam na niego przez okno, widziałam, że coś go gnębi. Wczoraj gwizdał i zanucił nawet parę piosenek podczas pracy. Dziś opuścił ramiona, porusza się dużo wolniej, często wypada z rytmu narzuconego przez układanie dachówek.

– Może chcesz pomocnika? – zawołałam z dołu. Spojrzał na mnie z dachu, kiwnął głową.

– A co z pani przetworami?

– Same się zrobią.

Poruszaliśmy się na dachu jak w jakimś dziwnym tańcu. On na kolanach, ja obok niego. Raz – weź dachówkę, dwa – przybij młotkiem, trzy – przybij młotkiem, cztery – przybij młotkiem, raz – weź dachówkę i opuść się nieco. Dach stodoły jest łagodnie wyprofilowany, więc stani nie jest zbyt ryzykowne, gdy się już dotrze na górę p drabinie. Jednakże tak mnie wciągnął rytm pracy, że prze stałam uważać i zachwiałam się niebezpiecznie. Joe chwycił mnie za nogę, a ja złapałam kołnierz jego koszuli i w ten sposób odzyskałam równowagę.

– Ocaliłeś mi życie. – Chociaż starałam się, żeby ta uwaga zabrzmiała śmiesznie, w istocie była szczerą.

– A ty uratowałaś moje. Nie powtórzyliśmy naszego pocałunku na dobranoc. Ter rozstajemy się ostrożniej.

Joe poszedł sprawdzić, co dzieje się u pań Ruth. Ruth Bank wczoraj upadła.

Chociaż lekarz utrzymuje, że niczego sobie nie złamała, kazał jej leżeć na kanapie. Ruthie Jones jest w takiej sytuacji zupełnie bezradna, więc trzeba wpadać do nich codziennie. Obie nazywają Joego swoim narzeczonym. Przychodzi nasz narzeczony! – wykrzykują, gdy tylko nadjeżdża. Bawią się z nim we flirt.

Joe musiał być dobrym synem, bo traktuje obie panie, jakby były jego ciotkami, starymi pannami. Dałam mu dla nich parę słoików ogórków, ale on zerwał dla nich pęczek stokrotek. To trochę jak przywożenie sera w prezencie Szwajcarom, nie sądzisz? – mówię, ale on tylko wzrusza ramionami i posyła mi chłopięcy uśmiech.

Powiada, że nawet ogrodnicy czują się wdzięczni za upominek w postaci kwiatów.

Praktyczność kontra romantyzm. To my.

Twierdzimy, że znaleźliśmy pled Ruthie w lesie i że sprawcą tej kradzieży musiał być jakiś podstępny pies. Dajemy do zrozumienia, że mógł to być nowy szczeniak Roya Tingleya. Czy to nie zdumiewający zbieg okoliczności, iż nie ma w nim dziur?

Dodaję, że wyprałam go przed oddaniem, utrzymuję, że był „okropnie brudny”. Ale prócz tego jest cały. Ich wdzięczność zawstydzą, a na dodatek ciągle dziękują nam za znalezienie zguby, ilekroć je odwiedzamy. Nigdy nie umiałam dobrze kłamać. Zastanawiam się, dlaczego czuję się winna. W końcu jestem tylko współnikiem.

Postanowiłam, że na targi w Great Harbor zgłoszę moje ogórki konserwowe „W stylu Nowy Jork”.

Święto Pracy, 4 września 1944 roku Tradycyjnie był to dzień mojego powrotu. Babcia opatulala nas w przedziale pociągu, który odjeżdżał z podupadłej stacyjki w Great Harbor. Frań, Stevie i ja z nosami przyklejonymi do szyby machaliśmy do babci jak szaleni, jakby w obawie, że ją tu zostawiamy. A zaraz potem z wytęsknieniem rozglądaliśmy się za rodzicami czekającymi na dworcu w Bostonie. Trzeba było na siłę rozrywać trójkę zbratanych ze sobą kuzynów, bo Frań i Stevie mieli jeszcze przed sobą podróż do Worcester w towarzystwie ciotki Audrey i wujka Goerge'a. Choć spędzaliśmy ze sobą sześć tygodni, kłócąc się zawzięcie o różne sprawy przez większość czasu, z przykrością rozstawaliśmy się po wakacjach. Zawsze przyrzekaliśmy pisać do siebie, ale robiliśmy to nadzwyczaj rzadko. Spotkania z kolegami ze szkoły i dni wypełnione obowiązkami stawały temu na przeszkodzie. A poza tym zawsze spotykaliśmy się na Boże Narodzenie. Babcia wtedy też przyjeżdżała z Hawke's Cove, by cała rodzina była w komplecie.

W pociągu zabawialiśmy się grą w karty. Odrywaliśmy się od niej, gdy któreś z nas zaczynało opowiadać, co wspaniałego przeżyło w czasie wakacji i na co liczy w najbliższej przyszłości.

– Do następnego lata chcę po raz pierwszy pocałować chłopca. – Takie życzenie wyraziła trzynastoletnia Frań, a ja, z wyższości swoich piętnastu lat, już miałam to przeżycie za sobą.

– Dość mnie rozczarowało – orzekłam. Tamtego roku przybrałam pozę zblazowanej panny, odnosząc się złośliwie do wszystkiego, o czym marzyła biedna Frań.

Gdy już kończyliśmy z podsumowaniem, zaczynaliśmy się zastanawiać, co nas czeka.

W następnym roku wiele się zmieni – będę starsza, mądrzejsza, piękniejsza, bardziej dojrzała. Za czasów młodości postanowienia i przysięgi składało się w Święto Pracy, a nie w Nowy Rok.

– No, ja zamierzam grać w baseball. – Stevie miał wtedy dwanaście lat i całowanie w Ogóle nie było mu w głowie. Zastanawiam się, jak się teraz miewa, przyjmując, że nadal jest na Pacyfiku. Był cały i zdrowy, gdy po raz ostatni słyszałam o nim jakiś miesiąc temu. Muszę pamiętać, aby dołączyć go do swoich modlitw. Nie powinnam troszczyć się jedynie o bezpieczeństwo Johna.

Siedzę teraz na schodkach mego domu w upalny wrześnieowy dzień Święta Pracy. Ze szklanką lemoniady w ręce, z dziennikiem na kolanach. Patrzę jak – hurra! – Joe kładzie ostatnie dachówki na stodole. Jest mi dobrze. Osiedłam w Hawke's Cove i rozmyślałam nad tym, czego nie dokonałam, bo na przeszkodzie stanęła mi wojna.

Żyjemy w czasie terażniejszym, przyszłość zależy od zbyt wielu zmien-nych danych.

Na razie będę hodowała krowy i zakończę prace sezonowe w ogrodzie. Naznoszę mnóstwo wodorostów i przykryję nimi grządki, żeby na przyszły rok użyźnić piaszczystą glebę. Tyle pozwalam sobie wyznaczyć. Jeśli tu zostanę, ziemia będzie gotowa pod uprawę. Tymczasem będę cierpliwie czekała na słowo od Johna.

Może to dziwne, ale jestem zadowolona. Skleciłam karmnik i widzę, jak nadlatują moi stołownicy.

Wydaje mi się, że Stevie nigdy nie grał w baseball. Jeśli pamiętam, tamtego roku złamał sobie rękę na sankach.

Dostałam jedną z nagród za moje ogórki konserwowe. Joe najpierw mnie zachęcał, żebym wzięła udział w konkursie, ale potem ze mną nie pojechał.

– Joe, musisz się ze mną pokazać. Bez ciebie nie będzie zabawy.

– Jest pani nadzwyczaj miła, ale nie pojedę. Nie lubię targów.

– To najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałam. Czego w nich nie lubisz?

– Tłumów.

– Aha. – Wtedy zrozumiałam. To tak samo jak na Czwartego Lipca. Joe upierał się, żeby zostać w Hawke's Cove. Ale tym razem nie było wspólnego pikniku dla mieszkańców. Z tą samą niechęcią bronił się przed wyjazdem do Tylerville, póki go nie przekonałam, że to zapadła dziura. Tłumy. Mrowie marynarzy i żołnierzy.

Staram się nie dociekać prawdy o Joem Greenie. Przybyłam do Hawke's Cove, żeby pędzić tu pustelnicze życie i lizać rany. Joe Green tak samo. Wiem, jaki był powód nagłej decyzji. Domyślałam się jego powodów.

Kiedy nad tym rozmyślałam, Joe mnie obserwował. Niebieskimi oczami z gęstymi czarnymi rzęsami wpatrywały się we mnie jak kot w mysz przycupniętą przy norce.

Musiał dostrzec moje niewyrażone słowem wątpliwości, bo dotknął mego policzka.

– Nie mogę pojechać.

– Jak długo zamierzasz się kryć i nie opuszczać tego półwyspu?

– Przez resztę życia. – W tej uwadze nie było cienia żartu. Tylko spokojna rezygnacja. Żadnego narzekania, żadnego nieszczęścia. Stwierdzenie faktu.

9 września 1944 roku Kiedy zaglądam przez okno do wnętrza urzędu pocztowego, widzę rząd brązowych kwadratów z kartonu, jak do gry w tiktaka. To są nieczynne skrytki tych, którzy rozjechali się do domów. Całe miejsce zda się oddychać z ulgą, jak to się zdarza, gdy nawet ulubieni goście w końcu opuszczają przyjęcie. Nigdy tego przedtem nie doświadczyłam. Jako dziewczynka wyobrażałam sobie, że miejscowi ludzie żyli naszym życiem, letników. W dzieciństwie uważałam, że Hawke's Cove pod koniec lata zamykane jest na cztery spusty, jak szkoła na ferie. Było to na długo przedtem, zanim Stevie przyprowadził do nas Erniego i dopiero wtedy wyciągnęliśmy z niego, jak się tu mieszka po Święcie Pracy. Ernie wykazał się nadspotykaną cierpliwością. „Tak, chodzimy do szkoły w Great Harbor, sklepy zamykane są wcześniej, podobnie jak stacja benzynowa. Jest dużo spokojniej, znasz wszystkich przechodniów”. Tak nam wtedy opowiadał, a teraz mogę sprawdzić na własne oczy, że tak jest istotnie.

Ale Ernie nam nie wspomniał, że nawet po sezonie i w czasie mniejszego ruchu w Hawke's Cove życie wre. Organizuje się przyjęcia w celach towarzyskich i charytatywnych, po letniej przerwie wznawia działalność klub brydżowy. Nie mogę skłonić Joego, żeby zapisał się do chóru, który dla mnie jest przyjemnością.

Miejscowy oddział obrony cywilnej zaapelował o pomoc, więc Joe się zgłosił.

Teraz dwa razy w miesiącu obchodzi ulice i sprawdza, czy na wszystkich oknach zaciągnięto czarne story, czy na reflektorach samochodów są zainstalowane ochraniacze. Ja natomiast postanowiłam działać w Czerwonym Krzyżu w Great Harbor.

Przygotowujemy paczki żywnościowe dla żołnierzy, rozdajemy soki owocowe i ciasteczka honorowym dawcom krwi.

Wojna dągnie się w nieskończoność. Myślałam – liczyłam – że czerwona inwazja szybko położy jej kres. Niestety, wojna trwa nadal ze zmienną intensywnością.

Raz wzbudza nadzieję, gdy dochodzą nas wieści o ruchach wojsk, to znów zmusza do zaakceptowania jej jako stałego zjawiska w naszym życiu.

I nadal ani słowa od Johna. Powtarzam sobie, że brak wiadomości to dobre wiadomości.

Może zgłosiłam się do Czerwonego Krzyża dlatego, że zajmuje się on również poszukiwaniem zaginionych żołnierzy. Może podświadomie ubzdurałam sobie, że jeśli ja poświęcę czas tej organizacji, tym usilniej ona będzie szukała Johna.

Zwierzam się z tej myśli Joemu, ale on wcale się ze mnie nie śmieje.

– Wiesz co? Jeśli zorganizujesz punkt krwiodawstwa w Hawke's Cove, ja też oddam krew.

Oboje różnymi sposobami staramy się pomóc sobie i innym w tych ciężkich czasach.

12 września 1944 roku Obudziłam się dziś rano, mając w pamięci bardzo dziwny sen, w którym fizycznie czułam, że ktoś mnie obejmował. Dotykał. Zdaje się, że był to erotyczny sen, ale nie przypominam sobie dokładnie jego treści. Zbudziwszy się, zapragnęłam, aby śnił mi się John. Ale kiedy Joe wszedł do kuchni, natychmiast się zorientowałam, że bynajmniej nie śniłam o mężu.

15 września 1944 roku Sylvester wypożyczył Joego, żeby zebrać ostatnie siano. Umowa jest następująca:

Joe otrzyma zapłatę za swoją pracę, a ja dostanę zniżkę na kupno siana. Zapakowałam Joemu smaczny lunch: dwie duże kanapki z szynką i z plasterkami pomidorów prosto z krzaka, spory kawałek szarlotki ze świeżo zebranych jabłek, które kupiłam na straganie przy moście. Termos kawy. Grabienie siana to znój. Ja, zamiast jeść, wybiorę się na długi spacer. Już się odzwyczaiłam od jedzenia w pojedynkę.

17 września 1944 roku (4. 30 rano)

Tej nocy znowu go usłyszałam. Wiele razy wydawał z siebie dziwne dźwięki, jakby ostrzeżenie, a potem płakał. Kiedy te tajemnicze szlochy nie ustawały, zesłam na dół. Stałam pośrodku kuchni, nasłuchując. Księżyc świecił mocno, więc nie zapalałam światła. Nie wiedziałam, co począć – obudzić go czy zatkać sobie uszy, żeby nie docierał do mnie ten okropny szloch, i pozwolić Joemu, by sam sobie poradził ze swymi demonami. – Nigdy mu nie zdradziłam, że wiem o jego koszmarach sennyh.

Ale wtedy usłyszałam, jak wypowiada moje imię. Vangie. Wymówił je tak wyraźnie, że doszłam do wniosku, iż się obudził. Może sprawiły to moje kroki na schodach, choć teraz stałam nieruchomo.

– Tu jestem, Joe. – Księżyc oświetlał go, pogrążonego we śnie. Zrozumiałam, że się pomyliłam. Otworzył oczy dopiero na dźwięk mego głosu. Patrzyłam na jego twarz.

– Co się stało? – Zerwał się i usiadł.

– Płakałeś. – Pogląskałam jego policzek, mokry od łez. – Zesłam, żeby cię obudzić.

Joe dotknął tego samego miejsca, na którym przed chwilą spoczywały moje palce, i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Coś mi się śniło.

– Wiem. A potem usłyszałam, jak wymawiasz moje imię, więc myślałam, że się obudziłeś. – Usiadłam obok na skrzypiącym taborecie. – Chcesz mi o tym opowiedzieć? O swoim śnie?

Z wyraźnym zawstydzeniem startł wierzchem dłoni zagadkową wilgoć.

– Nie. Chyba sobie ntc nie przypominam. Musiał to być jednak jakiś okropny sen.

– Joe, czasami pomaga. Pomaga, kiedy opowiesz o tym głośno. Demony wtedy pierzchają.

– Słyszała już pani przedtem, jak coś mówiłem przez sen? Kiwnęłam głową.

Poczułam się dość głupio, jakbym go podpatrywała.

– Naprawdę nic z tego nie pamiętam.

– Czy to sen, który stale ci się śni?

– Skoro go sobie nie przypominam, skąd mogę wiedzieć? – W jego głosie zabrzmiała skarga.

– Ja często uświadamiam sobie, że śni mi się sen złożony z tych samych scen.

Niektóre elementy są w nim powtarzalne. Nie zawsze przypominam sobie kontekst, ale kiedy się budzę, często odczuwam strażę, gniew, żal.

– Spadam. Zawsze spadam w przepaść i szukam ratunku u kogoś, kogo nie ma. Wyciągam rękę, po którą nikt nigdy nie sięga. I wtedy budzę się z krzykiem.

W jego pokoiku było chłodno. Przeszło mi przez myśl, że powinien zostawić na noc piecyk elektryczny w kuchni. Wtedy będzie mu cieplej. Musiałam zdrześć, bo Joe objął mnie ramieniem.

Jakie by to było proste: położyć się koło niego, nakryć po uszy i przytulić się.

Dać sobie nawzajem ciepło, ukojenie.

Znowu przebiegł mnie dreszcz, tym razem na myśl o przepaści, nad którą stoję.

Podniosłam się.

– Dobranoc, Joe.

– Dobrej nocy, pani W.

Czuje, że balansuję na samej granicy dobra i zła, lojalności i nielojalności, wierności i... Nigdy jeszcze nie przekroczyłam tej granicy. Nigdy nie prowadziłam zbyt szybko samochodu, nie klęłam w miejscach publicznych, nie piłam ponad miarę. Zawsze byłam dobrą dziewczynką. Do dnia mego ślubu zachowałam dziewictwo. A teraz chcę przejść na drugą stronę. Pragnę umieścić się na samej tej niewidzialnej granicy, gdzie poczucie wiary zaczyna się wahać. Mogę się niemal usprawiedliwić. Wystawiam siebie na pokusy. Trzymam tu Joego. I faktem jest, że uwielbiam tę farmę, dzieląc ją razem z nim. Ta sprawa – niewypowiedziana, niewyjaśniona między nami – trzyma mnie przy życiu.

23 września 1944 roku Panie Ruth wstąpiły do mnie dzisiaj w towarzystwie Jean, siostrzenicy Ruth Banks.

Dziewczyna studiuje na wydziale pielęgniarstwie w Bostonie. Ciotka jest z niej bardzo dumna, bo Jean świetnie się spisuje na praktykach w szpitalu i na uczelni.

Ma dziewiętnaście lat, ale wygląda bardzo dziecinnie. I do jej obowiązków należą sprawy, które nas by pewnie krępowały. Jej pacjentami są głównie żołnierze, których przywieziono rannych z frontu za oceanem. Jej śmiałość ustąpiła jednak, gdy spytałam, czy wszyscy jej podopieczni wyzdrowieli.

– Nie. Niektórzy umarli mimo wszelkich starań. Dużą grupę innych odesłano do zakładów rehabilitacyjnych, w których uczą, jak żyć z kalectwem. Wie pani, kogo mam na myśli – tych z amputacjami i sparaliżowanymi.

– A więc żołnierze, którymi się zajmujesz, otrzymują zwolnienie i po kuracji w szpitalu są odsyłani do domów?

– Nie zawsze. Widzi pani, ci cali – mam na myśli tych, którzy nie są nieodwracalnie okaleczeni – na ogół wracają na front, jeśli komisja wojskowa uzna, że nadają się do służby czynnej. To prawda, rzadko się

to zdarza pacjentom naszego szpitala. Bo skoro przywozi ?? ich z za Atlantyku, oznacza to, że ich stan jest ciężki. Wielu dochodzi do siebie. Niemniej większość zostaje zwolniona ze służby.

– Jednakże niektórych z powrotem wysyła się na front? – upewniłam się.

– Tak. Trzeba trafu, że jechałam tu z moim byłym pacjentem, który miał się zgłosić do bazy lotniczej w Great Harbor. – Jean zakryła usta ręką. – Pocałował mnie na odchodnym. I powiedział, że chociaż jestem piękna, liczy, że więcej mnie nie ujrzy.

– Czyli gdyby Johna odnaleziono w dobrym stanie zdrowia, od razu wysłano by go na front? – Zadając to pytanie, dostrzegłam, że jej maniery osoby dorosłej ustępują.

– Hm... Pani Worth, nie mam pojęcia. Nie wiem, co oni robią z jeńcami wojennymi.

– Jeńcami wojennymi? – Nie przyszło mi do głowy, że John mógł się znaleźć w obozie jenieckim. Wiedząc, co Niemcy robią w obozach, poczułam gwałtowny ucisk w sercu. Zawsze sobie wyobrażałam, że John niechcący odłączył się od reszty i teraz samotnie wędruje przez Francję czy inny kraj. Kiedy dopuszczam do siebie takie myśli, wręcz widzę, jak idzie od farmy do farmy, ukrywa się w stogach siana i jest zdany na hojność Francuzek w czarnych wiejskich spódnicach. Jakoś nigdy nie wyobrażałam sobie, że mógłby dostać się do niewoli. – Nie wiedziałam, że jest jeńcem wojennym. Nikt mi o tym nie powiedział.

Wyraźnie zaniepokojona moją reakcją, Jean usiłowała zmienić temat rozmowy. Ruthie Jones wskazała na ostatnie wrześniowe pomidory leżące na parapecie w kuchni.

– Co za okazałe sztuki! Zostało coś jeszcze na krzakach?

– Jean, jeśli mój mąż jest jeńcem, czy nie powinni mnie o tym powiadomić? Czy nazwiska jeńców nie są przekazywane Czerwonemu Krzyżowi?

– Nie wiem.

W tym momencie wszedł Joe. Zgrzyt otwieranych przezeń drzwi przerwał rozmowę.

Jego pojawienie się osłabiło napięcie, jakie wskutek moich pytań zapanaowało w kuchni.

Ruth nadstawiła mu pomarszczony policzek.

– Jean, przedstawiam ci Joego Greena. Joe odwrócił się, żeby uściskać jej dłoń.

– Miło mi panią poznać. Pani ciotka opowiadała o pani z prawdziwą dumą.

Dziewczyna zaczerwieniła się w reakcji na komplement i zerknęła na Joego z kokieteryą, po czym w jej oczach ukazało się zaskoczenie.

– Czy my się skądś nie znamy?

Jej stanowczy ton sprawił, że z twarzy Joego zniknął kurtuazyjny uśmiech.

– Nie. Nie sądzę. Pewnie jestem podobny do któregoś z pani znajomych.

– A ja myślę, że się spotkaliśmy. W szpitalu. Czy nigdy nie był pan w...

– Nie – uciał krótko Joe. – Nigdy.

– Jestem pewna, że już pana widziałam. – Jean upierała się przy swoim, a ja doszłam do wniosku, że ta cecha pewnie dobrze jej służy w obowiązkach zawodowych, ale nie w mojej kuchni. Obie panie Ruth były zawstydzone jej tonem.

Joe odwrócił się do niej plecami i począł myć ręce nad zlewem.

– Daję pani słowo, że w życiu się nie spotkaliśmy. – Ściągnął ręcznik z haczyka, rzucił na taboret i szybko wyszedł na dwór.

Przekręciwszy głowę w bok, Jean nie ustępowała.

– Nigdy nie zapominam wyglądu swoich pacjentów.

Zdaje się, że w zeszłym roku on leżał na oddziale dla poparzonych, a ja byłam studentką pierwszego roku.

W tym momencie przypomniałam sobie lśniące różowe zrosty na plecach Joego i na jego rękach.

– Jean, sądzę, że Joe pamiętałby pobyt w szpitalu. Takich rzeczy się nie zapomina. – Zdjęłam dużego pomidora z parapetu i przez okno dostrzegłam, że Joe stoi nieruchomo przy stodole, jakby zbierając się w sobie.

– A poza tym z całą pewnością zapamiętałby cię.

Zabrzmiało to ostrzej, niż chciałam. Panie wkrótce odeszły, zostawiając resztki jeszcze ciepłej herbaty w filiżankach. Gdy odprowadzałam je do furki, Joe zniknął. Na drogę dałam im najpiękniejszego pomidora w gościę pojednania.

Był piękny jesienny wieczór. Poszliśmy pieszo do Francuskiego Wzgórza, aby znaleźć się po zachodniej stronie półwyspu i stamtąd podziwiać zachód słońca.

Czerwone niebo o zmroku cieszy żeglarza – przypomniałam sobie lokalne powiedzenie. Zostaliśmy do chwili, gdy zabłysła pierwsza gwiazda, i spontanicznie zaczęliśmy recytować wierszyk: „Gwiazdko jasna, gwiazdko piękna, pierwsza widziana tej nocy, spełń me pragnienie, spełń me życzenie, bądź mi zawsze ku pomocy”.

– Czy to nie zabawne, że niektóre rzeczy robimy wszyscy? – zauważył Joe, gdy zwijaliśmy wełniany koc. – Na przykład łapiemy się za guzik, gdy widzimy kominiarza, albo mówimy „na zdrowie”, gdy ktoś kichnie?

– I nie wolno na głos wypowiedzieć życzenia.

– Myślę, że z łatwością odgaduję twoje życzenie.

– Niekoniecznie. Czasami człowiek modli się o coś, a nie marzy o spełnieniu życzenia.

– Zdradzę ci moje życzenie.

Nasze ręce złączyły się na rogach składanego koca.

– Nie mów, Joe, bo wtedy się nie spełni.

– Czasami człowiek marzy, a nie się modli.

– I niektóre życzenia się spełniają. – Ciągłe trzymaliśmy pled, który nas rozdzielał.

Nagle przeleciała sowa i przerwała tę czarodziejską chwilę.

Zastanawiam się, co Joe miał na myśli, mówiąc o moim skrytym życzeniu. Pewnie sądzi, że pragnę powrotu Johna. Ale to należy do modlitw. Ja natomiast życzę sobie Joego Greena. I sądzę, że on pragnie mnie.

1 października 1944 roku Joe i Ernie przynieśli do domu szesnaście flader. Zrobiłam im zdjęcie moim amatorkim aparatem. Jeśli wyjdzie, będę miała fotografię ich obu, gdy dumni jak pawie trzymają sznur z nawleczonymi rybami, obrzydliwie płaskimi, z oczami po tej samej stronie głowy.

Ostatnio robiłam mnóstwo zdjęć. Zapomniałam, że przywiozłam ze sobą aparat fotograficzny, który wepchnęłam do szafy w przedpokoju. Był to jeden z pierwszych moich zakupów po zamążpójściu. Cóż to była za radość, że miałam pieniądze na jego kupno! Namacalny dowód właściwie rozpoczętej kariery. Głównym jego użytkownikiem był John, który robił mi zdjęcia na każdym kroku. Nowość szybko się znudziła, ale John znowu po niego sięgnął, gdy zaszłam w ciążę.

Całkiem mi to wyleciało z głowy, ale gdy ujęłam ciężką czarną skrzynkę, odkryłam w niej zaczęty film. Natychmiast sobie przypominałam,

że jest na nim zarejestrowany tamten okres. Otworzyłam aparat i wyszarpnęłam negatyw, prześwietlając go w słońcu.

Teraz robię zdjęcia farmy i krów, mając nadzieję, że utrwalam odmienną formę oczekiwania. Wczoraj uchwyciłam Joego na tle stodoły, z uśmiechem zaskoczenia na twarzy. Muszę kupić sobie album.

To dobrze, że Ernie i Joe się zakolegowali. Wszyscy kumple Erniego są albo za morzem, albo zginęli, z kolei Joe ma tylko mnie. John zawsze lubił mieć kilku kolegów spoza naszych znajomych par. Uświadamiam sobie, że w listach wspominał tego czy innego przyjaciela. Ich imiona pojawiały się i znikaly. Teraz wiem, że działo się tak dlatego, iż znikali oni z jego życia. Zostali przemieszczeni, są ranni albo martwi.

Ależbym chciała wiedzieć, kto z nim jest teraz, gdy usunął się z mego życia.

W każdym razie dziś wieczorem mieliśmy ucztę złożoną ze smażonych flader, tylko nasza trójka. Frickowie pojechali w jakimś interesie do miasteczka. Zostało tyle ryb, że dałam Erniemu do domu porcję co najmniej na następny posiłek dla niego i dla jego matki. Na dodatek starczyło jeszcze dla pań Ruth, którym Ernie ma je podrzucić. Dom nadal śmierdzi rybami, więc żeby się pozbyć zapachu, gotuję obierki od jabłek z odrobiną cynamonu.

Gdy późnym wieczorem szliśmy do naszych przyjaciółek, nasze oddechy przemieniły się w obłoczki pary. Część drzew już zmieniła barwy. Dąb zbrązowiał, ale klony rosnące nieco dalej od domu rozbłysły oranżem i czerwienią. Na ich tle wspaniale prezentują się jałowce. Byłam bardzo oszczędna, gospodarując bonami na benzynę, więc mogłabym spokojnie ruszyć na północ, żeby obejrzeć najpiękniejsze partie stanu podczas złotej jesieni, ale wiem, że Joe się nie ruszy. Judy natomiast chętnie pojechałaby ze mną, więc uprzytamniam sobie, że to nie samotna podróż odstręcza mnie od tego projektu. Mam poczucie kurczącego się czasu. Nie chcę spędzić ani chwili z dala od Joego. Nawet jednego dnia.

3 października 1944 roku Wróciłam do pisania poezji. Poczulałam, że powstał we mnie odpowiedni dystans wobec grudniowego wydarzenia. Teraz mogę zamienić w słowa to, co najbardziej boli. Choć nie ma to może sensu, odnoszę wrażenie, że jestem tak naładowana emocjami, iż przekształcenie ich w słowa pomoże mi zniwelować ból. Nie mogłam tego zrozumieć aż do teraz. Parę linii, które zapisałam dziś rano, nie ma

nic wspólnego z Molly, ale taka była moja intencja. Piszę długie wersy, zawsze tak robiłam, a potem je skracam i dostosowuję do budowy stroficznej. Te zdania nie dotyczą dzieci czy macierzyństwa. Nie mówią także nic o Johnie lub o wojnie. Natomiast zdają się mówić bardzo wiele o Hawke's Cove i o Joem.

Boże. Mam nadzieję, że nikt nigdy nie ujrzy tych dziewczęcych popisów. Wreszcie pozwoliłam sobie je zanotować. Nie będę ich zapisywała w dzienniku, zwłaszcza w stanie niedokończonym. Dwa wiersze, jeden temat: poczucie braku.

Pastwisko stało się złotorude. Ścieżka, którą chodzą krowy, jest wydeptana aż do stawu. Bessie, Mamuśka i Baby, już tak wielka jak jej matka, ale ciągle nazywana dziecinnym imieniem, położyły się na trawie i dostojnie przeżuwają. Strzygą uszami, broniąc się przed chmurą owadów. Patrząc na nie, obmyślam swój trzeci wiersz.

5 października 1944 roku Po lunchu wybraliśmy się spacerem na plażę. Krowy towarzyszyły nam do granicy pastwiska, a potem łagodnie się ułożyły, gdyśmy znikli im z pola widzenia, wchodząc do lasu. Plaża była cicha, ocean spokojny. Niskie jesienne słońce rzuca błyski na ciemnobłękitną wodę, a horyzont w oddali wygląda niczym pofalowany wskutek dziwnej iluzji wzrokowej, która następuje, gdy niebo spotyka się z morzem.

Gdy staliśmy z Joem na wydmie, spoglądając w dół na Plażę Bailey'a, szwadron hellcatów F6F, samolotów bojowych, przeleciał nad nami z rykiem silników. Tak wiele maszyn lata nam nad głowami, że mieszkańcy Hawke's Cove już przywykli do ich widoku i hałasu. Rozmowy przechodniów milkną na chwilę, oczy kierują się ku niebu, ale gdy tylko samolot odlatuje, wszyscy wracają do pogawędki. Nikt już nie zwraca uwagi na popisy lotników, no, może prócz garstki chłopców, którzy podniecają się wojną, bawią w wojsko i z zapartym tchem śledzą maszyny. Naszej spokojnej miścinie przypominają one o toczącej się wojnie.

Joe obserwował szwadron, zasłoniwszy oczy ręką przed ostro świecącym słońcem.

Wpatrywał się w samoloty z taką intensywnością, że aż pociągnęłam go za rękaw.

Miałam wrażenie, że w ogóle o mnie zapomniał, że nie poczuł mego dotyku. Patrzył na nie, aż znikły. Po raz pierwszy od naszego poznania

pozwolił sobie na ujawnienie głębokiego smutku. Dotychczas takie stany pilnie ukrywał i przybierał nieszczęśliwą minę tylko wówczas, gdy sądził, że jest sam.

– Joe?

– Przepraszam. – Odrywając wzrok od nieba, uśmiechnął się i ruszył dalej ścieżką. – Byłem pogrążony w myślach.

– O samolotach? Nie odpowiedział, tylko dalej szedł w kierunku domu. Szłam za nim i widziałam, że pochylił ramiona, jakby pod ciężarem wspomnień.

Postanowiłam, że nadszedł czas, aby opowiedział mi swoją historię.

– Joe. – Podbiegłam trochę, żeby się z nim zrównać. – Joe, poczekaj!

Zwolnił, ale się nie zatrzymał.

– Joe, rozmowa pomaga. Pomogła mnie, gdy ci o sobie opowiedziałam. O Molly.

– Ja nie mam nic do powiedzenia.

– Wszyscy mamy swoje historie. Joe, nie ufasz mi?

– Już raz prosiłem, żeby nie zadawała mi pani pytań, na które nie mogę odpowiedzieć. Nie postawię pani w kłopotliwej sytuacji człowieka, który wie za dużo.

Nagle stanął pośrodku ścieżki, odwrócił się i schwycił mnie za ramiona, jakby chciał mną potrząsnąć.

– Proszę mnie więcej nie wypytywać. Dotknięta, usiłowałam strząsnąć z siebie jego ręce.

– Chcę tylko, byś wiedział, że kiedy będziesz gotów, wysłucham cię. I nic nie zdoła zmusić mnie do myślenia o tobie w inny sposób. Ani do zmiany moich uczuć wobec ciebie.

– Pani Worth, i tu się pani myli.

– Joe, już kiedyś zwróciłeś się do mnie „Vangie”.

– Zawołałem tak we śnie. – Zdjął rękę z mego barku i ujął lewą dłoń. Dotknął obrączki na moim palcu. – To był sen – powtórzył.

Omijaliśmy się wzajemnie do końca dnia. Ja poszłam na zebranie Czerwonego Krzyża, a kiedy wróciłam wieczorem, on był na rybach. Zjadłam kolację sama, skupiając się wyłącznie na przyrządzeniu sobie owsianki bez grudek. Joe musiał zjeść z Erniem, bo w zlewku nie było żadnych naczyń. Nadal go nie ma, choć minęła już ósma.

Poszłam sprawdzić, jak się mają nasze przyjaciółki, i zastałam tam Jogo.

Siedział na stołku do dojenia, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Najpierw długo milczeliśmy. Nie wiedziałam, co powiedzieć, on z pewnością też.

Wreszcie, by złagodzić napięcie, poruszyłam najbardziej neutralny temat:

– Nic dziś nie złowiłeś?

– Wcale nie poszedłem na ryby. Chciałem się przejść.

– O, to świetnie. Nie czuję się na siłach, żeby przygotować następną ucztę rybną.

– Wiem, dlatego nie wyprawilem się na ryby. A jestem takim świetnym rybakiem.

Roześmialiśmy się. Ten śmiech miał dowodzić, że nasze dobre intencje górują nad urazami.

– Krowy w porządku?

– Tak, kury też. – Wskazał ręką na nowe kurczęta pogdakujące w kłatkach, które dla nich zbudował.

– A ty? Wszystko dobrze? – Odezwałam się najłagodniejszym tonem, żeby znowu nie poruszać spornego tematu.

– Taaa. Jestem trochę zmęczony, i tyle. A ty? Podniósł się i popatrzył mi prosto w oczy. Zauważyłam w jego oczach zagadkową wilgotność. Nie łyzy, ale jakiś przezroczysty płyn.

Chciałabym znać powód tego zjawiska.

– Ja także jestem dość zmęczona. Zmęczona zastanawianiem się.

7 października 1944 roku Dostałam dzisiaj list od mojej teściowej. Zgiął Arnold Scheerbaum. Jakaś drobna cząstka we mnie jest rada, że nie mogę porozumieć się z Johnem. Arnold był jego bliskim i przyjacielem, jeszcze z lat szkolnych. A także drużbą na naszym ślubie. Z tamtego grona nie on pierwszy poległ. Nawet gdybym mogła wysłać list do Johna, nie wspomniałabym mu o śmierci Arnolda. A nuż ogarnąłby go lęk, straciłby nadzieję na ocalenie. A może powinnam była mu o tym I donieść, bo byłby wtedy ostrożniej szy.

Tak wiele chciałabym mu opowiedzieć, ale w najczarniejszych chwilach myślę, że nie będę miała po temu okazji. Nigdy już nie będzie mi dane, by zapytać: „Hej, chcesz groszek czy marchewkę do obiadu?”. Nie będę mogła wyznać, jak bardzo cierpię z powodu utraty Molly. Jak mi przykro, że krzyczałam na niego tamtej nocy, oskarżając go, że nie był przy mnie, gdy tego najbardziej potrzebowałam, chociaż znajdował

się dwa pokoje dalej. Obwinałam go, że zmusił mnie do posiadania dziecka, które mi dał, i że na koniec nie pragnął go wystarczająco mocno. To ja go nie chciałam. Ja. Przynajmniej z początku.

Nigdy nie wyznałam Johnowi, jak bardzo mi z tego powodu przykro i źle.

Niekiedy czuję się wyleczona. Ale wtedy zrywam strupek, aby rana nigdy się nie zasklepiła.

Dzisiaj pisałam wiersz o gniewie. Pracowałam przez dwie godziny z plecami opartymi o wzgórek wydmy. Październikowe powietrze bardziej przypomina zimę niż lato, ale słońce ogrzewa piasek, a ja się w nim pławię. Bezchmurne błękitne niebo, ani chmurki, ani ptaków. Moja ręka posuwa się po liniowanym papierze notesu i kiedy odczytuję to, co napisałam, zdumiewa mnie rozmiar własnego gniewu.

Złość na siebie i na Johna. Nawet na Joego. To bogatsze i dużo bardziej interesujące niż poezja dyktowana przez szczęście. A mimo to drę kartkę i rozsypuję skrawki papieru na wietrze.

A może już porzuciłam nadzieję co do Johna. Splątana gula, jaką czułam w brzuchu, wreszcie ustąpiła. Wypełnia mnie teraz poczucie pustki. 7 października – późne popołudnie Po lunchu pojechałam rowerem na pocztę. Roy Tingley przyznał się do złamania regulaminu i zerknięcia na pismo poetyckie, które do mnie przyszło. Nieśmiałym szeptem wyznał mi, że on również „skrobie” wiersze. Zaproponowałam, że je przeczytam, a on aż poczerwieniał z zadowolenia.

Ujrzałam, jak dwóch oficerów marynarki wyszło z posterunku Erniego. Właśnie poprawiali czapki na głowach, żeby tkwiły pod odpowiednim kątem. To mi przypomniało, że zaprosiłam Erniego i Fricków w sobotę na kolację, więc przesłam na drugą stronę ulicy. Drzwi były szeroko otwarte, a Ernie siedział pochylony i drapał Pala w kark. Gdy tylko ujrzał mnie w progę, zakrył rękami twarz.

– Ernie, co się stało?

– Och, Vangie, nie słyszałam, jak wchodzisz.

– A co by się stało, gdybym była Al Caponem?

– Tobym dopiero się zbłąźnił!

Podszedł do biurka, poszperał w papierach i położył teczkę z aktami na błyszczącą fotografię.

– A zatem, co cię tu sprowadza? Kolejna tajemnicza kradzież?

– Nie, zaproszenie na kolację. •

– Karty?

– Przypuszczalnie. Możesz też przynieść blat od stołu? Mój jest za mały na pięć osób.

– Joe będzie?

– Tak myślę. Dlaczego pytasz?

Ernie oparł się pięściami na biurku, a potem położył je na teczce.

– Widziałeś tych dwóch z marynarki wojennej? Kiwnęłam głową.

– Szukają dezertera.

– Przecież nie Joego.

– Siostrzenica Ruth Banks utrzymuje, że w twojej kuchni rozpoznała pilota z tego hellcata, który zwałił się do morza.

– Ona się myli.

– Oświadczyłem im, że nie mam powodu tak uważać.

– Och, Ernie.

– Vangie, możesz wspomnieć Joemu, że oni u mnie byli. Jakiś instynkt kazał mi odsunąć rękę Erniego spoczywającą na teczce. Wyciągnęłam spod niej błyszczące zdjęcie przedstawiające oficera marynarki. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Poczuliśmy brzemień współnictwa, gdy utkwiliśmy wzrok w wizerunku Joego Greena – bez brody.

Musiałam zadać Erniemu pytanie, które cisnęło mi się na usta:

– Gdybym nie zajrzała do ciebie przypadkiem, dałbyś mi znać? Czy ostrzegłbyś Joego?

– Nie wiem. – Ernie unikał mego wzroku. Odłożyłam fotografię na biurko.

Ernie szybko nakrył ją teczką.

– Nie. Wiem. Powiedziałbym mu o tym.

Przekląłam się w myślach za wyjazd do miasteczka rowerem. Dwumilowy dystans dłużył się w nieskończoność. Chociaż z całej siły naciskałam pedały, miałam wrażenie, że prawie się nie poruszam. Kiedy dotarłam do domu, było już po piątej, ale na podjeździe nie zobaczyłam dzipa marynarki wojennej. Po drodze nikt mnie nie mijał. Albo ci dwaj uwierzyli Erniemu, albo zwlekają z przybyciem na farmę.

Joe był zajęty usuwaniem nawozu ze stodoły, a ja, podchodząc praktycznie do zagadnienia, wpadłam do kuchni, roztopiłam na patelni trochę margaryny, wrzuciłam resztę ziemniaków z obiadu i zaczęłam kroić pomidory. Jeśli mają go wziąć, niech przynajmniej będzie syty.

Zawołałam go na posiłek, jeszcze zanim zabrał się do dojenia. Czulałam rosnącą panikę, spodziewając się w każdej chwili warkotu nadjeżdżającego auta. Gdy jadł, nie odzywałam się ani słowem i dopiero kiedy zauważył, że sama niczego nie tknęłam, popatrzył mi w oczy i dostrzegł w nich troskę.

– Vangie, co się dzieje?

– Marynarka wojenna cię poszukuje.

Położył nóż i widelec na talerzu, a następnie podszedł do zlewu, by splukać naczynia. Zrobiwszy to, wytarł ręce w kuchenny ręcznik gestem znanym mi od miesięcy i odwiesił go na haczyk.

– Pani Worth, idę do stodoły. Przyjaciółki domagają się wydojenia.

– Nie! – Zerwałam się z krzesła, które z hukiem upadło na podłogę. – W porządku, będziesz w stodole. Ale – uważaj Joe – w kryjówce na whisky.

– Proszę, daj mi spokój z kryjówkami. Jestem już nimi zmęczony.

– Joe, proszę. Błagam. Zrób to dla mnie. Nie mogę stracić również i ciebie.

Musieliśmy wyprowadzić Bessie z jej boksu, by Joe mógł wejść do tajnej piwniczki.

Wrzuciłam mu tam trochę słomy, żeby się na niej położył. Gdy spuszczał się na rękach do schowka, usłyszałam, jak na podwórko zajeżdża dżip. Joe wyciągnął rękę i dotknął mego policzka.

– Nie musisz kłamać w związku ze mną. Ścisnęłam jego rękę i ucałowałam palce.

– Ukryj się i pozwól mi zrobić to, co uważam za stosowne. Wrócę za kilka minut.

Gdy zamykał nad sobą pokrywę, podtrzymałam ją, myśląc zarazem, że tak mógłby wyglądać nieboszczyk, który nakłada na siebie wieko trumny. Wprowadziłam Bessie na jej miejsce, rozrzuciłam nieco słomy na goły kwadrat. A potem wyszłam, żeby spotkać się z żandarmami z marynarki wojennej.

Zważywszy na ich funkcję, odnosili się do mnie kurtuazyjnie. Zwracali się do mnie „szanowna pani”, co chwila wtrącali „proszę” i „dziękuję”. Moje kłamstwa brzmiały wiarygodnie.

– Mój pomocnik odszedł parę dni temu. Oświadczył, że chce się przenieść. Nie powiedział dokąd. Proszę się rozejrzeć, jeśli panowie mają ochotę. – Różne kłamstwa. Kazali mi spojrzeć na zdjęcie. – Och, nie.

To nie on. Joe jest znacznie starszy. – Przypuszczam, że fotografia została zrobiona, gdy tylko został wcielony do wojska. Miał młodą twarz, krótkie gęste włosy i wygoloną szczękę. Wydał mi się na niej wręcz chłopcem.

Bogu chwała, że robili wrażenie usatysfakcjonowanych. Zaprowadziłam ich do domu, żeby podkreślić swoją otwartość, a więc niewinność. Właśnie towarzyszyłam im w drodze do furtki, gdy jeden z nich zauważył rozwieszone pranie.

– Jeśli pani pomocnik odszedł kilka dni temu, to dlaczego jego rzeczy są nadal na sznurku?

– One należą do mego męża.

– A gdzie on jest?

– Chciałabym wiedzieć. Zaginął w akcji.

– Przepraszam, pani Worth. Nie miałem o tym pojęcia. – Trzeba powiedzieć, że młody żandarm był wyraźnie zawstydzony brutalnym pytaniem.

Jednakże drugi, nieco starszy, nie miał takich zahamowań.

– Jeśli pani mąż służy za morzem, to dlaczego pierze pani jego ubrania?

– A to już, drogi panie, nie pański interes. – Pewnie pomyśleli, że jestem jakąś obłąkaną wojenną żoną, która odnosi się do męzkowskich ubrań jak do relikwii. Uścisnęłam im ręce i zawróciłam do domu. Tym razem nie skłamałam – ubrania suszące się na sznurze rzeczywiście należały do Johna.

10 października 1944 roku Ostatnie dwie doby spędziłam, przygotowując się do opuszczenia Hawke's Cove.

Teraz pędzę do Bostonu wieczornym pociągiem z Great Harbor. Wszystkie rzeczy zapakowałam do kufra, który służył memu ojcu, gdy wyjeżdżał do college[^]

Nieprędko wrócę na wieś.

Nie pozwalam sobie ani myśleć, ani cokolwiek odczuwać. Mądrość ostrzega mnie, abym nie zapisywała w dzienniku niczego, co się wydarzyło. Ale serce domaga się czegoś przeciwnego. Marzę, żeby to opisać. Spisuję więc te przeżycia po części z powodu gwałtownych emocji, a po części, by nigdy w żadnym szczególe o nich nie zapomnieć. Po raz drugi w moim życiu odczuwam potrzebę zapamiętania wszystkiego na zawsze.

Gdy tylko żandarmi odjechali, pobiegłam do stodoły, żeby wyzwolić Joego. Jakby na złość usiadł na stołku i począł bez słowa doić Bessie. Chwyciłam więc wiadro i drugi stołek i usiadłam przy Mamuśce. Przez długi czas towarzyszyło nam tylko bębnienie ciepłego mleka spływającego do wiader. Nie mogłam ujrzeć Joego, bo oddzielała nas przegroda, ale słyszałam, gdy na chwilę przestawał doić. Za każdym razem wstrzymywałam oddech, licząc na jakiś znak od niego.

Wreszcie się odezwał:

– Nazywam się Spencer Buchanan. Siedziałam w napięciu jak trusia.

– Jestem dezerterem.

Oparłam czoło o brzuch Mamuśki i czekałam.

– Kiedy rozbiłem się na wodach Hawke's Cove, myślałem, że to akt kary boskiej, że za chwilę umrę. Ale gdy okazało się, że nie umarłem, pojąłem, że prawdziwa kara boska polegała na utrzymaniu mnie przy życiu.

– Kara za co, Joe?

Wstał i zaniósł pełne wiadro mleka na blat roboczego stołu.

– Za morderstwo.

Podeszłam z moim wiadrem do niego. Nic nie mówił, zlewając oba udoje do bańki, ostrożnie, żeby nie uрониć ani jednej kropli. Potem bez słowa płukał oba wiadra.

– Joe, wojna nie jest zbiorowym morderstwem.

– Zestrzeliłem mojego człowieka.

– Joe, to był z pewnością tragiczny wypadek.

– Tak. To właśnie powtarzali wszyscy. Nieszczęśliwy wypadek w czasie wojny.

– Ale tobie to nie wystarczało? – Podciągnęłam się na rękach i siadłam na blacie, gdy tymczasem Joe chodził tam i z powrotem, jakby nie wiedział, co ze sobą począć po zakończeniu dojenia.

– Nie. Widzisz, grzech nic już dla mnie nie znaczył. Tak przywykłem do wojny, do śmierci. Ledwie znałem tego chłopca, nawet nie pamiętałem jego nazwiska. Był na tyle nowy w naszym szwadronie, że nie zdążył jeszcze zaprzyjaźnić się z kolegami, którzy przypominaliby mi o tej stracie. I wtedy sam zostałem zestrzelony.

Przetransportowano mnie do szpitala w Stanach. Zajmowała się mną Jean Banks. Tak, ona mnie pamięta. Jestem jednym z tych, o których orzeczono, «e mogą wracać na front. Po zagojeniu się ran wysłano mnie

do Great Harbor, bym czekał tu na dalsze rozkazy. Postanowiono, że dołączę do mego dawnego szwadronu na Pacyfiku.

Ponieważ przez długi czas nie latałem, wziąłem hellcata, żeby nabrać wprawy.

Dopiero gdy znowu znalazłem się w powietrzu, na spokojnym niebie, objawiło mi się znaczenie mego grzechu. Nie że go zabiłem, ale że zapomniałem o nim. Kiedy silnik hellcata odmówił posłuszeństwa, pomyślałem: „Aha! Bóg wykrył, jakim jestem grzesznikiem”. W takich sytuacjach to są przebliski świadomości... Więc najpierw przyszło mi do głowy: „Dobrze. Jak mogę żyć ze sobą, wiedząc, jaki stałem się bezwzględny, jak mało zależy mi na istnieniu ludzkim? Zaslужuję na śmierć”. Jednakże okazało się, że mimo swej winy ocalałem, ponieważ pragnąłem żyć. A teraz powiedz mi, Vangie, jak mam żyć z tym złem w duszy?

Kiedy wygramoliłem się na plażę u stóp twojej farmy, byłem pewny tylko jednego – że już nie wrócę do wojska. Miałem dość. Wypełniłem swoje obowiązki, które mnie zniszczyły.

– Joe, jesteś jednym z najłagodniejszych ludzi, jakich znam. Byłeś w strasznej sytuacji...

– Vangie, przestań. Nie możesz posługiwać się takimi wyjaśnieniami. Nie wytłumaczysz nikomu potrzeby umieszczenia kamienia nagrobnego z imieniem twego dziecka. Po prostu... – Tak mocno ścisnął mi ręce, że aż zabolalo. – Po prostu tak czujesz.

– Joe. – Wyswobodziłam dłonie, dotknęłam jego twarzy, pogładziłam po włosach, które zsunęły się na brwi. Dotykam pragnęłam mu uświadomić, że oboje myślimy tak samo. Że postąpił słusznie.

Ujął moją twarz w swoje spracowane dłonie i uśmiechnął się.

– Vangie, ty płaczesz. \

Ku memu najgłębszemu zdumieniu starłam łzy z policzków.

– Racja.

Rozplakaliśmy się w końcu oboje. Ja opłakiwałam Molly i Johna. Płakałam nad tym człowiekiem, który nazywał się Spencer Buchanan, i tym, który nosi teraz nazwisko Green. Szlochaliśmy nad sobą, aż pocałowaliśmy się w sposób tak naturalny, jak oddychanie. Jakbyśmy spijali wzajemnie nasz ból. Przytuliliśmy się do siebie w miękkim, ciepłym mroku stodoły i ten gest stał się początkiem cielesnej miłości.

Na dworze zapadł już zmierzch, w oknie pociągu widzę odbicie własnej twarzy.

Dostrzegam też zarys twarzy kobiety siedzącej naprzeciwko mnie. Ma około pięćdziesiątki, spod ronda jej kapelusza sterczą siwe, ciasno związane loki.

Kiedy rozpięła płaszcz, zauważyłam, że futrzany kołnierz jest już nieco wyleniawy. Drzemie, czasem wydyma usta we śnie. Co by o mnie pomyślała, gdyby wiedziała, co opisuję?

Nie padło między nami ani jedno słowo. Siano na górcie służyło nam za łożo. Potem Joe przykrył nas jedną z kołder wyciągniętą z kufra. Miałam wrażenie, że jeśli wyjdziemy ze stodoły, czar pryśnie. Ale póki tu leżymy, jesteśmy bezpieczni.

Również w tym, co tam robiliśmy.

Drzemaliśmy, zbudziliśmy się, znowu się kochaliśmy. Tym razem zwlekając, jak podczas wystawnego przyjęcia. Nie zaspokajaliśmy pragnienia, lecz głód. Nadal nie odzywaliśmy się do siebie, jakby w obawie przed wyrażeniem naszych uczuć słowami. Nie byliśmy przygotowani do wyznań, gdy to się stało.

Jeszcze przed świtem usłyszałam kury domagające się ziarna. Gdakały i grzebały pazurami, zniecierpliwione naszą opieszałością. Krowy, pozostawione w boksach, jakby na usprawiedliwienie naszej tu obecności, przestępowały z nogi na nogę, wyczekując przybycia Joego. Poczulałam, jak opuszcza nasze gniazdo, przechodzi nade mną, staranni otula kołdrą moje gołe ramiona. Szepnął do ucha, żeby została i jeszcze odpoczęła. Musiałam się znowu zdrzemnąć, bo nagle znów był kolo mnie na sianie.

Gdy* po raz trzeci się kochaliśmy, w szparach miedz deskami stodoły ukazały się promienie słońca. Siano przy brało złotawy połysk. Głęboko zapatrzyłam się w błęki oczu Joego, znowu dostrzegłam różowawe blizny na jego plecach. Wciągnęłam w nozdrza jego ostry pot. I wiedziałam że to się już nie powtórzy.

Zbliżam się do celu podróży. Pociąg właśnie ruszył z ostatniej stacji przed Bostonem. Muszę jak najszybciej zanotować wszystko, żeby zdążyć przed przyjazdem.

Przywarliśmy do siebie w ciepłym, kłującym sianie, wchłaniając woń naszych ciał.

I wtedy mnie zapytał:

– Czy będziesz tego żałowała? A ja odparłam:

– Nigdy.

Wyszedł, żeby wyprowadzić krowy z małej zagrody koło stodoły na pastwisko.

Ubrałam się i zeszłam po drabinie. Zatrzymałam się, żeby wybrać kwi-
skom świeżo zniesione jajka. Ucieszyło mnie, że znalazłam aż trzy –
dwa dla Joego, jedno dla mnie.

Usłyszałam nadjeżdżającą ciężarówkę Sylvestra Feeneya. Pomyślałam,
że dziś musiał się spieszyć. Sam prowadził. Otworzyłam na oścież wro-
ta stodoły, żeby go powitać. Miałam nadzieję, że rumieniec szczęścia
zbytnio mnie nie zdradzi.

To nie była ciężarówka Sylvestra, lecz dżip. A w nim nie siedział nasz
sąsiad, lecz dwóch oficerów, którzy właśnie wysiadali. Zatrzymałam się
w połowie drogi od stodoły do auta. Myślałam: Armia. Nie. Marynarka
wojenna. Czy armia też teraz poszukuje Joego? Podeszli do mnie, zasa-
lutowali, zdjęli czapki z głów.

– Pani Worth?

Jajka wypadły mi z rąk na wieść, którą mi przynieśli: odnaleziono mo-
jego męża.

Milcząca towarzyszka podróży wysiadła na przedostatniej stacji. Teraz
jestem już blisko domu. Matka wyjdzie po mnie na peron, spodziewając
się, że jestem rozpromieniona i radosna. Mój mąż wraca z frontu. Ależ
jestem. Jestem szczęśliwą żoną, która odzyskała męża. Jestem rada. Ale
tak długo czekałam na tę chwilę, że teraz nie wiem, jak się zachować.
Obawiam się też, kogo spotkam. Jakże zmieniliśmy się oboje.

Jest taka bardzo stareńka dama, pani Grace, którą spotykam w kościele.
W każdą niedzielę zbliża się z trudnością do ołtarza, żeby przyjąć ko-
munię. Idzie wolniutko, bo musi się przytrzymać każdej ławki po dro-
dze. W ten sposób pokonuje dystans od swego miejsca, które należało
do jej rodziny od pokoleń. Zawsze klęka, choć to bolesna i powolna
operacja. Po otrzymaniu sakramentów podbiega do niej kościelny i po-
maga się jej podnieść.

Patrzyłam na nią w zeszłym tygodniu i zastanawiałam się, czy żałuje
czegokolwiek w swoim długim życiu. I wtedy pomyślałam, że wolę ża-
łować tego, co zrobiłam, niż żałować, że czegoś nie zrobiłam. Raczej
ubolewać nad tym, cośmy zrobili, niż nad tym, czego nie dokonaliśmy.
Piszę te słowa i sędzę, że nie czuję się winna. Tak jak Joe nie czuł winy

po zestrzeleniu pilota. Ale czy jak Joe pojme kiedyś rozmiar naszego grzechu? Badam swą duszę i dochodzę do wniosku, że to, co uczyniliśmy, pozostanie we mnie jako dar.

Najtrudniej napisać mi to, co następuje: Joe znikł. Chyba musiał zauważyć tych oficerów z armii. Pobiegłam do stodoły, żeby sprawdzić, czy znowu wślizgnął się do kryjówki, ale tam go nie było. Wołałam, lecz gdy nie odpowiedział, zrozumiałam. Wiedziałam, że dokonał tego wyboru za mnie. Czy mam zostać z nim, czy wracać do Johna? Tak, zrobił to dla mnie. Dowód miłości. Przez dwa dni szarpałam się w sobie, by móc zaakceptować ten jego podarunek. Jestem i wdzięczna mu za to, i głęboko zraniona. I zła. Wściekła, bo on zdecydował, jak należy postąpić.

Ostatnie godziny pobytu w Hawke's Cove spędziłam na przygotowaniach do podróży.

Zatelefonowałam do Sylvestra Feeneya, komunikując mu, że wyjeżdżam i żeby zorganizował sprzedaż naszych przyjaciółek. Zapytałam, czy widział może Joego.

Nie widział.

Pozwoliłam się objąć Judy, która roztropnie nic nie komentowała, a po prostu zajmowała się drobiazgami niezbędnymi przed odjazdem. Nigdy nie spytała o Joego, tylko wyraziła nadzieję, że kiedy wróci, wszystko będzie w porządku.

Po prostu wiedziała, że wróci, kiedy ja odjadę.

Oczywiście, nie wspomniałam jej o nas.

Źle spałam, nasłuchując, czy Joe nie przyszedł.

Słyszałam tylko buczenie boi na płyciźnie.

Ostatnią kolację spędziłam w towarzystwie Erniego i Judy z Tedem. Graliśmy w karty bez przekonania, wszyscyśmy byli myślami gdzie indziej, rozmyślając o moim odjeździe i o zniknięciu Joego. Obiecaliśmy sobie, że pozostaniemy w kontakcie.

Frickowie nawet przyrzekli, że odwiedzą mnie w Bostonie. Ernie oświadczył, że będzie mnie wyczekiwał następnego lata. Odpowiedziałam zgodnie ze zwyczajem w Nowej Anglii, że zobaczymy. Myślę, że nigdy już nie ujrzę Hawke's Cove.

Sylvester powiedział mi, że chętnie wynajmie Joego do prac polowych, gdy się tylko odnajdzie. Potrzebuje dodatkowych rąk teraz, gdy stado mu się powiększyło.

Zajrzałam na pocztę, żeby odebrać ostatnie listy i zlikwidować skrytkę. Patrzyłam, jak Roy zatyka ją brązowym kartonikiem, w ten sam sposób, w jaki zabezpieczał skrytki letników.

Ted zajmie się wszystkimi sprawami, żeby zamknąć dom na zimę. Spuści wodę z rur, zabije okna. Wykręci korki, zabezpieczy krany, wyłączy telefon. Ted z pewnością zatroszczy się o wszystkie drobiazgi. Judy powiada, żebym się tym nie przejmowała. Mam być szczęśliwa i myśleć o mężu, który jest cały i zdrow.

Ernie zawiózł mnie na stację. Dwadzieścia minut czekania na pociąg wypełniliśmy niezobowiązującą pogawędką, ostrożnie omijając niebezpieczne tematy. Ale gdy wysiedliśmy z jego auta pod budynkiem stacji, postanowiłam zadać mu pytanie, które nurtowało mnie od lat.

– Ernie, czy spotykałeś się z moją kuzynką Frań? Ernie wyciągnął z bagażnika mój ciężki kufer i umieścił go na wózku. Uśmiechnął się i uniósł brwi, jakby naśladując siebie z czasów młodości.

– Byłem strasznie zakochany we Frances. Ale jej się należał ktoś lepszy niż małomiasteczkowy gliniarz. Mam nadzieję, że kogoś takiego znalazła.

– Ernie, musiałyby przejść bardzo długą drogę, żeby spotkać kogoś lepszego od ciebie. Ale jest szczęśliwa. – Spojrzałam mu prosto w oczy. – A ty?

To dziwne pytanie zadałam tylko dlatego, że byłam rozchwiana emocjonalnie. Ernie jednak nie czuł się nim urażony.

– Taa. Zasadniczo tak. Bierzesz, co życie ci daje. Mocno go uścisnęłam i ruszyliśmy do wagonu.

Pojawiają się znajome strony, gdy pociąg przyspiesza na torach. Jestem prawie u celu. Mama powita mnie na dworcu i zawiezie do pustego mieszkania. Pościelę sobie łóżko i zejdę do sklepu, żeby dopełnić półki spiżarni, puste od kwietnia.

Będę czekała na dzwonek telefonu. Poinformują mnie, że mój mąż już przybył, i podadzą miejsce jego pobytu. Przywiozę go do domu. Dostaniemy jeszcze jedną szansę.

Kiedy wyprowadziłam się do Hawke's Cove, byłam ogromnie nieszczęśliwa. Moje dziecko zmarło, mąż poszedł na wojnę, przyszłość wydawała mi się nie do wyobrażenia. Pojechałam tam, aby zagoić rany. Joe Green pomógł mi pogodzić się ze światem, uprzyjemnił oczekiwanie. Był moim oparciem, moją kotwicą.

Co przeżyłam w Hawke's Cove, pozostanie na zawsze ze mną. Tak jak ciągle będzie ze mną Molly. Joe Green. Będą mi stale towarzyszyli.

Rozdział 4

VANGIE – 1993

Evangeline Worth zamknęła dziennik oprawny w biało-czarną skórę i trzymała go przez dłuższą chwilę na kolanach, położywszy dłonie na okładce, jakby w oczekiwaniu, że żar słów ostygnie.

Sięgnęła do kieszeni swetra po chusteczkę i wytarła kąciki oczu. Tak dokładnie pamiętała chwilę, gdy ruszył pociąg ze stacji w Great Harbor, i ból serca na myśl, że zostawia tam Joego. Lektura tych stroniec zapisanych wiele lat temu sprawiła, że znów poczuła się emocjonalnie jak młoda kobieta.

Zegar na kominku wybił północ. Zerknęła na tarczę. Za późno, by włączyć kanał z programem „Lettermana”. Zdjęła więc okulary i położyła się na nieposłanym łóżku, przykryła tylko lekkim pledem. Odpoczywała, pozwalając pamięci wrócić do dawnych przeżyć. Po paru minutach jednak wstała.

Klosz od wiktoriańskiej lampy na biurku zadrżał, gdy wyciągała szufladę z bielizną. Pod starannie zwiniętymi rzeczami z białej bawełny, praktycznych w noszeniu, znalazła beżową kopertę zaadresowaną do niej. Na stemplu widniała data:

„Hawke's Cove, 13 października 1944 roku”. Wewnątrz znajdowała się chusteczka.

Na jej rożku wyhaftowano monogram SJB. Gdy się rozchyliło brzegi, widać było dwie prostokątne blaszki z wrytym nazwiskiem: Buchanan, Spencer, Jr. , i numery.

Pierwszy list od niego i te blaszki przyszły w tej kopercie, i do niej wkładała kolejne jego listy w czasie ich korespondencji trwającej blisko pięćdziesiąt lat. W ten sposób pozostali dla siebie żywymi osobami.

Gdybyś była moją żoną, otrzymałabyś te rzeczy po mojej śmierci. Ocałiłaś mi życie, ale żyję jako }oe Green, a nie Spencer Buchanan...

Jedyną pociechą starości jest mniejsza potrzeba snu. Drzemka przed świtem wystarczy, więc Vangie podreptała do kuchni, żeby podgrzać wodę na herbatę. Od dawien dawna nie sięgała do tych pierwszych listów. Nigdy też nie czytała ich tak śmiało jak teraz, rozłożywszy na stole kuchennym. Dotychczas studiowała je ukradkiem, niekiedy wsuwa-

jąc na wiele godzin do kieszeni spódnicy, póki nie nadszedł odpowiedni moment. Oboje uprawiali niebezpieczną grę. Biała nieoznakowana koperta, która wpadała do holu przez szczelinę w skrzynce razem z rachunkami i prenumerowanymi pismami.

Tamta szalona noc pewnie by wyblakła w pamięci, gdyby nie pierwszy jego list.

Ich korespondencja podsycala tę miłość, choć pasja ustąpiła z czasem miłosnemu poświęceniu.

Poczekala, aż herbata dobrze naciagnie, i dopiero wówczas wzięła do rąk pierwszy ze sterty listów na stole.

Usłyszała, jak zegar wybił szóstą. Za oknem zaskrzeczała sójka, przypominając jej o obowiązku napełnienia karmnika. No dobrze, zrobi to po krótkiej drzemce. W oczach czuła zmęczenie po całonocnej lekturze, nie tyle z powodu fizycznego wysiłku, ile masy wspomnień. Wszystkie jej emocje jakby zgromadziły się w gałkach ocznych, więc kładąc się, przyłożyła palce do powiek. Naczytała się tak wiele, że resztę mogła zostawić wiernej pamięci. Czas przyspieszał, mimo że listy przychodziły rzadziej.

Ręka, którą zasłaniała oczy, powędrowała w dół i poczęła głaskać koc leżący obok.

Palce delikatnie wczepiły się w miejsce, gdzie kiedyś leżał jej ukochany. Mogła sobie odtworzyć w pamięci obraz Joego, jakiego znała, natomiast nie potrafiła sobie przypomnieć, jak wtedy wyglądał John. Nieubłagany postęp czasu od młodości do starości wymazał poszczególne stadia jak starte gąbką litery na tablicy.

Myśląc o nim dawnym, odtwarzała w pamięci fragmenty rysów witalnego młodzieńca, a teraz widziała tylko starca, którym się stał.

Był to ostatni powód, dla którego nie chciała więcej ujrzeć Joego. Codzienny kontakt sprawia, że człowiek jest ślepy na drugiego. Gdyby się teraz zobaczyli, zmiana ich fizjonomii byłaby dla obojga szokiem. Ciągle wyobrażała go sobie z włosami barwy syropu klonowego, a on pewnie widział oczyma duszy jej kasztanowe sploty, gdy rozpuściła staroświecki warkocz.

Wstała i zebrała wszystkie listy, wkładając je z powrotem do dużej koperty.

Kiedyś John, podając jej pocztę, wręczył jej list z dziwnym spojrzeniem, może błyskiem ciekawości w oku. Pomyślała wtedy o postaciach

z kreskówek, które oglądały ich dzieci. Tamte ludziki wrzucały bombę w czasie gry w kartofla. Bomba zawsze wybuchała, a pokryte sadzą istotki rozbiegały się i znowu zbijały w gromadkę, by gonić podłego przeciwnika. Co by zrobiły, gdyby jej bomba wybuchła w niepodjęrzejających niczego rękach Johna?

A teraz Charlie, najmłodsze z jej czworga dzieci, odbezpieczył granat.

Rozdział 5

CHARLIE

– Mamo, czy myślisz, że mogę porozmawiać z twoją przyjaciółką Judy?

– Charlie, od dwóch lat Judy przebywa w domu opieki. Pamiętasz, mówiłam ci, że przeniosła się tam po śmierci Teda. Nie mam pojęcia, w jakim jest teraz stanie.

– Vangie dotknęła palcami skroni.

Charlie zmarszczył czoło. Nie wsłuchiwał się zbyt, gdy matka opowiadała mu o ludziach, których nie znał. Z jednej strony odczuwał radość, że jest ciągle aktywna i prowadzi bujniejsze życie towarzyskie niż on sam. Ale z drugiej nie miał ochoty zapamiętywać tych wszystkich szczegółów na temat dawnych przyjaciół.

– Wiesz, muszę porozmawiać z ludźmi, którzy tam żyli. – Zauważył, że głowa ojca podskoczyła na poduszce, co by mogło świadczyć, że obudził się z drzemki.

Pogłaskał ojca po ręce. – A ten facet, policjant?

– Ernie wyjeżdża każdej zimy na Florydę. Nie wraca aż do maja.

John Worth przechylił głowę nieco w lewo. Vangie sprawnie wytarła mu brodę chusteczką i włożyła do ust kolejną porcję piure z groszku. Czasami musiała mu unieść podbródek, jak upartemu dziecku. Tym razem jednak John otworzył usta bez protestów.

– No, kto jeszcze? A ten farmer? Jak mu na imię? Joe?

Vangie zaczęła żałować, że kiedykolwiek wspominała synowi o przyjaciółach w Hawke's Cove.

– Charlie, daj temu spokój. Porozmawiamy później. John zamknął usta, przytrzymując łyżkę, ale prawym okiem spoglądał uważnie na Vangie, podczas gdy ona wpatrywała się w talerz z jedzeniem. Wyglądało okropnie.

– Mamo, dlaczego nie wybierzesz się ze mną?

Vangie zastygła z łyżką w pół drogi w kierunku zaciśniętych ust Johna. Ta myśl przeleciała przez nią jak kropla lodowatej wody. Wreszcie odparła:

– Nie mogę zostawić ojca.

Ponownie zanurzyła łyżkę w brązowej mazi.

– Mogę, John?

Charliego zawsze zdumiewał upór matki. Vangie stale twierdziła, że umysł ojca jest całkowicie w porządku, a za? wiodło go jedynie zdradliwe ciało. Jeśli chciało się ją wyprowadzić z równowagi, wystarczało rozmawiać w obecności Johna tak, jakby go wcale nie było.

Charlie kochał ojca, ale z trudem przychodziło mu podtrzymywanie jednostronnej rozmowy. Toteż rzadko go odwiedzał, a jeśli to robił, to w towarzystwie matki.

„Opowiedz tacie o swojej ostatniej podróży, o reportażach, o kolegach... ”.

Zaczynał więc monolog, patrząc na Johna Wortha, na podrygującą głowę ojca, jego trzęsące się ręce, ale w gruncie rzeczy opowiadał anegdoty matce. Niekiedy siedział w samochodzie na parkingu Hospicjum Świętej Elżbiety i usiłował przypomnieć sobie, jak ojciec kiedyś wyglądał. W ten sposób łatwiej mu było, gdy patrzył na niego i próbował się przed nim otworzyć, jak to teraz czynił.

Był późnym dzieckiem, niemniej ojciec nauczył go wielu ważnych spraw. Jak schwytać piłkę baseballową, jak być dobrym kibicem drużyny Red Sox, jak prowadzić auto. Jak być porządnym człowiekiem. John Worth był może nieco surowy i nie dawał się wciągnąć w zabawę, ale chętnie chwalił i rzadko wpadał w gniew.

Niekiedy Charlie powtarzał sobie tę litanię do dobrego ojca, wspinając się po cementowych schodach do budynku hospicjum, pragnąc być dobrym synem.

– Mamo, to tylko parę dni. Dlatego tata jest tutaj. Byś miała od czasu do czasu chwilę wytchnienia.

– Charlie, nie mów byle czego. Nie potrzebuję wytchnienia i nie chcę pojechać do Hawke's Cove.

Prawa ręka Johna nagle podskoczyła, zaczepiając o brzeg tacy na stoliku przymocowanym do fotela. Resztki lunchu prysnęły na pochyloną nad mężem Vangie.

A on chciał dotknąć jej ramienia.

Rozdział 6

JOHN – 1993

To Hawke's Cove stańło między nami.

Naprawdę to moja wina. Nie mogłem ukryć obrzydzenia na widok tej małej, wstrętnej farmy. Po zachwytach Evangeline nad tym miejscem to, co ujrzałem na własne oczy, było wielkim rozczarowaniem. Jeśli sądziłem, że jedziemy do tradycyjnego domu letniego z wysokimi stropami i werandą naokoło, gorzko się zawiodłem. Dom babci Bailey był stary, prymitywny i zrujnowany. Evangeline go ubóstwiała. Z jego boków zwieszały się pociemniałe ze starości cedrowe okładziny, które wyglądały jak zęby gotowe w każdej chwili wypaść. Farba dawno już z nich zesza, pozostawiając szare zacieki. Nie było kanalizacji ani żadnych podstawowych wygod. Nad domem górowała rozwalająca się sto- doła, osunięta z jednego boku wskutek źle położonych fundamentów. Podłożono pod nią parę dużych kamieni, ale skutek był oplakany – wyglądała jak staruszek schylony na krzesle.

Podwórko to był oddzielny horror. Zżółkła ostra trawa wyrastała pośród grządek, których chyba od lat nie uprawiano. To miejsce w swoim dawnym wcieleniu było gospodarstwem rolnym, i tylko akry za płotem robiły bukoliczne wrażenie. Długi, popękany murek kamienny krętą linią znikał za drzewami, za którymi, jak twierdziła moja żona, leżał ocean. Evangeline wpatrywała się we mnie z niecierpliwością. Zmusiłem się do uśmiechu, ale jej przenikliwe zielone oczy wykryły mój niesmak.

– Tu jest trochę inaczej, niż sobie wyobrażałem.

Niewłaściwe słowa. Napastliwe słowa. Moja żona nie odpowiedziała, bo w jej naturze leżało powstrzymanie się od wybuchu gniewu. Zabrała głos dopiero wtedy, gdy przekształcała złość w odpowiednie zdania. Ja też wstrzymałem się od dalszych komentarzy. Zarezerwowałem sobie ostateczne wyrażenie opinii po inspekcji wnętrza. Kto wie, może dom w środku jest czarujący. Wniosłem dwie walizy po chybottli- wych schodkach prowadzących na ganek z wyrwaną siatką przeciw owadom, potknąłem się o stertę zardzewiałych narzędzi ogrodniczych i ubrań służących Bóg wie jak dawno minionym pokoleniom Baileyów.

W środku było schludnie, ale ten dom nigdy w swoim długim życiu nie był czarujący. Nijakie żółte tapety w kuchni, dziwaczny odcień błękitu w pokoju, który Evangeline uparcie nazywała salonikiem. Schody na piętro wąskie i strome, z niebezpiecznym skrętem, który sprawił, że wyrznąłem się walizką w kolano.

Cholera! – wymknęło mi się.

Evangeline stała u szczytu schodów z miną wyrażającą niezadowolenie i rozczarowanie moją pierwszą reakcją po obejrzeniu jej ukochanej farmy Baileyów.

Byłem wtedy ciągle młodym małżonkiem, który chciał się przypodobać ukochanej kobiecie, więc wykrzywiłem się w uśmiechu.

– Świetnie, Ev. Sama prostota.

Obróciła się na pięcie, a ja podążyłem za nią długim korytarzem wiodącym do sypialni. Nareszcie ujrzałem piękny pokój. Wprawdzie był znów wyklejony żółtą tapetą, ale papier nie spłowił, a blad różowy wzorek w pączki derenia był ciągle wyrazisty. Trójbarwne zasłony, ręcznie dziana narzuta z tradycyjnym wczesnoamerykańskim motywem na staroświeckim łożu z toczonymi balaskami. Chociaż wolę współczesne meble, doceniam walor antyków.

– To urocze, Ev. Naprawdę. – Postawiłem walizy i ująłem jej rękę. Jak bardzo chciała, abym polubił to miejsce, to całe Hawke's Cove.

– John. Kochanie, nie musisz polubić farmy od pierwszego wejrzenia. – Pocałowała mnie. – Dopiero wtedy, gdy się z nią zapoznasz. – Zrozumiałem, że wybrała uwodzicielski ton w naszym sporze, a ja się chętnie dostosowałem. Gdyśmy się kochali na wiekowym materacu, powtarzałem sobie w duchu: Proszę, nie każ nam tu spędzać każdego lata. Tyle było świata, którego nie znałem. Właśnie zaczynałem karierę zawodową. Miałem plany – odnieść sukces jako architekt, zbudować dla nas dom własnego projektu, zwiedzić Europę, wreszcie mieć dzieci. Hawke's Cove nigdy nie figurowało w mojej świetlanej przyszłości.

Później, siedząc w niewygodnej kuchni, zabrałem się do rysowania, Evangeline tymczasem smażyła kurczaka w głębokim garnku żeliwnym. Tu usunąć ścianę, tam zastąpić staroświecki piec nowoczesną kuchenką elektryczną, a stary zlew blatem z dwiema komorami, może składany stolik jako miejsce śniadaniowe. Moje bazgrały zainteresowały Evangeline, ale nie wywołały uśmiechu na jej twarzy.

– Lubię tak, jak jest.

– To tylko parę myśli rzuconych na papier, kochanie. O to mi chodzi.

– Ten dom należy do mnie. I nie możesz tu niczego zmienić.

Przyznaję, że ten szczególny ton głosu rozżłościł mnie, ale ciągle czułem w sobie słodycz naszego kochania się.. Złożyłem więc kartki i odsunąłem od siebie.

Kiedy wynosiłem śmieci, ujrzałem, że leżą zmięte na samym wierzchu kubła.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem Evangeline Bailey wspartą na ramieniu innego chłopca. Nigdy tego nie zapomnę. Była ubrana na Jesienny Bal Kotyliionowy w cudowną jasnozieloną suknię, która oblekała ją jak cieniutka skóra. Przypominała mi Vivien Leigh. Kasztanowe włosy zawinięte pod spód, tylko jeden niesforny lok odstawał od reszty. Intensywnie zielone oczy błyszczały i wpatrywały się w twarz towarzysza z ekscytacją i przyjemnością. Byłem pewien, że są w sobie zakochani.

Żadna kobieta nie wpatruje się w partnera z takim zachwytem, jeśli nie kocha ze wzajemnością.

Była studentką Smith College, robiła dyplom z literatury angielskiej. A ja, absolwent Uniwersytetu Harvarda, studiowałem na ostatnim roku Wyższej Szkoły Architektury. Jesienny Bal Kotyliionowy odbywał się w Tremont i w owych dniach każdy, kogo stać było na smoking, uczestniczył w tym międzyuczelnianym wydarzeniu towarzyskim. Moje córki, wiele lat później, nazywały tę imprezę targiem mięsnym. Wtedy, może w dużo większym stopniu niż obecnie, zachęcano nas do wyboru partnerów życiowych spośród naszej sfery.

Moją towarzyszką była dziewczyna z naszego rodzinnego miasta Providence – jej rodzice grywali z moimi w brydża. Zналиśmy się z Celeste od kołyski i nie budziła we mnie żadnych żywszych uczuć. Lubiliśmy się, ale wszystko ponadto wydawałoby się nam trochę kazirodcze. Jednakże Celeste ładnie się prezentowała i oboje planowaliśmy dobierać sobie wielu partnerów do tańca.

Gdy tylko pozwoliła mi etykieta towarzyska, dotknąłem ramienia towarzysza Evangeline. Był chłopcem obdarzonym wdziękiem i skłonił się mi, gdy ująłem rękę jego partnerki.

– John Worth – przedstawiłem się, także lekko się skłoniwszy. Od razu zawstydziłem się tego naśladowania jego gestu.

– Evangeline Bailey. – Dygnęła w nieco żartobliwy sposób i moje zażenowanie zniknęło bez śladu.

Natychmiast spodobał mi się dotyk jej rąk. Choć była w białych rękawiczkach, poczułem ciepło dłoni. Bez wątplenia umiała tańczyć. Ja nie byłem dobrym tancerzem, ale wyglądaliśmy ładnie, gdy wirowaliśmy po sali w takt walca, jeśli mnie pamięć nie myli, Walca cesarskiego. Jej zwiewna zielona suknia omiatała mi nogi. Evangeline patrzyła mi prosto w oczy, nie jak inne dziewczęta, które rozglądały się, kto na nie patrzy. Zachłannie poprosiłem ją o następny taniec.

Powiedziała „tak”. Zapytałem, czy mogę do niej napisać. Wyraziła zgodę. Przez cały wieczór kręciłem się koło niej i na koniec spytałem, czy mogę ją pocałować.

Skinęła głową.

Jak się okazało, partnerem Ev był jej kuzyn, Steve Bailey, a jej pełen podziwu wzrok znamionował rozbawienie, a nie zachwyty.

– Stevie jest strasznie śmieszny! – powiedziała, przedstawiając nas sobie, gdy poszliśmy na poncz.

Prawdę powiedziawszy, nigdy nie wydawał mi się specjalnie zabawny i nawet gdy był już mężczyzną w średnim wieku, zawsze czułem się outsiderem, gdy oboje ze sobą żartowali.

To nasz pech, że nasze młode lata przypadły na czas najgorszego kryzysu gospodarczego. Pokolenie przed nami było uprzywilejowane – żyło łatwo i przyjemnie, nie wiedząc, że znalazło się na równi pochyłej. My byliśmy dużo skromniejsi, musieliśmy nauczyć się oszczędności i odmawiać sobie wielu drobnostek. W szkole bardzo się staraliśmy, żeby uzyskać stypendia. Wielu nas musiało pracować, by zarobić na studia. Kiedy zapytałem Evangeline, czy mogę do niej zatelefonować, w myślach liczyłem, ile pieniędzy pójdzie na to z ubogiej pensyjki praktykanta w miejscowej firmie architektonicznej. Rozmowa międzymiastowa... Po pierwszym telefonie wydałem tyle, że musiałem oszczędzać na jeździe pociągami, brałem bilet tylko do Northampton i stamtąd pieszo szedłem do pracy, przemierzając całe Cambridge.

Wielobarwne liście zamieniły się w ciemny brąz, pierwsze listopadowe dni zapowiadały zbliżające się przymrozki. Jadąc na zachód, zauważyłem, że opadło już prawie całe listowie, nawet z opornych dębów, odsłaniając siwoszare konary.

Pociąg jechał w kierunku Springfield. Tam przesiadałem się na osobowy do Northampton. Patrzyłem, jak na każdej stacji kobiety przytrzy-

mywały kapelusze, broniąc się przed podstępny wiatrem, a mężczyźni zapinali guziki lekkich okryć.

Mój płaszcz był nieco przykrótki. Od rozpoczęcia studiów urosłem parę centymetrów, a poza tym dojrzałość objawiła się również większą masą ciała.

Powinienem bardziej ograniczać się z jedzeniem, ale przynajmniej płaszcz był czysty i cały. Okręciłem szyję fioletowobiałym szalikiem, ale się nie zapiałem, pragnąc wyglądać jak pełen swobody student, a nie jak wyrośnięty chłopak. Rękawiczki zostawiłem na stacji, więc włożyłem ręce do kieszeni i spieszyłem się, żeby zdążyć na nasze spotkanie pod zegarem.

Stała tam, ubrana w płaszcz z zielonego lodenu, który sprawiał, że wyglądała jak dziecko, drobna dziewczynka. Jej oczy połyskiwały znad puszystego szala zasłaniającego dolną połowę twarzy. Nie miała kape-lusza, a złotokasztanowe włosy uroczym powiewały na wietrze. Ujrzała mnie w tłumie i pomachała na mój widok.

– Nie byłem pewna, czy rozpoznasz mnie w tym stroju. Chciałam włożyć suknię balową.

– Nie mógłbym cię przeoczyć.

Od czasu pierwszego spotkania korespondowaliśmy ze sobą. Evangeline cytowała w listach fragmenty poezji, które akurat pisała. Dzieliła się ze mną swymi ulubionymi strofami. Narzekałem, że nigdy nie przysłała mi całego wiersza, ale ona w następnym liście odpowiedziała, że nie skończyła jeszcze żadnego, który wart byłby przeczytania.

Uścisnęliśmy sobie ręce na peronie, ale po chwili nieśmiało pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a po minucie niezręcznej ciszy wskazała na napis „Wyjście”.

– Chodźmy gdzieś.

Zdołałem oszczędzić tyle, by móc zaprosić ją na lunch. Byłem jednak wdzięczny losowi, że odmówiła deseru, a ja piłem tylko wodę. Wydawało się, że podczas tej pierwszej randki każdą chwilę wypełniliśmy rozmową. Opowiedziałem jej o swojej rodzinie; wspominając o powszechnym doświadczeniu lat kryzysu, skupiłem się na matce, ojcu, dwóch siostrach. Nakreśliłem sylwetki moich przyjaciół jeszcze ze szkoły – takich, o których można opowiadać barwne anegdoty.

Na koniec nawet opowiedziałem jej o moim biednym bracie Charlesie. W jej oczach, jak mi się zdawało, ujrzałem prawdziwe zainteresowanie

jego osobą. Zręcznymi pytaniami skłoniła mnie, żebym powiedział o nim więcej, choć rzadko go wspominałem. Dziwnym trafem zapytała:

– Masz tylko siostry?

– Miałem brata, Charlesa. – Natychmiast rozpoznała w moim głosie jakąś czułą nutę. Zawsze było mi trudno wymawiać jego imię i zapewne to kazało jej sądzić, że to dla mnie ważna sprawa. Zazwyczaj, gdy mnie o niego pytano, mamrotałem coś pod nosem i zmieniałem temat rozmowy. Tym razem opowiedziałem Evangeline Bailey, jak straciłem Charlesa wskutek epidemii hiszpanki w 1918 roku.

– Miał wtedy dziesięć lat, ja cztery. Grypa pochłonęła już tak wiele ofiar, zarówno starych, jak i młodych, że powszechnie sądzono, iż nareszcie mija, jak wszystkie epidemie. Charles był idealnie zdrowym i silnym chłopcem, a ta straszliwa choroba przyszła nagle, bezlitosna jak kat. Najpierw pojawiły się niebudzące trwogi symptomy – katar, zbyt nia pobudliwość... Pamiętam, że potknął się o moje żołnierzyki i zaczął na mnie wrzeszczeć. Ponieważ byłem wtedy małym dzieckiem, rozplakałem się. Natychmiast zrobiło mu się wstyd i przykucnął przy mnie, żeby ustawić ołowiane wojsko. Ale kiedy go zapytałem, czy zechce się ze mną pobawić w wojnę, potrząsnął głową. „Nie, zagramy jutro”. To były jego ostatnie słowa do mnie.

Ręce moje i Evangeline złączyły się na blacie. Patrząc na nie, nie widziałem ich, lecz rączki mego starszego braciszka stawiające żołnierzy na podłodze. Kiedy uniosłem wzrok, ujrzałem w oczach Evangeline tyle współczucia, że postanowiłem dokończyć opowieść.

– Byłem przeszkodą, gdy Charles chorował, więc wysłano mnie do ciotki. Nikt mi nic nie powiedział. Myślę, że moi krewni uważali, iż jestem za mały, by zrozumieć. Kiedy ciotka Juliana wróciła do domu i powiedziała mi, że Charles zasnął z aniołkami, od razu zrozumiałem, co się stało.

Dzięki czułemu spojrzeniu i ściśnięciu ręki zakochałem się w Evangeline Bailey.

Choć protestowałem, odprowadziła mnie na stację, gdy tymczasem ja pragnąłem, aby bezpiecznie znalazła się w akademiku. Evangeline zbagatelizowała moje obawy – Czas od przybycia na stację do odjazdu pociągu zawsze sprawia trudność. Jeśli się nie potrafi twardo rzec „do widzenia” i zostawić odprowadzanej osoby, rozmowa się nie klei. Zostaje

zbyt mało czasu, żeby poruszyć coś ważnego, więc jesteśmy zmuszeni do wypowiedziania ogólnikowych frazesów przerywanych ciszą...

Staliśmy na peronie pod napisem „Odjazdu/Przyjazdu”, trzymając się za ręce, połączeni milczącą więzią, zwlekając z rozstaniem, póki konduktor nie kazał mi wsiąść do wagonu. Znów się pochyliłem/ żeby ją pocałować, ale tym razem Evengeline podsunęła mi usta. Otuliłem ją mocniej szalem.

– Trzymaj się ciepło!

Wyrwała frędzle i uśmiechnęła się.

– To ty się trzymaj ciepło, Johnie Worth. Ucieszyłem się na widok innej dziewczyny, która także odprowadzała swojego chłopca. Pomachał jej na pożegnanie. Obie nie czekały na peronie, aż pociąg ruszy. Patrzyłem, jak szły ramię w ramię w stronę wyjścia.

Przez chwilę myślałem, że może obie się z nas naśmiewają.

Następnym razem miałem możliwość zobaczyć ją zaraz po przerwie semestralnej.

Początek 1935 roku wydawał się zapowiadać zmianę na lepsze dla pozabawionego nadziei świata. Chociaż napięcia w Europie niepokoiły nas, niewiele na nie zważałem, jeśli nie liczyć nocnych dyskusji filozoficznych z kolegami. Wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakby to nas nie dotyczyło, bo rzeczywiście tak wtedy czuliśmy. Nikt z nas nie był farmerem na skraju nędzy, nikt jeszcze nie był żołnierzem. Bardziej zważałem na rządowy projekt rozwoju budownictwa subsydiowanego przez skarb państwa, zastanawiając się, czy moje niesprawdzone zdolności by tam pasowały. Bo jeśli nie, marzenia trzeba by odłożyć na lepsze czasy i dołączyć do rzeszy absolwentów szukających pracy w latach bezrobocia.

Niemniej Roosevelt był naszym bohaterem na wiecach Partii Demokratycznej, a socjalizm nas intrygował. Wprawialiśmy rodziców w zdumienie.

W Northampton Evengeline ciężko pracowała nad ostatecznym kształtem nowego wiersza. Pisywaliśmy do siebie prawie codziennie i, przynajmniej na papierze, nasze uczucie kwitło. Wybrałem się do niej pod koniec lutego. Oszczędziłem tyle, by pozwolić sobie na zatrzymanie się w tanim domu noclegowym, na którego widok moi rodzice byliby zgorzsnieni. Ale w ten sposób miałem cały weekend, by móc sprawdzić, czy nasza korespondencja da się przełożyć na czułą rozmowę i coś więcej.

Było zimno, ale sucho, dzień bezwietrzny, więc spacerowaliśmy godzinami, pod rękę. Powietrze wisiało nieruchomo, tak że czułem zapach jej włosów splecionych w warkocz. Nosiła berecik i żartowałem, że wygląda w nim jak francuska dziewczynka.

– Bzdura. Nigdy nie byłem we Francji. Po prostu lubię takie nakrycie głowy. – Pobiegnę kilka kroków naprzód, ściągnęła берет, położyła go sobie na palcu wskazującym i wprawiła w ruch. A potem nałożyła z powrotem, trochę na bakier.

Przez cały dzień każda jej nowa mina wprawiała mnie w oczarowanie i musiałem ze sobą walczyć, by jej nie objąć. Wreszcie wysunęła rękę spod mego ramienia i ujęła moją dłoń gestem jakiejś nowej wspólnoty.

– Pokaż mi swój pokój.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Salonik w moim internacie jest do ogólnego użytku, a mnie jest zimno!

Chciała być tylko ze mną. Mimo oporów i z bijącym mocno sercem zaprowadziłem ją do pensjonatu.

Czułem się jak złodziej, skradając się z nią przez wilgotny hol. Ostrzeżono mnie, że nie wolno wprowadzać obcych do pokoju, ale dochodziło południe, a w domu nie było nikogo. Wskazałem jej bawialnię, gdzie stały ciężkie pseudowiktoriańskie fotele i stoły z nogami w kształcie lwich łap.

– Nie. – Pokręciła głową. Już nie dotykała mojej ręki, gdy szliśmy na palcach po schodach.

– Ten zapach przypomina mi Hawke's Cove. – Wciągnęła powietrze w nozdrza, rozpinając swój obszerny zielony płaszcz.

Rozejrzałem się po pokoju, dopiero teraz zauważywszy pociągnięte białą farbą wykładziny ścienne, prymitywną szafę, pojedyncze łóżko.

– A czym to pachnie?

– Starym wilgotnym drewnem. Pleśnią. Zamknąłem dokładnie drzwi, aż usłyszałem trzask zamka, a następnie wysunąłem na środek pokoju krzesło z drewnianym oparciem.

Zaproponowałem, by je zajęła, ale Evangeline wołała łóżko. Sam więc na nim usiadłem, zachodząc w głowę, jaki mógłby być bezpieczny temat konwersacji. I jakoś po kilku minutach znalazłem się obok niej na łóżku. Byliśmy młodzi. Pełni życia. Pochyliliśmy się ku sobie i zaczęliśmy się całować. Tak nas to wciągnęło, że cały świat istniał tylko w na-

szych ustach i w tej mojej części, którą musiałem trzymać na wodzy, żeby nie zburzyć cudownego przeżycia. Powiedziałem sobie, że ona pewnie nie wie, co takie całowanie robi ze mną. Wreszcie z największym trudem oderwałem się od niej.

– Powinniśmy wyjść, zanim gospodyni wróci. Zdawałem sobie sprawę, że mój głos był gardłowy, pełen napięcia, ale ku swojemu zdumieniu usłyszałem, że i w jej głosie pojawił się ten sam ton pożądania.

– Tak, powinniśmy już pójść.

Brakowało ułamka chwili, by zapomnieć o skrupułach, oddać się wzajemnej pasji, która z każdą minutą stawiała się coraz bardziej wzniosła. Byliśmy wspaniałą parą studentów znających wszystkie racjonalne argumenty na rzecz podporządkowania się zmysłom, a przeciwko społecznym zakazom zabraniającym działać zgodnie z naturą.

Dziś młodzież nie dyskutuje nad takimi sprawami. Ale my się wtedy nie poddaliśmy.

Nie nalegałem, bo właśnie sobie uświadomiłem, że pragnę, by została moją żoną.

Ona mnie chciała za męża. Zostanie kochankami jakoś by pomniejszowało wysublimowaną, czystą miłość, jaką żywiłem do Evangeline.

Zeszliśmy na palcach schodami, zachowując taką samą dyskrecję, jak przy wejściu.

Do uczucia lęku dodaliśmy przyjemność tylko lekko podszytą poczuciem winy.

Przecież nie zrobiliśmy niczego nieodwracalnego.

Gdy raz postanowiłem, że ożenię się z Evangeline, tylko to miałem w głowie, choć oczywiście nadal się uczyłem. Wszystko krążyło wokół niej. Pragnąłem ją widywać, być z nią, oświadczyć się o jej rękę. Byłem człowiekiem ambitnym. Przyszłość rysowała się przede mną w różnych barwach. Miałem zostać architektem, do czasu uzyskania samodzielnego stanowiska mogłem nas utrzymać z pensji asystenta.

Zakładając oczywiście, że znajdę zatrudnienie. Po dyplomie zamierzałem wykorzystać rodzinne koneksje, co niemal na sto procent gwarantowało mi uzyskanie etatu w którejś z jeszcze istniejących firm architektonicznych w Providence lub w Bostonie. Żylibyśmy skromnie, póki nie zacząłbym awansować, a Evangeline pisałaby wiersze. Po pięciu latach dorobiliśmy się własnego domu, dzieci, życia na poziomie. Och,

wszystko to sobie naszkicowałem. To przywara mojego zawodu – rysowanie planów.

Wiedziałem, że Evangeline żywi do mnie uczucie. Była wobec mnie zmysłowa, nawet porywająca. Nigdy nie wspominała o innych chłopcach i na moje wyznanie miłości zawsze odpowiadała swoimi. Spoglądała na mnie tymi zielonymi oczami i uśmiechała się cudownie, ilekroć przyjeżdżałem z Bostonu.

Wślizgiwaliśmy się do pokoiku w pensjonacie za każdym razem, gdy tylko zebrałem nieco grosza na podróż. Nigdy nie posunęliśmy się dalej niż do wspólnych pieszczot na łóżku. Leżeliśmy nieruchomo, nie dopuszczając, by skrzypiące sprężyny zwróciły czyjąś uwagę. Spędzaliśmy godziny na pocałunkach i rozmowach szeptem. Któregoś razu Ev niechcący położyła rękę na moim penisie. Czując jego twardość, nie odskoczyła jak oparzona, lecz powoli odsunęła dłoń, jakby nie chcąc drażnić zwierza.

Była inna od znanych mi dziewcząt. Miała poczucie absurdu i zarazem wiele sympatii do ludzi, co wiązałem z jej poetycką duszą. Jeśli niekiedy wydawała mi się nieco zbyt przesiąknięta atmosferą cyganerii artystycznej, to tym mocniej jej pragnąłem.

Przez całą drogę do Northampton trzymałem rękę na piersi, bo do wewnętrznej kieszeni włożyłem list. Odczuwałem go jak żywą istotę, oczekującą pieszczot, by słowa pozostały na papierze. Musiałem wyglądać jak ktoś, kto składa przysięgę wierności Stanom Zjednoczonym, ale mniej mnie obchodziła moja poza niż reakcja Evangeline na wieści, które jej wiozłem.

Była połowa maja, zbliżał się koniec sesji letniej. W najbliższą niedzielę obydwójce odbieraliśmy dyplomy. Byłem architektem.

Podróż do niej była niespodziewana. Planowaliśmy, że zobaczymy się w Bostonie w tygodniu po naszych ceremoniach na uczelniach. Do wczoraj sądziliśmy, że po dyplomie udam się do Providence. A teraz nie musiałem tego robić, cały świat zdał mi się otwartą księgą ze znanym zakończeniem. Zatelefonowałem do Evangeline i poprosiłem, żeby wyszła po mnie na dworzec. I żeby włożyła najpiękniejszą suknię.

Ujrzałem ją z okna, gdy pociąg wjeżdżał na stację. Tak jak podczas naszego pierwszego spotkania, była ubrana na zielono. Seledynowa sukienka ściągnięta w talii paskiem podkreślała figurę. Barwa stroju kontrastowała z kasztanoworudymi włosami i pomyślałem, że wygląda jak

postać z Moneta. Dostrzegła mnie przez przybrudzoną szybę i poma-
chała na powitanie.

– Tak mnie zaskoczył twój telefon. Wszystko w porządku? – Długo
trzymałem ją w ramionach, przyciskając do piersi, do listu. Wreszcie
odsunęła się i powtórzyła:

– Wszystko w porządku?

– Nie może być lepiej. – Walczyłem ze sobą, żeby natychmiast nie po-
chwalić się nowinami. – Zabieram cię na obiad. Nie do żadnej jadłodaj-
ni, lecz do prawdziwej restauracji.

Czekałem, aż postawią przed nami pucharki z truskawkami i bitą śmie-
taną. Zanim dotknęła łyżeczką swej porcji, ująłem jej rękę i odłożyłem
łyżeczkę na bok.

– Daj mi obie dłonie. – Ścisnąłem je w swoich rękach i pochyliłem się
nad stołem. – Otrzymałem stanowisko w firmie Darling i Geer.

Uśmiechnęła się, ale spostrzegłem, że nie zrozumiała, co to oznacza dla
niej.

– To jest dopiero staż, ale obiecano mi, że szybko awansuję. – Wypo-
wiadałem słowa dużo szybciej, niż je sobie przećwiczyłem na głos. Wy-
ciągnąłem więc zza pazuchy oficjalny list i dałem jej do przeczytania.
Chciałem, by ujrzała go na własne oczy i przekonała się, że to zajęcie
dla mężczyzny. Nie dla chłopca.

Firma Darling i Geer mieściła się w Bostonie. Już nie musiałem wracać
do Providence.

Ponownie się uśmiechnęła i oddała mi list.

– Jakże to dobrze dla ciebie! Jest właśnie tak, jak sobie tego życzyłeś.

Świetnie ci się złożyło.

– Nam się złożyło.

Ciągle trzymałem jej lewą rękę.

– Evangeline, wyjdź za mnie.

Istnieje wiele nieudanych chwil w naszym życiu. Chwil, które chcieli-
byśmy odmienić, by przekonać samych siebie, że jesteśmy nieomylni.
Przypominając je sobie, upiększamy je. Ale pamięć tego zdarzenia nie
wymaga żadnej korekty. Było ono cudowne, idealnie piękne. Evangeli-
ne odłożyła łyżeczkę i podała mi obie ręce.

I zgodziła się.

– Dobrze. – Wpatrywała się w nasze złączone dłonie. – John, jesteś
tego pewien?

– Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. – Słowa płynęły mi z usta jak amantowi z taniego romansu. Ale nigdy bym ich nie zmienił. Były to wtedy, jak i dziś, najprawdziwsze słowa, jakie wypowiedziałem.

Po raz pierwszy Hawke's Cove stanęło między nami niemal natychmiast po moich oświadczeniach. Odnosiłem wrażenie, że Ev planowała tam wakacje w towarzystwie swojej ulubionej babki i kuzynostwa. Zawsze jeździła latem na farmę. Włożyłem sporo wysiłku, aby przekonać ją, że musimy przygotować się do ślubu i poszukać mieszkania. Nie chciałem zwlekać aż do jesieni. Pragnąłem rozwoju sytuacji.

Marzyłem, by już od razu zostać młodożencem.

– John, już parę tygodni temu wspominałam ci, że zawsze spędzam lato w Hawke's Cove.

– No tak, ale teraz zamierzam zostać w Bostonie. Zaczynam nową pracę. Pragnę mieć cię przy sobie. – Zagrałem kartą zrozpaczonego kochanka: – Będę za bardzo za tobą tęsknił, by móc się skupić na nowych obowiązkach. A ty nie chcesz być ze mną?

– Oczywiście, że chcę. Może byś przyjeżdżał na weekendy?

– Nie będzie mnie na to stać. Jeszcze nie. – W wyobraźni widziałem Hawke's Cove jako luksusowe uzdrowisko dla ludzi o ustalonej marce, a nie dla takich chudopachołków jak ja.

Na koniec zawarliśmy kompromis. Ev pojechała tam na dwa tygodnie w lipcu. Ja w ogóle nie zajrzałem do niej w tym czasie.

Pobraliśmy się w styczniu 1936 roku. Był to cudowny zimowy ślub, wtedy po raz pierwszy spotkałem jej babkę. Florence Bailey w owym czasie była jeszcze ciągle energiczna i prosta jak struna. Wyciągnęła do mnie rękę i po chwili mocno mnie uściśnieła.

– Młody człowieku, odnoś się dobrze do mojej wnuczki. Ona na to zasługuje.

Zapewniłem ją, że jest to moim celem. Florence puściła mnie i poklepała po policzku dłonią w rękawiczce.

– Dobrze. Już ja zadbam, żebyś wypełnił swoje zobowiązanie.

Następnego lata Evangeline spędziła tydzień w Hawke's Cove, ale już nie pojechała tam ponownie. Jej babka dostała udaru tuż przed Wielką nocą 1937 roku.

Krewni przenieśli ją do Bostonu, co dla nich było wygodniejsze, ale dla niej trudne do zaakceptowania. W 1939 roku zmarła.

Kiedy się okazało, że zapisała farmę mojej żonie, byłem zaskoczony, ale i trochę podekscytowany. Niespodziewałem się tego. Kiedy wreszcie ujrzałem to miejsce, zrozumiałem, dlaczego kuzyni Evangeline nie protestowali. Kto o zdrowych zmysłach brałby sobie na kark tę pozabawioną uroku rudere? Ten stary wiejski dom?

Czasami odnoszę wrażenie, że zbliżająca się wojna położyła się cieniem na wypełnianiu życiowego planu, który tak sobie wypieściłem w myślach. Czarne i białe, teza i antyteza. Wojna i Sukces. Dostałem pierwszy poważny awans, Hitler zajął Czechosłowację. Evangeline ogłosiła drukiem swój pierwszy wiersz, nazistowska machina wojenna parła nieubłaganie naprzód. Nastąpiło zajęcie Paryża, mnie powierzono ważny projekt. Zacząłem całkiem dobrze zarabiać. Evangeline cieszyła się życiem, kończąc studia magisterskie w college'u Wellesley i zarazem pracując jako asystentka w katedrze poetyki. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, ja zgłosiłem się do wojska.

Mimo horroru w skali światowej przeżyliśmy z Ev pięć szczęśliwych lat. Czuliśmy się zarazem egoistami i ludźmi, których los wynagrodził. Dwa lub trzy razy w tych latach ustąpiłem i pojechałem z nią do Hawke's Cove. Naprawdę starałem się polubić to miejsce. Nie pływam i nie znoszę siedzenia na rozgrzanej plaży. O życiu towarzyskim nie ma tam mowy. Nikt z dawnych przyjaciół Evangeline już tam nie spędzał wakacji, wszyscy wydorosleli i zajmowali się swoimi sprawami. Ale najbardziej nie znosiłem domu. Evangeline była natomiast bardzo uparta, jeśli chodziło o farmę. Po prostu wściekle zabraniała mi cokolwiek tam usprawnić. Może gdyby pozwoliła... No cóż, tak się nie stało, więc nie ma po co wracać do tematu.

Wkrótce zresztą całą naszą uwagę zajęła wojna.

Wskutek jakichś dziwnych meandrów planowania wojskowego pierwsze dwa lata wojny spędziłem w domu. No, niezupełnie w domu, ale na tyle blisko/że mogłem wracać na weekendy, a nawet wpadać na kolację raz lub dwa razy w tygodniu. Wraz z wyjazdem tylu młodych mężczyzn przed Evangeline otworzyły się nowe perspektywy.

Otrzymała stanowisko wykładowcy jeszcze przed uzyskaniem profesury. Zatrudnił ją Uniwersytet Northeastern na wydziale romanistyki, ze specjalnością poezji. Nie jest to moja domena, ale poradzę sobie – orzekła Evangeline, którą często drażniły aluzje do jej imienia w związku z bohaterką wierszy Longfellowa.

Doskonale się spisywała i nieustannie opowiadała o swoich zajęciach ze studentami. Narzekała na administrację uczelni i rozpaczała, gdy któryś z jej studentów „zaskoczył”, jak mawiała, to znaczy został wciągnięty w maszynę wojenną. Ponieważ ja nie mogłem opowiadać o swoich zajęciach w wojsku, często przysłuchiwałem się jej plotkom i opowieściom. Na Boże Narodzenie kupiłem jej nową teczkę.

W czerwcu 1943 roku niespodziewanie udzielono mi urlopu. Mówię „niespodziewanie”, bo choć wystąpiłem z prośbą na piśmie, urlopów prawie nie dawano, więc przyznane mi wolne dni były wyjątkiem od reguły. Zatelefonowałem do Evangeline, ale nie zastałem jej w domu. Rok akademicki już się zakończył, zatem doszedłem do wniosku, że pojechała na uczelnię, by zrobić porządek w swoim gabinecie. Musiała zwinąć plansze i umieścić je w kartonowych cylindrach, znaleźć pudło, żeby przenieść rośliny doniczkowe, a potem pewnie zadumała się nad swoim biurkiem, widząc w wyobraźni młode twarze studentów pierwszego roku.

Miałem inne plany w związku z nią. Od paru miesięcy rozmyślałem o powiększeniu rodziny. Kilkakrotnie poruszaliśmy już ten temat. Gdy wspomniałem o tym po raz pierwszy, Evangeline odparła, że nie jest jeszcze gotowa – właśnie kończyła pracę magisterską. Za drugim nie robiła wrażenia zainteresowanej macierzyństwem.

„Jeszcze nie teraz, John. Nie teraz”. Ta rozmowa odbyła się półtora roku temu;

pomyślałem, że teraz nastał odpowiedni czas, aby moja żona odniosła się do macierzyństwa z entuzjazmem.

A zresztą stało się to za sprawą Billa Carmichaela, który pokazał nam fotki swojego najmłodszego dziecka o okrągłej buzi i niewiadomej płci, gorąco oczekiwanego przez rodziców. Wpatrywałem się w te zdjęcia o minutę dłużej, niż nakazywałoby dobre wychowanie, i Bill natychmiast to odkrył.

– No, Worth, kiedy ty i twoja piękna żona zajmiecie się tym?

– Po wojnie.

– Worth, nie zwlekaj tak długo. Będiesz albo za stary, albo martwy.

Dostrzegłem, że linia jego ust nie wygięła się w uśmiechu, a więc nie żartował.

To, że zostaną wysłany za morze, było nieuniknione. Możliwe, a nawet całkiem prawdopodobne, że polegnę. Evangeline mogłaby zostać wdo-

wą. Albo owdowiała matką. Kiedy zapytywałem siebie, co byłoby lepsze, dochodziłem do wniosku, że wolę wariant matki. Przynajmniej zostawiłbym jej jakąś część siebie. A poza tym, która kobieta nie chce zaznać macierzyństwa?

I w końcu zaskoczyłem Evangeline, pojawiając się w domu. A ona z kolei zdumiała mnie, bo zastałem ją, gdy pakowała się do Hawke's Cove.

– Kochanie, mówiłam ci już dwa miesiące temu, że wybieram się na farmę, żeby spotkać się tam z Frań. Planowałyśmy wspólny pobyt od roku.

– Oczywiście. Nie powinienem był zwracać ci głowy moją przepustką.

– Och, John. Nie bądź dzieckiem. Jasne, że pojedziemy razem. – Evangeline wysunęła szufladę z moimi rzeczami i zaczęła z niej wyciągać moje cywilne ubrania – drelichowe spodnie, które nosiłem po domu, kilka flanelowych koszul, kąpielówki, które rzadko zaznawały kąpieli.

– John, będzie wspaniale. Przecież pamiętasz Frań. Bardzo ci się spodobała, kiedy poznałeś ją na naszym weselu. Spędzi na Wschodnim Wybrzeżu tylko tydzień, a potem wraca do Kalifornii. Biedaczka, żyje tam w ciągłym w strachu przed bombardowaniem. Potrzebuje Hawke's Cove, żeby się trochę zrelaksować.

Opanowałem zły humor i uśmiechnąłem się do niej. Byłoby niewłaściwe psuć nastrój naszego spotkania, sprzecząc się o miejsce pobytu.

A poza tym, okazując jej względy moją ustepliwością, powiększałem szanse na spełnienie przez nią mego pragnienia.

Farma nie spodobała mi się ani ciut bardziej niż za poprzednimi wizytami. Wiosna obfitowała w deszcze i wszechwładnie panowała wilgoć. Wahałem się, czy zaparkować plymoutha pod dziurawym okapem, ale moja żona uznała, że nic mu nie będzie. Frances miała się zjawić następnego dnia. Evangeline postanowiła sama pojechać po nią na małą stację do Great Harbor, znajdującą się tuż obok stoczni marynarki wojennej. Nie bardzo mi odpowiadało, że wejdzie w tłum marynarzy, ale pod tym względem była nieustepliwa – chciała spędzić z Frań parę chwil na osobności.

– Ale, na razie, mam cię tylko dla siebie! – Pociągnąłem ją na łóżko i przewróciłem. Mocowaliśmy się ze sobą, aż na koniec wybuchnęliśmy śmiechem. – Weźmy się do robienia dziecka – rzekłem, zanim mogłem się opanować. Chciałem poruszyć ten temat w czasie długiej jazdy do

Hawke's Cove, ale jakoś zabrakło mi odwagi. A zresztą uważałem, że to sprawa kobiety. W moim pojęciu to żona powinna zakomunikować mężowi: „Chcę mieć dziecko”.

– Co? – Evangeline usiadła, odrzucając swoje niemodne długie włosy. – Dziecko?

Dlaczego właśnie teraz?

– Bo nadszedł czas. To znaczy, nie sądzisz, że już czas? A przynajmniej powinniśmy o tym pomyśleć?

– Nie. – Zauważyłem, że natychmiast pożałowała ostrego tonu, bo spuściła oczy i ścisnęła mnie za rękę.

– Ev, od naszego ślubu minęło siedem lat. Nie stajemy się młodszy. Nie chcę być za stary na grę w baseball ze swoim synem. – Zacząłem wliczać powody, dla których powinniśmy mieć dziecko. Wymieniając punkty tej listy, dostrzegłem wahanie w jej wzroku. Dobrze ją znałem, wiedziałem, że w tym momencie zastanawia się, w jakim stopniu ta decyzja – najbardziej naturalna w świecie – zmusi ją do zmiany jej własnych planów.

Wstała z łóżka i zaczęła chodzić po żółtoróżowym pokoiku. Wreszcie podeszła do babcinej toaletki.

– Jak wiesz, zastanawiałam się już nad tym. Ale, John, rozważałam macierzyństwo w kategoriach odległej przyszłości. To znaczy, moja matka i twoja wywierały na mnie presję w tej sprawie, oczywiście subtelными sposobami. Ale ty? Dlaczego teraz? – Miała na myśli wojnę, w czasie której wszystko mogło się zdarzyć.

Odpowiedziałem jej:

– Jeśli cokolwiek złego stanie się ze mną, chciałbym, aby zostało coś jeszcze z naszego małżeństwa, z naszego szczęścia, prócz paru fotografii i wspomnień. – Wziąłem szczotkę i zacząłem czesać jej włosy. Lubiła tę pieszczotę. – Czy to tak źle, że pragnę zostawić cię z moim dzieckiem?

Nie odpowiedziała, lecz wydała z siebie cichy dźwięk, który można było wziąć za zgodę. Albo oznakę przegranej. Uniosłem ją z krzeselka i zaniósłem na łóżko.

Jak na to liczyłem, ciężarna Evengeline zmieniła swój stosunek do macierzyństwa.

Pod tym względem Hawke's Cove okazało się dla nas szczęśliwym miejscem.

– To z powodu czystego morskiego powietrza – mówiła, gdy to podkreślałem.

Była szczęśliwa. Sprawilo jej radość, że zarząd uczelni pozwolił jej uczyć aż do czasu, gdy sama zdecyduje, że odchodzi na urlop. Ja nie byłem tym zachwycony i parę razy posprzecaliśmy się o jej obowiązki dydaktyczne.

– Dlaczego nie masz ochoty odpocząć i posiedzieć w domu? Przecież możesz pisać wiersze, przygotowywać się do narodzin dziecka.

– Kochanie, nie potrafię siedzieć bez ruchu przez dziewięć miesięcy. A poza tym, jak teraz przestanę pracować, to kto wie, kiedy będę mogła wrócić na uczelnię.

To tylko tymczasowe stanowisko, nie będzie na mnie czekało. Uczenie to nie harówka w fabryce. Na pewno nie będę się zamęczać.

– To niewłaściwe.

– John, przestań być taki staroświecki.

– Nie jestem staroświecki.

– Przestanę uczyć, jeśli zauważę, że będę krępowała studentów swoim wyglądem.

– Evangeline... – Zabrakło mi argumentów, by ją przekonać, że powinna zrezygnować z zajęć na uniwersytecie.

Nigdy nie kochałem jej bardziej niż wtedy, gdy była ciężarna. Żony innych mężczyzn wyglądały jak wieloryby, a ona była pełna gracji i rozkwitu. Uczyła dużo dłużej, niżbym sobie życzył, ale prowadziła tylko dwie grupy. Była okazem zdrowia, otaczała ją rodzina i przyjaciele, którzy strzegli, żeby się nie przemęczała i odpowiednio odżywiła. Zagałędałem do domu najczęściej, jak mogłem, zadziwiony zmianami, które w niej zachodziły z tygodnia na tydzień.

Nasze dziecko miało przyjść na świat na początku marca. Straciliśmy je w grudniu.

Evangeline obwiniła o to siebie, ale ja oczywiście tego nie robiłem. Nie jestem jednak pewien, czy przekonałem ją, że nie mam do niej żalu o to, co się stało.

To wszystko jest dla mnie niejasnym wspomnieniem. Lekarz wyszedł do poczekalni.

Ja jeszcze nie straciłem krwi na wojnie, ale moja żona tego doświadczyła. Podano jej takie ilości środków uspokajających, że chyba nie dotarło do niej, gdy jej powiedziałem, że otrzymałem rozkaz wyjazdu za ocean.

Leżała wsparta na białej poduszce blada jak płótno, a jej turkusowe oczy błyszczały w gorączce.

– Evangeline, dostałem rozkaz. Muszę wyjechać, zanim cię stąd wypiszą. Tak bardzo chciałbym być z tobą w domu, ale to wykluczone. Miałem szczęście, że mogłem być przy tobie, kiedy... – Nie mogłem skończyć tego zdania. Ona tymczasem wpatrywała się we mnie niewidzącymi oczami, a ja modliłem się w duchu, by dane mi było wrócić do niej szybko. Nie do pomyslenia, aby została sama po tym wszystkim. Pochyliłem się, żeby ucałować ją w czoło, ale nie jestem pewien, czy zdawała sobie sprawę z mojej obecności.

Wiem, że ją zgniewałem, gdy zakwestionowałem sensowność postawienia kamienia nagrobnego z wyrytym imieniem dziecka. Pewnie myślała, że jestem bezwzględny, ale mnie nie o to chodziło.

Sądziłem, że to niewłaściwe. Fakt, że nasza dysputa na ten temat odbywała się w formie cenzurowanych listów, jeszcze bardziej pogorszył sprawę. Nasze listy w owych tygodniach po śmierci dziecka były pełne napięcia, suche, jakbyśmy przedtem nigdy ze sobą nie korespondowali. Myślę, że to zrozumiałe: nie dano nam czasu na wspólną żałobę. Jak rozpaczać nad stratą na papierze? Uważałem, że najlepiej będzie, jak się szybko po tym pozbieramy. Nie można było w każdym liście wracać do tego dramatu. To trochę tak, jak podczas biegów: tak wiele wkładasz energii w jak najszybsze pokonanie dystansu, że ni możesz się zatrzymać na mecie. Ja biegłem dalej. Podobni było wtedy, kiedy umarł Charles. Nie chciałem, żeby mni zatrzymano. Pragnąłem, aby Evangeline postępowała podobnie.

Nie spodziewałem się, że ucieknie do Hawke's Cove. Liczyłem, że raczej zostanie ze swoimi rodzicami. Chociaż nienawidziłem myśli, że mieszka sama w takim odludnym miejscu, powstrzymałem się od wszelkich uwag. Liczyłem, że z czasem jej to przejdzie i kiedy wróczę do domu – jeśli kiedykolwiek wróczę – ona z radością zaakceptuje nasze wspólne życie w Bostonie.

Minęło bardzo wiele dni, zanim pozwoliłem sobie na marzenia, że tak się stanie.

Byłem jednym z ocalańców pechowej akcji spadochronowej. Przydzielony do batalionu przebijającego się przez Francję, zostałem wysłany z dziesięcioma innymi żołnierzami na rekonesans wioski w odległości paru mil na wschód od ośrodka dowodzenia. Miałem stopień porucznika.

ka, byłem jednym z oficerów odpowiedzialnych za przeprowadzenie misji. Powinniśmy wykonać rozkaz bez większych kłopotów – dotrzeć do wioski, okrążyć Niemców, którzy się tam okopali, i wrócić po sześciu godzinach.

O tym, co się stało, nie wspominałem od prawie pół wieku. Ale pamięć nie zawodzi.

Zasadzka, moi ludzie zostają na moich oczach rozerwani na strzępy. Jęki bólu poranionych serią karabinową. Nie krzyczeli. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Mnie ocalił instynkt lub szczęście. Znalazłem osłonę, by móc odpowiedzieć ogniem. Po raz pierwszy skierowałem broń na inną istotę ludzką. Ale w tamtym momencie Niemcy nie byli dla mnie istotami. Byli wrogami.

Strzelałem bez końca. Nie potrafiłem dojrzeć niczego naokoło siebie, tylko wąski skrawek przed sobą. Widziałem jedynie czubki ich hełmów, ledwie zauważalne w zaroślach. Nie dostrzegłem ich wtedy, gdy szliśmy polami w kierunku wioski, niczym turyści, a nie żołnierze. Z naszej dziesiątki ocalało tylko dwóch – ja i chłopak, który przemykał za mną pod osłoną kamieni i zarośli. Strzelał ze swojej broni ponad moim ramieniem, tak blisko ucha, że do dziś odczuwam w nim bolesne dzwonięcie. Aż wreszcie zamilkł i zsunął się po moim boku. Zastygł w pozycji płodowej, śmiertelnie trafiony. Przez chwilę wstrzymałem ostrzał. Wszędzie naokoło słychać było głosy Niemców. Podniosłem ręce i poddałem się. Poddałem się, ponieważ chciałem ocaleć i wrócić do Evangeline.

Te wspomnienia zbiły się w jeden obraz, w pamięć jednej czynności: marszu.

Szliśmy dniami, tygodniami. Ci, co mnie pojмали, i ja. Przez pola i wypalone wsie, przez rwące rzeki i stare lasy. Posuwaliśmy się na wschód, ale nie powiedziano mi, dokąd idziemy. Od czasu do czasu zostawiano mnie ze strażnikiem, inni, w liczbie około piętnastu, odchodzili. Niekiedy któryś z nich ginął w jakiejś potyczce. Reszta po krótkim odpoczynku ruszała dalej. Gdyśmy tak maszerowali, do naszej grupy dołączono trzech innych jeńców. Jak dobrze było znów usłyszeć język angielski, dowiedzieć się o losach dalszej inwazji. Sądziłem, że może ten niewielki pluton Niemców zmierza do swego kraju.

Każdego dnia darowanego mi życia myślałem o Evangeline. Modliłem się, żeby o mnie nie zapomniała.

Wśród Niemców był żołnierz, który trochę znał angielski i postanowił ćwiczyć go na nas. Opowiadał nam, że kiedy wygrają wojnę, on pojedzie do Nowego Jorku. Miał na imię Klaus. Dzielił się z nami papierosami w zamian za rozmówki. Któregoś dnia jeden z Amerykanów, Hank Ramirez, odszedł nieco za daleko od naszej grupy. Klaus stał tuż obok nas. Wszyscy wiedzieliśmy, że Hank poszedł wypróżnić się w krzaki. Dowódca plutonu dał Klausowi znak. Bez chwili wahania Klaus położył Hanka trupem. Po tym wydarzeniu odmówiliśmy z nim wszelkich rozmów, chociaż zapach papierosów był nieznośnie kuszący.

W końcu dokooptowaliśmy do batalionu, więc dwaj pozostali przy życiu jeńcy i ja zostaliśmy dołączeni do większej grupy Amerykanów zmierzających do obozu jenieckiego. Załadowano nas na kryte brezentem ciężarówce. Upchano nas jak sardynki w puszcze – śmierdzących z brudu, zdenerwowanych i rozpaczliwie tęskniących za domem. Większość zachowała milczenie. Najmłodszy z tej grupy nie był najbardziej przestraszony. Pierwszy zaczynał rozmawiać, jakby pragnąc przywrócić normalność dzięki zadawaniu normalnych pytań. „Sierzancie, skąd jesteście?”. „Poruczniku, kiedy trafiliście do niewoli?”. „Czy ktoś ma papierosa?”. Po drodze stanęliśmy tylko raz, bo Niemcy musieli nalać do baku paliwa z kanistrów. Nie pozwolono nam zejść, nawet by się załatwić, więc odór pod plandeką stawał się nieznośny. Jeden z oficerów, który – jak wskazywał jego wiek – musiał spędzić już sporo czasu na polach bitwy, zaczął płakać. Bezmyślnie wycierał oczy różkiem brudnej chustki do nosa, a potem westchnął głęboko i usiadł wciśnięty między dwóch towarzyszy broni.

Rozglądałem się na próżno za jakąś znajomą twarzą, za kimś, kogo spotkałem na swojej drodze. Uprzytomniłem sobie w końcu, że może to i lepiej, iż nie dostrzegłem nikogo znajomego. W ten sposób mogłem sobie wyobrazić, że nie poległ.

W czasie tej niekończącej się jazdy próbowałem się rozerwać rozmyślaniami o Evangeline. Głęboko ufałem, że jest cała i zdrowa. Nie starałem się ujrzeć jej w

myślach w Hawke's Cove, lecz tam gdzie chciałem, by była. Ciągle więc widziałem ją oczami wyobraźni w ogródku na tyłach dwupiętrowego domu, w którym oboje mieszkaliśmy. Ubrałem ją w moją ulubioną bładozieloną suknię i umieściłem na żeliwnej ławce ogrodowej. Kiedyś ją tam zainstaluję. Byłem zbyt przesądny, by wyobrazić sobie dzie-

ci u jej stóp, ale za to widziałem siebie, gdy podaję jej różę. Zasypiałem z mymi marzeniami, aż we śnie stawały się groteskowymi wyobrażeniami. Róża zamieniała się w karabin.

Nie mogłem sobie wybaczyć, że zostawiłem w plecaku wszystkie jej listy do mnie.

Niemcy, biorąc mnie do niewoli, kazali mi zostawić wszystkie rzeczy osobiste, ale gdybym trzymał je w kieszeni koszuli, byłyby ze mną do dziś.

Pocieszałem się, że gdy tylko znajdę się w obozie jenieckim, Evangeline zostanie powiadomiona, co się ze mną stało. Może nawet pozwoliła nam pisać listy do siebie.

Jeśli Niemcy daliby mi świstek papieru, napisałbym jej, jak bardzo ją kocham, jak myśli o niej trzymają mnie przy życiu. Jak bardzo chciałbym jeszcze raz spędzić z nią dziecko. I jeśli tylko sobie życzy, spędzalibyśmy wolny czas w Hawke's Cove. Nie traciłem zmysłów dzięki układaniu planów na przyszłość.

Wydedukowaliśmy, że znajdujemy się w jednej z trzech ciężarówek, w małym konwoju jeńców. Co pewien czas auta zjeżdżały na pobocze, a wtedy słychać było z dala łoskot samolotów i huk zrzucanych bomb. Z bliska dochodził do nas grzechot strzałów, rytmiczny jak gra na perkusji. W ostatnich godzinach nocnych, tuż przed nastaniem świtu, ciężarówka przed nami została trafiona przez pocisk artyleryjski. Pozostałe dwie gwałtownie skręciły/ żeby ominąć płonący wrak, i dodały gazu. Przez dziury w brezentach zdołaliśmy jednak ujrzeć zgliszcząca auta i usłyszeć jęki umierających rodaków.

Ogromny rudy szeregowiec siedzący obok mnie zaczął się kołysać. Trzymając się rękami za głowę, ciągle powtarzał: „Chcę do domu, chcę do domu”. Jego sąsiad z drugiej strony ojcowskim gestem położył mu rękę na ramieniu. „Ja też chcę wrócić do domu, synku – I wrócimy. Zobaczysz, że tak się stanie”.

Około południa następnego dnia wreszcie pozwolono nam wysiąść. Na miejscu zbombardowanej fabryki amunicji zorganizowano tymczasowy obóz jeniecki. Zebrano nas chyba z setkę. Górowaliśmy liczebnie nad naszymi oprawcami, których było ze cztery razy mniej niż nas, ale mieli broń i z pewnością nie zawahaliby się zrobić z niej użytku. Żywności było bardzo mało i praktycznie nie nadawała się do przełknięcia. Zmu-

szalem się jednak do jedzenia, bo w przeciwnym razie bym umarł, a za wszelką cenę pragnąłem ocaleć.

Opowiadałem o Evangeline każdemu, kto tylko zechciał mnie wysłuchać. Musiałem o niej mówić, słowa były dla mnie kotwicą, która trzymała mnie przy życiu.

Jeden ze Szwabów znających angielski uwielbiał ze mnie szydzić. Usłyszał, jak wspominam o Evangeline. „Ty, chłopie – odezwał się z silnym akcentem niemieckim.

– Założę się, że ktoś teraz rypie twoją żonę”. Chciał mnie sprowokować, spodziewał się wybuchu wściekłości. Wtedy mógłby mnie zastrzelić. Ja jednak powstrzymałem emocje.

W naprędce wzniesionych barakach rozniosła się pogłoska, że niedaleko od nas znajdują się wojska amerykańskie. Pragnęliśmy, żeby jak najszybciej nas znalezione. Podobno ktoś, kto znał niemiecki ze szkoły, podsłuchał rozmowy strażników. I rzeczywiście, Niemcy wydawali się niepewni, wzmocnili posterunki.

W naszym ograniczonym świecie liczył się każdy szczegół. Nawet najwięksi pesymiści przepychali się do okna, żeby wyjrzeć, czy nie nadciąga pomoc.

Przebywaliśmy w tym więzieniu od dwóch miesięcy, rudy szeregowiec robił wrażenie człowieka na ostatnich nogach. Zresztą żaden z nas nie mógł już przejść przez barak, by nie przysiąść po drodze z wyczerpania.

– A jeśli to jest prawda? – zapytał mnie Al Biondi, wionąc śmierdzącym oddechem.

– Czy może się tak zdarzyć?

– Nie wiem, Al. Równie dobrze mogą nas zbombardować, sądząc, że fabryka nadal działa. Przecież nie wiedzą, że stała się obozem jenieckim.

Tylko wzruszył ramionami, był zbyt słaby, żeby wdać się w dyskusję.

Po całym dniu wsłuchiwania się w coraz bliższe strzały zaczęliśmy podejrzewać, że nasi strażnicy uśmiercą nas wszystkich i opuszczą obóz. Stało się jednak inaczej. O zmierzchu zapędzili nas do niedużej sali. Z trudem się w niej zmieściliśmy. Następnie zaryglowali metalowe drzwi i zostawili nas swemu losowi. Już nie wiem, jak długo tak staliśmy; na zmianę siadaliśmy na podłodze. Wyłączyli światło. W ciemnym pomieszczeniu tkwiliśmy ściśnięci jak bydło rżęzne, nasłuchując huku bomb i chlupania współtowarzyszy. Nie pamiętam, ile minęło dni.

Część jeńców zmarła z wyczerpania, ale ścisk był taki, że ich trupy nadal stały między nami.

Drzemiąc i budząc się, stale myślałem o Evangeline, obiecując jej w duchu, że nie zginę.

Że wrócę do domu.

I wróciłem. Zniszczony emocjonalnie, sparaliżowany duchowo, ale jednak wdzięczny opatrności. Alianci nie zbombardowali zniszczonej fabryki amunicji. Wkroczyli na teren obozu i otworzyli drzwi. Przeżyłem. Pragnąłem tylko jednego – być już w kraju i rozpocząć wspólne życie z Evangeline.

Ona jednak się zmieniła. W jakiś subtelny sposób moja żona oddaliła się ode mnie.

Nie była chłodna, zdystansowana, niekochająca. Jedynie nieco inna.

Te lata powojenne minęły szybko. Nawet teraz, gdy je wspominam, a jest to ulubione zajęcie starych ludzi, widzę tylko ogrom czasu z odpryskami wydarzeń, sprzeczek, odłamków pamięci. Pamiętam drobne fakty. To wszystko, co mogę teraz robić. Pamiętać.

Jak para, która żyła w separacji po strasznej awanturze, próbowaliśmy teraz zapomnieć o latach rozstania. Nie mogłem mówić o moich przeżyciach, a Evangeline rzadko wspominała o swoich, co najwyżej w formie anegdoty. Wiedziałem, że kupiła krowy/ że dostała odznaczenie za swoje konfitury. Opowiadała niekiedy o grze w karty z Frickami, ludźmi, którzy pozostali w naszym życiu przez kartki z życzeniami świątecznymi i okazjonalne wizyty w Bostonie. Nie wypytywałem jej o tamten rozdział z przeszłości. Raczej, jak sądzę, zniechęcałem ją do zwierzeń. Z obecnego dystansu uważam, że nie znosiłem myśli o szczęściu, jakie było jej udziałem w Hawke's Cove. Przypuszczam, że Ev była świadoma różnicy naszych wojennych doświadczeń i jako osoba z natury wrażliwa unikała tego tematu. Odnosiłem nawet wrażenie, że wcale nie zależy jej na wspomnianiu, toteż najczęściej rozmawialiśmy o przeszłości.

Przez długi czas prześladowały mnie ataki depresji. Nie w sensie klinicznym, jak to jest teraz w modzie, lecz w formie głębokiego smutku, który utrudniał mi działanie. Było to tak niepodobne do mnie. Przed wojną, a zwłaszcza tuż po jej zakończeniu, wszelkimi siłami dążyłem do realizacji moich życiowych planów. Gdy więc ściany waliły się na mnie i zaczynałem się odgryzać żonie, aż w końcu nic mi nie szło tak,

jak sobie zaprojektowałem, Evangeline wypytywała, co mnie tak dręczy.

– John, pomoże ci, gdy to z siebie wyrzucisz. Wiem o tym z własnego doświadczenia. Kiedy wreszcie mogłam opowiedzieć Judy o dziecku...

– przełknęła ślinę – poczułam wielką ulgę. Nie dlatego, że minął smutek, ale było mi lżej, gdy wymówiłam głośno imię córeczki.

Okazywała mi cierpliwość. I zawsze potrafiła odróżnić zły humor od rozpacz.

– Kochanie, to naprawdę głupstwo. Powiadam ci. Nie warto zawracać sobie tym głowy. Wiesz, że wolę, abyśmy w ogóle nie poruszali tego tematu. – Myślę, że miała na myśli zarówno moje, jak i swoje przeżycia wojenne. Całą tę wojnę zamknęliśmy do pudełka i wsunęliśmy je do kąta. Próbowaliśmy żyć przyszłością.

W tych pierwszych latach powojennych wszelkimi siłami chcieliśmy wrócić do normalności. Dobrze mi szło w firmie architektonicznej, ale marzyłem o założeniu własnej pracowni. Evangeline skupiła się na swojej pracy dyplomowej. Oboje chcieliśmy mieć dziecko.

Julie urodziła się nam w 1947 roku, a potem Amanda, w 1949 roku. Pięć lat później postanowiłem podjąć ryzyko i założyłem w końcu własną firmę. W tym czasie Evangeline nie wspominała o Hawke's Cove. Ja skrupulatnie płaciłem podatki za farmę i niewielkie rachunki za światło, ale ona ani razu nie zaproponowała, byśmy spędzili tam trochę wolnego czasu. Ja bynajmniej nie miałem ochoty podnosić tej kwestii i byłem bardzo zadowolony w duchu, że całe to szaleństwo z Hawke's Cove zdawało się minąć bez śladu.

Ponieważ Evangeline tak długo tam mieszkała – myślałem – pewnie ją to wyleczyło ze złudzeń. Toteż wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeśli pozbedziemy się Hawke's Cove, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze wykorzystamy jako kapitał zakładowy.

– Sprzedać? Farmę mojej babci? – Evangeline ciągle nosiła dawne ubrania, choć była już w czwartym miesiącu z niespodzianką naszego wieku średniego, Charliem.

– Nie wiem, John. Może raczej wziąć kredyt pod hipotekę?

– Ev, nie byliśmy tam od czasów wojny. Rozsądniej jest ją spieniężyć, niż się zadłużać. Miałbym w ten sposób doskonałą okazję, by założyć firmę bez żadnych obciążeń finansowych. Nie korzystamy z farmy, pewnie jest teraz w opłakanym stanie. A poza tym nie warto się obcią-

zać podatkami, jeśli w nieokreślonej przyszłości mielibyśmy tam spędzać dwa tygodnie urlopu. Jeśli mi się powiedzie zawodowo, a na to liczę, pojedziemy na wakacje w świat. Czy myślałaś kiedyś o podróży do Paryża? Za parę lat będzie nas na nią stać. Ale nie wtedy, gdy będziemy mieli tę kulę u nogi. Evangeline, daj sobie spokój z sentymentami.

Jeśli się spodziewałem, że moja żona pokłóci się ze mną, to się myliłem. Ale również nie uśmiechnęła się do mnie. Wygrałem, lecz nie spodziewałem się, jakim kosztem. I nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego Evangeline tak łatwo ustąpiła.

Jeżeli nawet nie zaznaliśmy idealnej szczęśliwości, to jednak przeżyliśmy trochę niedoskonałego szczęścia. Wszystko działo się tak szybko. Moja firma okazała się w rzeczywistości taka, jak ją sobie wymarzyłem, prócz tego, że pochłaniała mnóstwo czasu. Każdego dnia musiałem balansować między klientami, podwładnymi i członkami rodziny. I zbyt często przegrywała na tym rodzina. Jeśli nie osiągnęliśmy z Evangeline tej głębi duchowej, która cechowała nasz związek przed wojną, to mogę winić tylko siebie, bo byłem twardszym, mało rozrywkowym człowiekiem, stale zaabsorbowanym karierą zawodową. Niekiedy się zastanawiam, czy to wojna mnie tak zmieniła, czy też zawsze byłem człowiekiem skazanym na ponurość?

Moją główną pasją było zapewnienie bytu rodzinie. Aby tego dokonać, musiałem ciężko pracować. I nie byłem w tym odosobniony. Moi rówieśnicy, również weterani wojenni, szybko weszli w rytm życia i choć z początku parę razy się potykali, to wreszcie wyrównywali krok i szli do przodu. Musieliśmy nadrobić stracone lata, nie stać nas było na lekkie podejście do życia.

Niekiedy wsłuchiwałem się w wybuchy śmiechu dochodzące z pokoju telewizyjnego albo patrzyłem na moje dzieci bawiące się w klasy na podwórku. Jakże często docierał do mnie śmiech żony zmieszany z ich radosnymi okrzykami, gdy bawiła się z nimi w klasy i dziewczynki ostrzegały ją, by nie nastąpiła na linię.

Przypatrywałem się im. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby do nich dołączyć.

– Jest w górnej szufladzie biurka po lewej stronie. – Evangeline kręciła się po kuchni z telefonem przy uchu i krzyknęła do mnie, żebym wyciągnął jej rękopis.

Rozmawiała z wydawcą. Do dziś wszystko doskonale pamiętam. W jaki sposób promienie październikowego słońca padały na ostatnie liści klonu na naszym podwórku w Cambridge. Jak bardzo było mi brak Julie, która pojechała na wycieczkę szkolną do Waszyngtonu. Z piętra dobiegały mnie dźwięki piosenki młodego Presleya, odtwarzanej na magnetofonie Amandy. Charlie też był na gorze.

– Kochanie, czy możesz mi przynieść ten rękopis lub porozmawiać z Megan, póki ja go nie znajdę?

– Szukam, szukam... – Przewracałem papiery w lewej szufladzie. Byłem pewien, że powiedziała „po lewej stronie”. Moja ręka napotkała fotografię. Pod wpływem niezrozumiałego impulsu wyciągnąłem ją spod notesu z zadartymi rogami. Długo się jej przyglądałem, starając się poj#A kog°

przedstawia. Był na niej uwieczniony młody, przystojny mężczyzna z brodą, ubrany – jak sobie przypomi1^6111 ~ w moje rzeczy. Stał na tle stodoły, która bez w^pie™3 znajdowała się w Hawke's Cove. Ten człowiek patrzył w obiektyw z miną wyrażającą zarazem zaskoczenie i radość, że jest fotografowany. Spojrzałem na odwrotną stronę zdjęcia. „Joe Green, październik 44”. Szybko wsunąłem lewą szufladę i wysunąłem środkową. Tam właśnie leżał rękopis.

Wręczyłem go Evangeline, która stała nachylona nad blatem ze słuchawką przy uchu.

Szukała palcem odpowiedniej linii. Już opublikowała pierwszy tomik poezji – ten miał być drugi.

Z poczuciem totalnej pustki wszedłem na schody – Zajrzałem do pokoi naszych dzieci. Amanda leżała n^ łóżku Julie, wykorzystując nieobecność starszej siostry, by posłuchać jej płyt. Na mój widok uśmiechnęła się i pomaCna^a mi ręką. Charlie spał u siebie. Nachyliłem się nad nim * Pociągnąłem koc. Jak na swoje siedem lat był już za duży na dziecięcy kocyk, ale dzięki starszym córkom zrozumieliśmy, że dziecko pozbędzie się go, gdy nadejdzie odp°wiedni czas, ale nigdy przedtem. A poza tym nie chciałem, żeby Charlie dorastał w takim tempie, jak jego siostry.

Jednego dnia były dziećmi, drugiego – nastolatkami. A jaka byłaby Molly? Miałyby teraz dwadzieścia lat. Zamknąłem drzwi od pokoju Charliego i zszedłem na dół.

Dobiegł mnie pełen ciepła śmiech Evangeline, nadal rozmawiającej ze swoimi wydawcami.

Co dobrego mogłoby wyniknąć, gdybym pokazał jej stara fotkę ze słowami: „A któż to jest i co to zdjęcie robi w twoich prywatnych dokumentach? Kim jest ów Joe Green i t jakiego powodu wpatruje się w fotografkę z taką miłością?” – Co dobrego by to przyniosło? Może by nieco wyjaśniłO’ skąd wzięła się ta ściana między nami, która wyrosła od chwili, gdy Evangeline zarzuciła mi ramiona w szpitalu dla weteranów wojennych. Teraz wydało mi się bardziej zrozumiałe jej zagadkowe ustępstwo w sprawie sprzedaży farmy. Taki byłem wtedy zadowolony, jakbym wygrał z nią w zawodach sportowych.

Odłożyłem fotkę do prywatnego archiwum Evangeline.

Moja droga żona, która przeżyła ze mną pięćdziesiąt siedem lat, właśnie odeszła od mego łóżka. Nakarmiła mnie, otarła mi twarz i ręce, opowiedziała wspomnienia z przeszłości. Kiedy wymieniła nazwę Hawke's Cove, dostrzegłem szczególny wyraz w jej oczach. Błysk pożądania? Pokusy?

To Hawke's Cove stało między nami.

\

Rozdział 7

CHARLIE

Jak się okazało, Clintonowie wybrali na wakacje wyspę Martha's Vineyard, więc tabuny reporterów szybko opuściły Great Harbor. Wraz z ich odejściem mieszkańcy okolicznych miasteczek stracili nadzieję na zyski z turystyki. Tak więc Charlie bez najmniejszego problemu wynajął sobie pokój w zajeździe Seaview w Hawke's Cove.

Podążając schodami za właścicielką, słyszał, jak mówi:

– Ten dom należy do nas od osiemdziesiątego roku. Nic tu nie remontowano od lat, może nawet od czasu wzniesienia budynku. Tu były po prostu pokoje do wynajęcia, ale oczywiście my nazywamy to miejsce pensjonatem. Pokoje dla letników były ogromnie popularne w latach dwudziestych i trzydziestych. Wówczas przyjeżdżały tu na sezon całe rodziny. Niekiedy czuliśmy się w ich towarzystwie jak rodzina.

Charlie liczył w duchu, że tradycyjna odporność mieszkańców Nowej Anglii na niesprzyjające okoliczności wkrótce da o sobie znać.

– Najlepsza strona tego pokoju to właśnie to. – Pani Smith otworzyła na oścież duże drzwi balkonowe. – Mieliśmy założyć przesuwane drzwi, ale majster budowlany poradził nam, że takie są bardziej stylowe, chociaż dużo droższe. Myślę, że miał rację, bo dwuskrzydłowe drzwi mają większą klasę, prawda?

Charlie uprzejmie przytaknął, lecz kiedy po odejściu gadatliwej gospodyni wyszedł na balkon, stanął jak wryty, oczarowany widokiem.

Pensjonat Seaview miał odpowiednio dobraną nazwę, bo dziennikarz ujrzał przed sobą całą zatokę błyszcząca w promieniach wiosennego słońca. Na horyzoncie dostrzegł samotny żagiel, który zaraz przepadł, jakby Kolumb nie miał racji. Tuż pod balkonem ciągnęła się droga otaczająca półkole plaży, zabezpieczonej przed erozją falochronem. Charlie pomyślał, jak wspaniale można by stąd oglądać sztorm, fale rozbijające się o kamienną ścianę i wsłuchiwać się w huk żywiołu. Matka opowiadała mu o sztormach z czasów jej młodości, przede wszystkim o huraganie w 1938 roku, który spowodował pamiętny sztorm, siejący strach i zniszczenie.

Chociaż nie była wtedy w Hawke's Cove, tak sugestywnie relacjonowała przeżycia innych, że brzmiało to jak straszna baśń z morałem ostrzegającym przed skutkami kataklizmu. Przez następny rok Charlie z lękiem wsłuchiwał się w podmuchy wiatru.

Teraz otrząsnął się ze wspomnień i wszedł do środka, żeby nałożyć dzinsy i koszulkę polo. Następnie wyciągnął notes i uśmiechnął się z satysfakcją.

Wystarczyły mu tylko trzy telefony, żeby uzyskać potrzebne informacje o zaginionym pilocie. Spencer Buchanan był dwudziestodwuletnim pilotem marynarki wojennej, który brał udział w akcjach na Pacyfiku, ale wskutek odniesionych ran odesłano go do kraju. Zniknął bez śladu na dzień przed powrotem do służby czynnej. Urodzony w małym mieście pod Chicago, kawaler. Na swym koncie miał trzydzieści dziewięć zestrzeleń. Oceniając wojnę z punktu widzenia chłopca, który był za młody, by zostać powołany do Wietnamu, ale już wystarczająco świadomy, by ją zapamiętać z doniesień telewizyjnych, Charlie pomyślał, że ten Buchanan mógł zdezerterować z wielu powodów. Trzydzieści dziewięć zestrzelonych maszyn. To aż nadto. Może doszedł do wniosku, że wykonał przydzielone sobie zadanie. Jednakże druga wojna światowa nie wywołała politycznego konfliktu społeczeństwa z przywódcami. Większość rannych żołnierzy po rekonwalescencji paliła się do powrotu na front, o tym stale pisano i mówiono. Wróg był przecież wcielonym złem.

Na tylnej okładce notesu Charlie przeprowadził szybkie obliczenia. Gdyby, wedle jego hipotezy, facet zwiął i dopłynął do brzegu, to dziś miałby prawie osiemdziesiąt lat. Zakładając, że takie były fakty, mógłby równie dobrze umrzeć ze starości. Albo, jak ojciec Charliego, być inwalidą po wylewie. Lub cierpieć na alzheimera. Zniecierpliwiły go te jałowe rozmyślenia. Rzucił notes na łóżko.

Miał ochotę na kubek dobrej kawy.

Wyszedłszy z pensjonatu, skręcił w lewo i udał się w kierunku portu. Falochron wrośnięty w zatokę kamiennymi ramionami zapewniał jednostkom bezpieczne wejście do przystani. Cumowały tam zaledwie dwa czy trzy jachty, sezon jeszcze się nie zaczął. Dwa kutry rybackie stały przy nabrzeżu stacji Mobil. Charlie zauważył, że do obu z nich był przytroczony na linach wrak hellcata przywiezionego na pokładzie płaskiej barki. Jego znalazcy nie marnowali czasu, domagając się nagrody,

ale krążyły plotki, że nie porozumieli się z marynarką wojenną przed rozpoczęciem akcji wydobywania samolotu z dna morza. No cóż, to już była historia dla innego reportera. Charlie szukał dowodu na to, że pilot hellcata rzeczywiście zginął w czasie katastrofy. Albo że nie zginął. Doszedł do wniosku, że najpierw napisze do swojej gazety reportaż w stylu „Och, cóż to za szkoda, że pilot zginął w kwiecie wieku”, spędzi w Hawke's Cove miły weekend i trochę odeśni zarwane noce. Jeśli jednak okaże się co innego, zastanowi się nad niespodziewanym dalszym ciągiem tej odległej historii.

Odezwał się w nim rasowy reportażystapodróżnik, gdy spacerował wzdłuż portu.

Matka tak wiele opowiadała mu o farmie, ale nigdy nawet nie usiłował wyobrazić sobie piękna nabrzeża. Stały tu domy nieprzebudowane od dziewiętnastego wieku.

Więcej – wspaniale odrestaurowane. Nie było salonów z antykami, których nazwy wzięto od dawnych sklepów, gdzie sprzedawano liny, sieci i inne oprzyrządowanie kutrów. Nie było też kafejek i butików z horrendalnymi cenami. Charlie uśmiechnął się pod nosem. Nie, to miejsce miało własny charakter. Spodobały mu się nawet lekko podniszczone urządzenia portowe.

Drogi prowadzącej na keję nie wyłożono snobistycznymi kocimi łbami, lecz zwykłymi, zużytymi dziś płytami chodnikowymi. Wiodły do głównej ulicy.

Przystanął przy jadłodajni U Lindy, żeby wziąć kawę na wynos. Było już zbyt późno na lunch, a zbyt wcześnie na kolację, toteż w środku siedziało przy barze zaledwie paru klientów. Sterani starcy w ubraniach roboczych – koszulach w zielonoczarnej kratę i spodniach khaki. Na znak grzeczności zsunęli na tył głowy zniszczone czapeczki baseballowe. Podzielili się stronami gazety, którą rozłożyli na ladzie. Bez słowa zamieniali się jej częściami. Charlie pochylił się nad blatem, czekając na czarną kawę bez żadnych dodatków.

– Jak tam sobie radzi drużyna Red Sox? – zagadnął sąsiada zatopionego w lekturze działu sportowego.

– Dobrze jak na wiosenne rozgrywki.

Ponieważ odpowiedź brzmiała jak męska zagrywka do dalszej rozmowy, Charlie poruszył inny temat:

– Ciekawe z tym hellcatem, co?

Jego rozmówca kiwnął głową, napił się trochę kawy i wrócił do studio-wania wyników sportowych. Charlie już zrezygnował z dalszego naga-bywania, gdy tamten zwinął gazetę i powiedział:

– Pamiętam, jak spadł. Byłem wtedy chłopcem, ale oglądałem to z moim wujem z jego łodzi na homary.

Charlie przysiadł się do nowego znajomego.

– A co się stało z pilotem? Czy go odnaleziono?

– Tego to ja nie wiem. Pewnie zginął. Bracia Sunderla dowie natrafili na jego ponton, jak pływał pusty.

– Czy mogę zadać panu pytanie?

– Czemu nie.

– Czy w czasie, gdy zdarzyła się ta katastrofa, pojawił się ktoś obcy w okolicy?

Ktoś nieznany, kto się tu osiedlił?

– Zawsze się tu pojawiali nieznajomi. Niektórzy zostawali, inni odcho-dzili. – Spojrzał na Charliego. – I tak jest do dziś.

– No, co do mnie, to piszę reportaż o hellcacie – Wie pan, taka opo-wieść z punktu widzenia losów człowiek Co ?? się stało, gdyby się oka-zało, że facet się uratował i osiadł tu na stałe.

Nowy znajomy Charliego zaczął chichotać, aż się niemal zakrztusił. Wszyscy mężczyźni przy barze zawtórowali niu, trącając się w bok. Charlie przypatrzył się im i doszedł do wniosku, że albo byli w tym wieku, że wojnę spędzili na froncie, albo byli zbyt młodzi, by odnoto-wać pojawienie się w okolicy jakiegoś obcego faceta dziesiątki lat temu.

Jednakże w tym zgromadzeniu nie śmiał się jeden człowiek, siedzący na samym końcu baru. Para jasnobłękitnych oczu wpatrywała się bacz-nie w Charliego, jakby icn właściciel usiłował dojść, skąd się taki wziął w HavVke's Cove.

Lekki uśmiech igrał na ustach okolonych gęstą siwą broda– Jak się pan nazywa?

– Charlie Worth.

– No, Charlie Worth, to się zapowiada na interesującą historię. – Nie-bieskooki starzec wstał i ruszył w stronę ubikacji. Przechodząc obok Charliego, klepnął go po ramieniu. – Życzę powodzenia.

Charlie wyszedł z knajpki i usiadł na ławce P° drugiej stronie ulicy, żeby dokończyć kawę i przemyśleć następny krok. Bez wątpienia mu-

siał przeprowadzić wywiady z ludźmi, którzy nie tylko mieszkali wtedy w okolicy/ ale także byli na tyle dorośli w czasie wojny, by pamiętać, i nie zostali powołani na front. A zatem z kobietami. Może powinien odwiedzić Judy Frick w domu starców. Matka odnosiła się sceptycznie do jej pamięci, ale należało spróbować – Kogo jeszcze zapytać?

Rozmyślając nad zebraniem niezbędnego materiału, ciągle rozglądał się wokół, oczarowany tym spokojnym miasteczkiem.

Mewa stojąca na dachu miejscowego głośno złorzeczyła światu. A o piątej po południu rozległy się z taśmy dzwony zboru metodystów, wygrywające pieśni kościelne. Charlie pomyślał, że chyba rozpoznaje ten hymn protestanckiego Boga jest potężną fortecą, ale nie był tego zupełnie pewny.

Pod knajpkę U Lindy zajechała mała niebieska mazda, mająca na oko niewiele więcej niż dwa lata. Zaparkowała trochę krzywo, wjeżdżając kołami na miejsce dla innego samochodu. Wsiadła z niej wysoka, szczupła dziewczyna i Charlie z podziwem przyglądał się jej znad brzegu kubka. Ubrana jak elegantka z wielkiego miasta, miała włosy zaplecione w francuski warkocz sięgający połowy pleców. Gdy zatrasnęła drzwiczki, spostrzegła, że Charlie patrzy na nią z nieskrywaną admiracją. Zareagowała na to lekkim uśmiechem. Z daleka Charlie nie mógł ocenić, ile ma lat – trzydzieści czy czterdzieści. Kobieta, nie dziewczyna. Weszła do restauracji. Kusiło go, żeby tam wrócić. Zanim cokolwiek postanowił, szklane drzwi się otworzyły i na progu ujrzał ją w towarzystwie tego niebieskokiego mężczyzny, który zapytał go o nazwisko. Oboje spojrzeli na niego, stojąc przy aucie. Z podobieństwa ich ruchów Charlie wywnioskował, że to córka i ojciec. A wtedy w identyczny sposób pomachali mu z daleka. Zaskoczony tą reakcją, bezwiednie uniósł rękę.

Rozdział 8

CHARLIE

Charlie się nie spodziewał, że obudzi go wschodzące słońce. Łagodne promienie przywróciły go do rzeczywistości. Nie pamiętał, gdzie jest, nim otworzył oczy i ujrzał pokój hotelowy z oknami wychodzącymi na wschód. Nie miał zamiaru wstawać tak wcześnie, ale drażniący nozdrza zapach piekących się tostów i parzonej kawy zaostrił mu apetyt. W ten sobotni poranek wstał więc tak wcześnie, jak nie zdarzyło mu się od lat.

– Nie spodziewałam się pana przed ósmą trzydzieści – zauważyła pani Smith, wręczając mu filiżankę kawy. – Śniadanie będzie za kilka minut, a zatem może pan sobie posiedzi na werandzie. Gazeta już tam leży na stole.

Charlie zasiadł w bujanym fotelu i spod zmrużonych powiek zerknął na słońce, które odbijało się w lekko pofalowanej zatoce. O tak wczesnej porze w weekend prawie nie było ruchu, tylko od czasu do czasu przejeżdżała jakaś półciężarówka.

Na większości były zamocowane komplety wędek – albo wystających zza przyczepy, albo umieszczonych na przednim zderzaku. W każdym samochodzie bez wyjątku na honorowym miejscu siedział pies. Wyglądał przez okno lub przez obudowę przyczepy i z wywieszonym językiem wdychał morską bryzę. Uszy powiewały mu w szalonym tempie, a na pysku można było dostrzec charakterystyczny dla wszystkich psów wyraz rozkoszy i udreki.

Nie mając ochoty siedzieć nad gazetą, Charlie złożył ją i począł upajać się widokami. Zdziwiło go, dlaczego jego rodzina nigdy tu z nim nie przyjechała. Wiedział oczywiście, że mama sprzedała farmę, jeszcze nim się urodził. Ale przecież oboje mogli spędzić tu lato z dziećmi w jednym z licznych pensjonatów, o których wspominała pani Smith. Po chwili namysłu pokręcił głową – w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić ojca w jednym z tych pokoi do wynajęcia.

Uśmiechając się do swych myśli, wrócił do lektury gazety.

Na niebie ukazał się ciemny punkt, który znowu go zaabsorbował. Rybitwa polująca nad lir. ią brzegu wzbila się w powietrze, uderzając

skrzydłami jak pływak pokonujący fale. Charlie wiedział, że choć jego matka nigdy nie wróciła do Hawke's Cove, miejsce to silnie tkwiło w jej psychice. Tak jak dla ojca ważne były doświadczenia wojenne, tak dla niej egzystencja w tej miejscinie w latach wojny. Dopiero gdy ojciec miał drugi wylew i musiano go umieścić w zakładzie dla nieuleczalnie chorych, matka zdradziła synowi, że przebywał w obozie jenieckim w Europie. Do tej pory dzieci Johna Wortha nie miały o tym pojęcia. Czy powodem tej głębokiej tajemnicy był wstyd, czy też rozumiała chęć niewracania do traumatycznych przeżyć i próba wykreślenia ich z pamięci? Oboje zawsze komentowali z przerażeniem skutki wojny wietnamskiej, wszystkie traumy i rozdarcia, które prowadziły do różnych postaw społecznych. Charliemu przyszło na myśl, że weterani drugiej wojny światowej nie mogli sobie pozwolić na żadną taryfę ulgową. Gdy przybywali z frontu, witano ich w kraju jak bohaterów i zaraz zmuszano do powrotu. Jak się to robi?

Raz jeszcze rybitwa spadła na zdobycz niczym kamień, tym razem zanurzając się w wodzie i triumfalnie wznosząc się znad lustra wody, wyglądającego w tym miejscu jak rozbite na tysiące cząstek zwierciadło. W szponach unosiła srebrny łuk złowionej ryby.

Zapach smażonego bekonu zaostrzył apetyt Charliego. Wstał i zamierzał wejść do jadalni, ale widok kobiety biegnącej wzdłuż falochronu zmusił go do zatrzymania się. Dziewczyna była ubrana w niewymyślny strój rasowej sportsmenki – szorty, podkoszulek i przybrudzone białe adidasy. Zwolniła, gdy zauważyła go stojącego na werandzie.

On z kolei uśmiechnął się, poznavszy w niej właścicielkę błękitnej mazdy.

– Dzień dobry! – krzyknął, gdy go mijała.

– Dobry! – odkrzyknęła skrótem, jak przystało na powitanie ludzi w biegu.

Jednakże, ku jego zaskoczeniu, zatrzymała się i nadal drepcząc w miejscu, zapytała lekko zdyszonym głosem:

– Pan jest dziennikarzem i nazywa się Charlie Worth, prawda?

Fakt, że ktoś zna jego nazwisko i zawód, nie był dla niego nowością. Od kilku lat w rubryce z jego artykułami figurowało również jego zdjęcie.

– Tak, zgadza się. Czytuje pani moje teksty?

– Nie. – Jej warkocz śmigał na boki, gdy dalej biegła w miejscu. – Czytałam natomiast utwory pana matki. – I zaraz potem ruszyła, jakby nie przywiązując najmniejszej wagi do zakończonej przed chwilą wymiany zdań.

Po śniadaniu Charlie zszedł do doku, w którym zacumowana była barka z kadłubem samolotu. Dwa kutry już odpłynęły i kapitan portu siedział, rozkoszując się chwilą spokoju. Wkrótce pojawią się letnicy z ich superdrogimi jachtami i z listą żądań, domagając się od obsługi natychmiastowego ich spełnienia. Steve West, wywodzący się z rodu rybaków i łowców skorupiaków, nie miał specjalnego szacunku dla tych snobistycznych jednostek pływających. Niemniej nie narzekał na swoje stanowisko, które przynosiło mu godziwe wynagrodzenie, zapewniało niezły byt i łączyło się ze służbą w miłym dla oka budynku na końcu mola. Nagłe pojawienie się Charliego w drzwiach jego biura nie było dlań niespodzianką. Od czasu wyciągnięcia wraka hellcata przybywało tu mnóstwo gapiów, ciekawych maszyny sprzed pół wieku.

– Mógłbym zadać parę pytań? – Charlie przedstawił się gospodarzowi i od razu przystąpił do dzieła. – Czy w kabinie natrafiono na jakieś ślady zwłok pilota?

– Nie, niczego nie znaleziono.

– Dopadły go rekiny? Steve się roześmiał.

– Może być. Chociaż w wodach przybrzeżnych nie spotyka się ludojadów. Gdyby samolot spadł dalej, to nie wykluczam. Nie. Myślę, że podzielił los wielu innych marynarzy. Morze nie zawsze wyrzuca zwłoki na powierzchnię. Zdarza się, że zabiera je na zawsze.

– Więc uważa pan, że utonął z wyczerpania?

– Mogło się tak stać.

– W raportach podano, że powiadomił drogą radiową o swojej pozycji i że nic mu wtedy nie było.

– Wobec tego wie pan więcej niż ja. Charlie oparł się o drzwi małego pokoju.

– Mogę pokazać panu zdjęcie?

Steve odsunął krzesło i sięgnął po dzbanek z kawą, bez słowa oferując gościowi filiżankę. Kiedy Charlie pokręcił głową na znak odmowy, nalał sobie ciemnego płynu do dużego kubka i dopiero wtedy wyciągnął rękę po fotografię z archiwum marynarki wojennej.

– No i jak się nazywał ten człowiek?

- Spencer Buchanan.
- I pan uważa, że on nadal żyje? Że tu mieszka?
- Tak zakładam. – Charlie pozwolił Steve'owi popatrzeć jeszcze chwilę na zdjęcie, zanim zadał następne pytanie: – Ma pan jakiś pomysł? Tamten wzruszył ramionami.
- Raczej nie.
- Jest pan pewien? – Charlie wyczuł leciutkie wahanie w jego głosie.
- No dobra, ten facio nie wygląda na żadnego z moich znajomych, ale nieco przypomina mojego kumpla z młodości, zabitego w Wietnamie. Nazywał się Scott Green.
- Charlie zapisał sobie to nazwisko w notesie.
- Jeszcze jedno.
- Wal pan. – Steve wstał i podszedł do drzwi. W trakcie ich rozmowy do portu wpłynęła jakaś potężna motorówka, więc wyjrzał, żeby zasygnalizować żeglarzowi, że wie o jego obecności.
- Czy zaglądał tu ktoś, kto był szczególnie zainteresowany wrakiem hellcata?
- Steve roześmiał się, tym razem pełną gębą.
- Jasne, każdy, kto marzył o lataniu, wszyscy weterani wojenni i w komplecie chłopcy z okolicy zajmujący się modelowaniem.
- No dobrze. – Charlie nie ustępował, podczas gdy Steve schwytał rzuconą mu linę motorówki. – Proszę mi zatem powiedzieć, czy ktoś był wyraźnie niezainteresowany wrakiem hellcata?
- No cóż, bodaj jedyny z tutejszych starców, który się tu nie pokazał, to Joe Green. – Steve fachowo zawiązał linę w węzeł. – To ojciec Scotta.

Rozdział 9

MAGGIE

Maggie Green skończyła wypisywanie czeków, ciągle nienawykła do zatrzymania się na „n” i niedopisywania do pierwszego nazwiska drugiego jego członu – Shofsky, co czyniła przez sześć minionych lat. Kiedy wreszcie zdołała przekonać Ethana, że ich małżeństwo nie ma dalej sensu, on oskarżył ją o całkowitą obojętność, która jego zdaniem objawiała się również tym, że jako mężatka używała podwójnego nazwiska, traktując jego nazwisko jako chwilową przyczepkę. Szybko otrząsnęła się jednak z tych niemiłych wspomnień i złożyła czeki w równą kupkę, by je nadać po południu na pocztę.

Usłyszała, że ojciec rozmawiał w kuchni przez telefon z Ernestem Dubeem przebywającym na Florydzie. Każdego roku Ernie w czasie zimy udawał się ze swoją przyjaciółką do Key West i nieodmiennie zapraszał ojca. Stało się to ich wspólnym ceremoniałem, ponieważ Joe Green zawsze odmawiał, i tak toczyło się ich życie. Z pewnością ojciec ciężko by to przeżył, gdyby nie został zaproszony, a Ernie z kolei padłby z wrażeń, gdyby kiedyś usłyszał, że jego stary przyjaciel w końcu przyjedzie.

Dzięki Bogu, znowu zrezygnował z zaproszenia. Gdy sprawy z Ethaniem się skomplikowały, jak dobrze było wrócić do domu rodzinnego. Jej rodzice postanowili żyć w separacji wkrótce po śmierci Scotta. Matka błagała ojca, aby wyjechali z Hawke's Cove. Nie mogła znieść życia w małej miejscinie, gdzie każdy znał jej ból. Z czasem jej cierpienie psychiczne zamieniło się w fizyczne i nawałnicą hipochondrii prześladowała teraz swego drugiego męża. Maggie mogła znieść obecność matki jedynie w niewielkich dawkach, więc choć Denise mieszkała dużo bliżej Bostonu, wołała raczej schronić się u Joego w Hawke's Cove. I tak tu razem mieszkali, oboje po nieudanych związkach, albo – jak niekiedy żartowała – po przegranych bojach małżeńskich.

– Świetnie, spotkamy się więc po twoim powrocie. Przekaż serdeczności Marylin.

– Joe odwiesił słuchawkę i począł przygotowywać kawę.

– A zatem wuj Ernie wkrótce pojawi się w domu?

– Taaa. Aż nieprawdopodobne, że mamy za sobą kolejną zimę. Pewnie w przyszłym roku odwiedzę go w Key West.

– Jasne. A ja wygram los na loterii. – Maggie klepnęła ojca w ramię przyjacielskim gestem. Wszyscy wiedzieli, że Joe Green nie ruszy się z Hawke's Cove. Przypadek agorafobii. Nigdy jednak nie nawiedzała go ona na szesnastu milach kwadratowych miasteczka. Tu poruszał się bez najmniejszych problemów. Nie mógł jednak przekroczyć mostu.

– Zastanawiałam się, czy nie zaprosić na kolację tego Charliego Wortha.

– Na mnie nie licz. Jak chcesz umówić się z nim na randkę, to stary dziad ci niepotrzebny.

– Tato, daj spokój. Kto tu mówi o randce? – W pożyciu z ojcem pod jednym dachem Maggie przeszkadzało tylko to, że ciągle jej sugerował, by znalazła sobie chłopaka. Nie pozwól sobie na samotność w tym wieku – powtarzał.

– Nie chcesz się z nim spotkać? To znaczy, na kolacji?

– Nie.

Jeśli Maggie zdziwiło, że ojciec nie chce poznać syna swojej bliskiej przyjaciółki, zostawiła to dla siebie. Joe Green przypominał jej chwila-mi pięciolatka, który niekiedy upierał się w sposób przeczący logice. Gdy usiłowała go do czegoś zmusić, odwracał się plecami.

Natomiast zupełnie jej nie zaskoczyło własne zainteresowanie Charliem Greenem. Przyznała jednak w myślach, że najbardziej ją intryguje jego matka. Jedną z jej najcenniejszych pamiątek był rękopis wiersza Evangeline, przysłany rodzicom z okazji jej urodzin. Drugi taki prezent rodzina otrzymała po narodzinach Scotta, ale gdzieś się zawieruszył po jego śmierci.

Od czasu gdy Maggie odkryła tomik poezji Evangeline Worth wciśnięty między inne książki na regale, zakochała się w jej poezji. Szczególnie lubiła zbiór zatytułowany Zapamiętane Hawke's Cove. „Mistyczne noce piasku i nieba...

przemawiają do mego serca o pasji tego miejsca”.

Jako dorosła dziewczyna Maggie zrozumiała, że „pasja miejsca” to nie Hawke's Cove, lecz ta emocjonalna płaszczyzna, gdzie spotyka się miłość zmysłowa z duchową; jej samej zdawało się, że nigdy nie osiągnęła pełni obu tych uczuć.

Minęła pensjonat Seaview, jadąc na pocztę. Nie zdziwiła jej nieobecność Charliego na werandzie. Jasne, że go tam nie ma, przecież rozkoszował się widokiem cztery godziny temu. Tylko ludzie przybywający tu na trzytygodniowe wakacje tkwią w miejscu. Niemniej nie miała do siebie pretensji, że coś ją pchało, aby przejechać obok pensjonatu, choć wcale nie leżał po drodze na pocztę.

Maggie nawet nie usiłowała sobie wmówić, że jedzie tędy, żeby podziwiać wspaniałą panoramę. A poza tym sądziła, że to miłe, gdy jest się kogoś ciekawym.

Od rozejścia się z Ethanem nie miała w sobie wystarczającej energii, by się kimś serio zainteresować.

Pomachała ręką do znajomych stojących przed sklepem z artykułami żelaznymi i skręciła, żeby zaparkować przed budynekczkiem poczty. To właśnie lubiła najbardziej w tej miejscinie, nawet jeśli spędzała tu zaledwie parę dni w tygodniu: móc pozdrowić znajome twarze. Jako pielęgniarka na oddziale kardiologicznym pracowała na dwunastogodzinnych dyżurach w głównym szpitalu bostońskim. To jej dawało możliwość spędzania w domu czterech dni w tygodniu.

Dzieląc mieszkanie w Bostonie z inną rozwódką, mogła ograniczyć wydatki i często przebywać w Hawke's Cove.

Wysiadając z auta, niechcący rozsypała przygotowaną stertę kopert. Gdy się schyliła, by je zebrać, wypadła jej z rąk torebka. Mnóstwo bilonu uzbieranego w ciągu całego tygodnia potoczyło się po chodniku. Ćwierćdolarówki, dziesięciocentówki i pięciocentówki umknęły w różnych kierunkach, głównie pod samochód. „Cholera!” – mruknęła i kucnęła, żeby zebrać monety. Nagle przed jej oczami pojawiła się para adidasów. Uniosła głowę, żeby sprawdzić, do kogo należą.

Ich właściciel też się schylił i pomógł zebrać pieniądze. Następnie wręczył to, co znalazł.

– Myślę, że to wszystko. Nie, proszę poczekać. – Sięgnął pod auto i wyciągnął stamtąd ćwierćdolarówkę. I dodał: – To mi przypomina dowcip, który opowiadała mi matka.

– To znaczy?

– Facet jest w klozecie. Gdy wstaje, wpada do muszli pięćdziesiąt centów. Więc wyjmuje portfel i dorzuca banknot pięciodolarowy.

– No i na czym ten dowcip polega?

– No, że nie zlezie do dziury za pół dolara.

– Mój ojciec opowiadał mi ten sam dowcip, tylko wtedy stawka była niższa.

– Skutki inflacji – wyjaśnił Charlie z kamienną twarzą. I dodał: – Nazywam się Worth, ale to chyba pani już wie.

Maggie roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę.

– Maggie Green. – Dostrzegła, jak jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. – Tak, jestem córką Joego Greena.

– No coś podobnego! A ja akurat piszę kawałek na temat Hawke's Cove i zastanawiałem się, czy on zechce ze mną porozmawiać.

Z wieżyczki straży pożarnej rozległ się dzwonek zwiastujący południe. Maggie wpadła w popłoch.

– A niech to szlag, spóźnię się do okienka! W sobotę pocztę zamykają o dwunastej!

Rozdział 10

CHARLIE

Maggie zniknęła, a Charlie stał jak wryty na chodniku, zastanawiając się, o co dokładnie chciał ją zapytać, choć jedno wiedział na pewno – że pragnął ją zaprosić na lunch.

Odkrył przy okazji, że knajpka U Lindy była na tym półwyspie jedyną restauracją, jeśli nie liczyć kiosku z hot dogami tuż u wejścia na plażę publiczną, zamkniętego teraz na cztery spusty, ponieważ był dopiero kwiecień. Gdy Maggie z uśmiechem triumfu na ustach wróciła z poczty, chętnie przyjęła jego zaproszenie i pierwsza ruszyła do kafejki po przeciwnej stronie ulicy.

– Czyli jesteś tutaj po raz pierwszy, zgadza się?

– Tak. Właśnie dziś rano dumiałem na werandzie, dlaczego tak się stało. Wydaje się logicznie, że powinniśmy tutaj bywać jako dzieci. To miejsce jest bardzo ważne dla mojej matki. – Charlie trzymał pod światło szklanekę z wodą przyniesioną mu przez kelnerkę i gdy nią kręcił, na ścianach ukazywały się dziesiątki zajączków; promienie słoneczne przeciskające się przez zasłony załamywały się na rysach powstałych na naczyniu wskutek wielokrotnego zmywania.

– Wyjechała stąd i nigdy więcej nie wróciła.

– Czy wyjaśniała, dlaczego tak zrobiła? Przecież ta farma stale krążyła w jej wyobraźni. Jej poezja, zwłaszcza w trzecim zbiorze, jest nią wypełniona.

Charlie zarumienił się z zadowolenia.

– Doskonale znasz jej twórczość...

– Tak, bo ją uwielbiam. Tryskają z niej uczucia. Tęsknota, lęk, samotność, oczekiwanie... I jest zdecydowanie erotyczna, szczególnie w najnowszym tomiku.

Teraz Charlie po prostu oblał się pąsem od czoła do szyi, wystającej spod kołnierzyka koszulki polo.

– Muszę przyznać ze wstydem, że przeczytałem niewiele wierszy matki. Chyba mi trochę głupio. Matka nie powinna pisać erotyków grubo po siedemdziesiątce.

Maggie wybuchnęła śmiechem.

– Hej, a ile trzeba mieć lat, żeby świadomie – podkreślam – świadomie się tego wyrzec?

– Czasami jesteśmy do tego zmuszeni. – Charlie też się uśmiechnął, by pokryć rumieniec zażenowania. – Wiesz, o czym mówię.

Maggie uniosła palec serdeczny, już bez obrączki.

– Wiem.

Ich rozmowa zaczęła zmierzać w stronę wyznań, które nie powinny mieć miejsca w trakcie zawierania znajomości, więc Charlie szybko skierował ją na sprawę Hawke's Cove.

– A zatem mieszkasz tu na stałe?

Jego towarzyszka pokręciła głową i opowiedziała, jak sobie teraz urządziła życie.

– Ale byłabym zachwycona, gdybym mogła się tu osiedlić. Świetnie mi tu było dorastać. Oczywiście, gdy moi rodzice się rozstali, zamieszkałam w Quincy. I tam chodziłam do gimnazjum. Niemniej w sercu pozostałam lokalną patriotką.

Kelnerka przyniosła im zamówione dania. Maggie przyprawiła sałatę odrobiną oliwy i octu i uniosła z dezaprobatą brew na widok hamburgera z frytkami na talerzu Charliego.

– Złota jesień życia jest zdecydowanie przereklamowana. – Charlie posolił frytki. – Czyli rodzice rozeszli się po śmierci twego brata?

– Jakiś rok później.

– Przykro mi.

Zawstydził się tego oklepanego zwrotu i pożałował, że nawija jak reporter. Bo od razu polubił Maggie Green. Najpierw więc nabił na widelec duży kęs hamburgera, a dopiero potem postanowił zadać następne pytanie.

Przeżuwając, patrzył, jak Maggie kroi dużą porcję sałaty na mniejsze kawałki.

Nie zdążył jednak przełknąć, gdy dziewczyna zaskoczyła go pytaniem.

– Opowiedz więc o sobie. Czego się dowiedziałeś? – Maggie odsunęła zasłonkę, żeby rzucić okiem na wrak hellcata. – Słyszałam, że chcesz znaleźć pilota. – Popatrzyła na niego z wyrazem niewinnego zaciekawienia. Była dość rozbawiona pomysłem odszukania kogoś, kto nie dość, że przeżył katastrofę, to jeszcze mieszkał tu przez całe lata. Wcale jej to nie niepokoiło.

– Na razie niczego interesującego. Moje tropy mają już pół wieku.

- Powinieneś pogadać z moim ojcem. On tu wtedy był.
- Strasznie chciałbym z nim porozmawiać. – Charlie poczuł, że zdradziecki rumieniec znowu wypełza na jego policzki. Doszedł do wniosku, że nigdy nie będzie z niego rasowy reporter.
- Po lunchu, za który na kategoriyczne żądanie Maggie zapłacili po połowie, poszli na molo, żeby jeszcze raz przyjrzeć się hellcatowi. Z cichym przyzwoleniem Steve'a Westa wskoczyli na barcę i obeszlį wrak maszyny, która śmierdziała wodorostami i zdychającymi żyjątkami morskimi; zdaniem Maggie był to zapach odpływu.
- Czy można coś wywnioskować na podstawie obejrzenia samolotu?
- Nie. Bo brakuje szkieletu przy sterach, ubranego w resztki skórzanej kurtki i strzępy apaszki na szyi.
- No więc jak ten pilot dopłynął do brzegu? I dlaczego pozostał w Hawke's Cove?
- To przecież mała miejscina.
- Pewnie właśnie dlatego to zrobił. Jeżeli rzeczywiście tak postąpił. Ale nie mamy na to żadnego dowodu. – Wyciągnął rękę, żeby pomóc Maggie zejść z barki. – To dziwna historia, dlatego mnie tu sprowadziła.
- I bardzo dobrze. – Maggie nie puściła jego dłoni/ oboje nie stanęli na twardym gruncie.
- Maggie, mam fotografię, którą chciałbym pokazać twemu ojcu.
- No to pokażesz ją dziś wieczorem przy kolacji. – Ma zaczęła grzebać w torebce, szukając kluczyków samochodowych. – To zaproszenie.
- Świetnie. – Charlie poczuł, jak się uśmiecha.

Rozdział 11

JOE

Niekiedy upajał się wspomnieniami, zwłaszcza gdy jakiś utwór muzyczny przypominał mu dawne emocje. Czasami odczuwał ogromne pragnienie zatelefonowania do niej. „Hej, czy pamiętasz tę noc, gdy staliśmy pod rozgwieżdżonym niebem i uczyłem cię nazw konstelacji? Nasze ciała tak blisko siebie, a jednak takie niewinne. Czy kiedykolwiek myślałaś o tej chwili w stodole, kiedy trzymałem cię w ramionach, a ty oparłaś głowę na mojej piersi? Zła na mnie. Potrzebująca mej obecności. I, Vangie, czy przypominasz sobie, jak nasze dłonie pozostały splecione, gdy ciała odsunęły się od siebie?”. Jednakże nigdy nie zadzwonił.

Joe odczekał, aż przebrzmi ostatni akord muzyki nadającej ciepłą tonację jego wspomnieniom, i dopiero wtedy zatrzymał odtwarzacz kompaktowy. Kłopot polegał na tym, że miał za dużo wolnego czasu. Zajęcie w kinie wypełniało tylko wieczory, a filmy zbyt natrętnie przypominały o wszystkich tych romantycznych planach, które miał zrealizować w swoim długim życiu. Zabijał więc czas drobnymi sprawami – reperacjami w domu, uprawą ogródka, sprzątaniami w wielkich domach letniskowych, które wyrosły na dawnych pastwiskach. Gdy Maggie wróciła, puste domostwo stało się dla niego jeszcze bardziej uciążliwe, bo dziewczyna ciągle wpadała i wypadła – na spotkanie w jakiejś grupie, na zajęcia z czegoś francuskiego, mówiła na to *jad du jour*. Kiedy mieszkała w Bostonie, było mu łatwiej, ponieważ z niczym nie porównywał swojego życia na jałowym biegu. Mógł sobie siedzieć i słuchać muzyki bez poczucia winy, że marnuje czas, którego miał w nadmiarze. Usłyszał, że mazda podjeżdża pod dom ścieżką wysypaną muszelkami, i szybko zdjął płytę z odtwarzacza. Maggie zawsze go strofowała, że nie chowa płyt do pudełka.

Patrząc przez okno w saloniku, spostrzegł, jak Maggie wskakiwała po kilka stopni naraz, więc natychmiast się domyślił, że pała żądzą zrelacjonowania mu jakichś nowin.

– Hej, tato! – Maggie wbiegła, rzucając torbę na krzesło i robiąc dramatyczną minę, którą znał od jej szczenięcych lat. – Zgadnij, z kim jadłam dziś lunch?

Joe uśmiechnął się i udawał głębokie zastanowienie.

– Hmm, ja zjadłem sałatkę z tuńczyka w kuchni, więc z pewnością nie chodzi o mnie. – Poglądził się po brodzie. – Poddaję się. Z kim?

– Z Charliem Worthem.

Poczuł dreszcz niepokoju. Głęboko popatrzył córce w oczy, badając wzrokiem, czy nie ujrzy w nich cienia podejrzenia, ale niczego takiego nie zauważył. Jej oczy błyszczały, a na policzkach wystąpiły kolory – widok nieznany mu od miesięcy.

Położył rękę na głowie dziewczyny. Jego złe przeczucia kolidowały z jej niewątpliwą radością.

– Zaprosiłam go do nas na kolację. Przeszedł go drugi, silniejszy dreszcz.

Joe Green usiadł na jedynej w parku ławce, z której rozciągał się widok na zatokę Hawke's Cove. Amatorzy ryb cierpliwie czekali przy zarzuconych wędkach, z nadzieją wypatrując zdobyczy. Joe widział, jak w wodzie aż się gotowało, ryby brały przynętę. Obserwując wędkarzy, pomyślał o Erniem. Gdy kumpel przyjeżdżał z Florydy, wspólne połowy były ich ukochaną rozrywką. Przez wiele bezgwiezdnych nocy obaj stali obok siebie w wysokich kaloszach, zarzucając wędki w bezkres niewidzialnego oceanu. I czekali, aż się poruszy spławik. Na ogół wyrzucali to, co złowili. Nigdy nie patrzyli na zegarki, nigdy nie zważali na porę, ale jakby się umawiając, zarzucali wędkę po raz ostatni i potem siedzieli w półciążarówce Joego, popijając z termosu letnią kawę i zagryzając kanapkami, które przedtem kupili na targu.

Joe uprzytomnił sobie z żalem, że gdyby Ernie był tu dziś, wybraliby się gdzieś nocą. Czuli ściskanie w dołku na myśl o kolacji w towarzystwie Charliego Wortha.

Z jaką ulgą mógłby zakomunikować, że wybiera się z przyjacielem na ryby! Miałby przy okazji na czym się skupić, co zaplanować. Przyszłość okazałaby się pełna wrażeń.

W takie noce Ernie i on odzywali się do siebie półgębkiem. Ale kiedy pragnęli porozmawiać, to mówili. A Joe właśnie chciał mieć kogoś takiego u boku, by rozmawiać z nim, kiedy czuje się prawdziwą potrzebę wymiany opinii. Vangie. O, z nią powinien porozmawiać. Ale nawet

nie znał jej numeru telefonu. I co niby miałby powiedzieć: „Cześć, przekonaj swego syna, żeby nie przychodził do nas na kolację?”. Nie. To była jego sprawa. Jego tajemnica. Nie ich. Oni mieli co innego w głowie.

Wrak F6F zachwiał się na barce. Ci, co go wyciągnęli, ustawili go na podwoziu, a skrzydła podparli kołkami. Pojedynczy silnik był czarny od korozji, więc tabliczki znamionowe stały się nieczytelne. Samolot w tym stanie był dla niego czymś zupełnie obcym, nie przypominał sobie nawet numerów, jednakże ręce pamiętały drążki sterów. A nozdrza – odór palącej się benzyny, gdy maszyna stanęła w ogniu.

Siedząc w ciepłym kwietniowym słońcu, osłonięty ścianą sosen od rześkiej południowozachodniej bryzy znad oceanu, zmusił się, by dokładnie odtworzyć moment lądowania awaryjnego na twardej jak asfalt wodzie. Kręgosłup mało mu wtedy nie pękł. Z dużej wysokości szarzielone wody Atlantyku wydawały się niemal macierzyńsko miękkie, łagodne. Pamiętał, że tuż nad samą powierzchnią resztką sił wzniósł się, próbując rozbić lustro wody ogonem, by osłabić siłę uderzenia kokpitem. Zamknął teraz oczy i ujrzał, jak pociągnął rączkę uwalniającą ponton i jak nadyma się kamizelka ratunkowa. Był zmierzch, zapadał zmrok, a nowa warstwa chmur zakryła resztki zachodzącego słońca. Zbierało się na deszcz, i tak się zaczęła najdłuższa noc jego życia.

– Tato?

– Maggie. Hej. Rozkoszowałem się słońcem. – Joe poklepał miejsce obok siebie, zapraszając córkę, by siadła. Ucieszył się, że jej nadejście przerwało rozmyślenia, które mogłyby prowadzić nie wiadomo dokąd. Znowu był tu i teraz.

Koło Maggie. – Przysiadź na chwilę.

– Nie mogę. Muszę przygotować lasagne i chcę upiec dla nas chleb.

– Bardzo się starasz, co?

– Tato. – Tym jednym słowem przypomniała mu, jak będąc nastolatką, broniła swojej niezależności, kiedy robił jej jakieś uwagi.

W milczeniu zerknął na córkę, wciąż zaskoczony jej urodą. Wyrosła na taką dorodną kobietę. Wysoka, pewna siebie, gustownie ubrana, ale bez niewolniczego hołdowania modzie, Maggie Green wolna od drugiego członu nazwiska, Chofsky, była jego największym osiągnięciem. I takim, które po nim zostanie.

– Jaki jest ten Charlie?

– Wygadany, z poczuciem humoru.

– To w tym podobny do matki.

– Nie wiem, tato. Sam ocenisz dzisiaj wieczorem.

A jak ty mnie ocenisz dzisiaj wieczorem? Czy kiedykolwiek będę w twoich oczach taki sam jak dawniej?

– Widzisz ten samolot?

Kiwnęła głową, wiodąc oczami za palcem wskazującym ojca.

– No więc jest coś takiego, o czym powinnaś wiedzieć. Maggie położyła dłoń na ramieniu ojca i lekko je ścisnęła.

– Tato, może opowiesz nam o tym obojgu w trakcie kolacji? Jeśli zaraz nie wrócę do domu, nie zdążę jej przygotować do północy.

Nauczka.

– No dobrze, poczekam. – Czekałem już tyle lat.

Jeszcze długo po odejściu córki Joe czuł jej obecność obok siebie. Został sam na ławce. Kiedy poprosiła, żeby wrócił z nią do domu, wyraźnie zwlekał, nie chcąc ulec zbyt szybko. Zamyślił się nad losem rodzica, z jego nieodłącznym utyskiwaniem na złe towarzystwo, jakim dziecko się otacza, na późne powroty do domu. Potem zmartwił się na myśl, że i ona może mieć mu za złe różne nawyki. Na szczęście trzy dni, jakie Maggie spędzała w Bostonie, pomagały im w zachowaniu kompromisu.

Teraz nie mógł wręcz wyobrazić sobie dnia, w którym znów by się wyprawiała.

Ale przecież w każdej chwili może się pojawić ktoś, kto da jej to, czego ojciec dać jej nie może. Oczywiście, zawsze istniała możliwość, że on sam niedługo umrze. Z każdym mijającym rokiem widział, jak topnieje garstka jego rówieśników.

Jeśli nie umiera, to usuwa się z życia. Jak Judy, ofiara wieku starczego. Hellcat dygotał leciutko na uwięzi. Promyk słońca odbijający się od lustra wody oświetlił jakąś jego część, cudem nieskorodowaną. Joe utkwiał wzrok w tym punkcie.

Czterdzieści dziewięć lat temu poderwał ten samolot w powietrze. Leciał nim coraz wyżej i wyżej, spoglądając w dół na ten dziwny skrawek łądy zwany Hawke's Cove, a potem na ogromną przestrzeń Atlantyku. Czterdzieści dziewięć lat temu spadł z nieba do wody i wynurzył się z niej jako Joe Green. Na to wspomnienie jego ręce zacisnęły się instynktownie na nieistniejącym drążku. Aż zabolaty, więc zerknął na nie, za-

skoczony widokiem pomarszczonej, starczej skóry. Te ręce prowadziły samolot, doły mnóstwo krów, trzymały małe dzieci. Teraz stare, w młodości dotykały miękkich policzków Evangeline Worth.

Gdzieś pod Chicago widniał napis na pustym grobie. Wyobrażał sobie, że wyryto na nim jedynie: Spencer J. Buchanan, 1915-1944. Poległ w służbie krajowi. To już na zawsze pozostanie kłamstwem.

Joe Green przyszedł na świat w 1944 roku.

Rozdział 12

JOE

Siedzę na ławce w parku, skąd dokładnie widzę wrak samolotu, który mnie tu przywiódł. Popołudniowe słońce grzeje w kark, więc przynajmniej nie jest mi zimno. Z daleka dostrzegam przynajmniej sześcioro moich dobrych znajomych.

Zaglądamy do sklepów, w których jestem klientem od... Ile to lat minęło? Będzie

już prawie pół wieku. W tamtej kafejce moi kompani przeglądają gazety i zastanawiają się, dlaczego się jeszcze nie pokazałem. Przez dziesięć lat byłem tu radnym, pracując w jedynym w całym miasteczku domu wzniesionym z cegły – ratuszu z wielkim zegarem, zainstalowanym nad drzwiami wejściowymi. Ten zegar nie chodzi, zresztą nigdy nie działał. Siedzę sobie na tej ławce, podczas gdy moja piękna córka przygotowuje kolację, którą poczęstuje syna największej miłości mojego życia.

Czasami, kiedy daję się ponieść przemożnym marzeniom, mam ciągle wrażenie, że spadam. Całe moje życie, jak mi się wydaje, było ciągłym upadkiem. Spadłem Sylwestrowi Feeneyowi z nieba, podejmując u niego pracę. Wpadłem w rozpacz, kiedy go zabito. Spadłem z samolotem; ziemia usunęła mi się spod nóg, gdy się zakochałem. Niektórzy ludzie planują swoje życie albo przynajmniej widzą je w jakichś zarysach. Ale nie ja. Ja po prostu spadam.

I teraz czuję, że wpadam w przepaść bez dna. Nie mam pojęcia, jak i gdzie wyląduję, gdy Charlie Worth i Maggie Green dojdą do nieuniknionych wniosków.

Powinienem się z nimi spotkać i opowiedzieć, jak to się stało, że zostałem tym, kim jestem.

Wzburzony ocean robił wrażenie miękkiego, łagodnego żywiołu. To był mój pierwszy lot ćwiczebny po tamtym wypadku. Wypadku. Cóż za wdzięczne słowo określające niewdzięczne wydarzenie. Był to pierwszy lot od czasu, gdy zestrzeliłem kolegę lotnika w chwili kompletnego rozkojarzenia. On nie powinien był znaleźć się tam, gdzie leciał. Nie wolno mu było przeciąć mi drogi w pełnym słońcu. On nie powinien... ale był młodziutkim chłopcem – takim, o których tutaj się mawia, że

mają jeszcze wilgotno za uszami. Wojna ciągnęła się wtedy latami i piloci, których nam przysyłano w miejsce poległych, byli nerwowi, nie-doświadczeni. Ale ja nie byłem prawiczkim. Przeciwnie, miałem już swoje lata, przeżywali mnie „Dziadek”. Dwadzieścia dziewięć lat. Na wojnie to bardzo zaawansowany wiek.

Teraz mam siedemdziesiąt osiem i czuję się młodziej niż wtedy. Byłem twardy, doświadczony, odporny. Strzelałem do cienia przed sobą bez chwili zastanowienia.

Koncentrowałem się fizycznie. Najpierw działaj, potem zadawaj pytania.

Zniżyłem się nad wodami Hawke's Cove i zrobiłem to, do czego nie byłem zdolny przez cały czas rekonwalescencji po oparzeniach: począłem się zastanawiać nad swoimi ludzkimi cechami. Ale czułem dokładnie tak samo. Początkową reakcją na mój błąd nie był żal, lecz gniew. „Pierdolony idiota!” – wrzeszczałem przez radio.

W ciągu paru sekund samolot, którego się spodziewałam za sobą, przeciął mi drogę.

To wszystko, co sobie przypominałem z tamtego wydarzenia, gdy leciałem nad zatoką w pobliżu Hawke's Cove. Pamiętam, że pukałem wtedy palcem we wskaźnik ciśnienia oleju, niepokoiłem się jego spadkiem. Byłem wściekły.

Wtedy gdy zostałem zestrzelony, wróciłem po pewnym czasie do przytomności, czując okropny ból. I ten ból zajął wszystkie moje myśli. Nie myślałem ani o tym chłopcu, ani o swojej pomyłce aż do któregoś popołudnia, gdy siedziałem w szpitalnym solarium. Moje rany już się prawie zagoiły, w końcu nie były takie straszne, jak u innych pacjentów. Krzyż nadal mnie bolał po oparzeniach drugiego stopnia, ale z dłoni zdjęto mi bandaż. Nie przysparzały mi już więcej cierpień.

Pod koniec tygodnia miałem zostać przerzucony do Great Harbor na parę tygodni lotów ćwiczebnych przed powrotem na front. Jako doświadczony pilot byłem zbyt cenny, by siedzieć dłużej z założonymi rękami. Był kwiecień, ale nie taki jak tego roku. Deszczowy, zimny. Natomiast w solarium panowała wysoka temperatura.

– Porucznik Buchanan? – Podeszła do mnie para ludzi w średnim wieku. Mężczyzna trzymał w ręku kapelusz; zauważyłem, że jego palce zacisnęły się mocno na rondzie. Kobieta miała na sobie błękitny płaszcz i dopasowany kolorem kapelusik przyszpilony do czubka głowy otoczono-

nej siwymi lokami. Byli pewnie w wieku moich rodziców, około pięćdziesiątki. Na twarzach obojga wyraz żałoby towarzyszył jakimś niejasnym nadziejom. Facet przedstawił się, ale nie usłyszałem jego nazwiska. Miał ponury, monotony głos, mówił, jakby nie nabierając powietrza do płuc między zdaniami. Kobieta milczała, wpatrując się bacznie w moją twarz, jakby usiłowała ją zapamiętać.

Zbyt ciężko było mi wstać, więc tylko wyciągnąłem rękę. Zamrugali powiekami na widok moich blizn, zrostów, szram. On dotknął mej dłoni, nie mając odwagi jej uścisnąć. Ona nie próbowała nawet tego.

– Był pan z naszym synem, kiedy zginął. Poczulem, że spadam w przepaść.

– Z państwa synem? – Towarzyszyłem tylu lotnikom, którzy zginęli. Skąd miałem wiedzieć, o kogo im chodzi? I czego oni ode mnie chcą?

– Został zabity w tej samej misji, z której pan wyszedł ranny.

I nagle pojąłem, o którego z licznych chłopaków im chodzi. " Wrażenie spadania się wzmogło, obiema rękami przycisnąłem żołądek, żeby wstrzymać mdłości. Nie mogłem zmusić się do mówienia.

– Czy mógłby pan nam opowiedzieć, jak zginął? – Zrozumiałem, że nie mieli pojęcia o okolicznościach jego śmierci, nikt im tego nie zdradził. Przez krótką cudowną chwilę przemknęło mi przez myśl, że może byłem w błędzie. Może nie zestrzeliłem tego chłopca, może uległem złudzeniu. Choć przyniosło mi to ulgę, bardzo szybko uzmysłowiłem sobie, że niestety nie było to prawdą. Przecież odbyło się dochodzenie, młodzi i uprzejmi prawnicy wojskowi przesłuchiwali mnie, gdy leżałem obłożony gazą. Otrzymałem rozgrzeszenie. Czego więc chcą ode mnie ci bladzi, roztrzęsieni ludzie?

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu państwa straty.

– Czy on był dzielny? – odezwał się mężczyzna, jeszcze niższym i smutniejszym głosem niż poprzednio.

Przysunąłem się do niego.

– Zginął jak bohater.

– Dziękujemy panu. – Tym razem odezwała się kobieta, silnym, pełnym emocji głosem. – To był dobry chłopiec. Zawsze serdecznie odnosił się do rodziny. Nie byliśmy radzi, że wybrał latanie. Ale był uparty i zawsze robił to, czego pragnął. – Po jej pulchnym, miękkim policzku spłynęła łza.

– Tak mi przykro. – Nie mogłem spojrzeć im w oczy, pełen poczucia winy.

Odeszli bez słowa, a ja począłem się zastanawiać, jaką korzyść wynieśli ze spotkania ze mną. Teraz lepiej ich rozumiem. Po stracie Scotta.

Pewnego kwietniowego poranka wzięłem hellcata F6F produkcji zakładów Grummana na krótki lot ćwiczebny. Najpierw skierowałem się na północ, potem na wschód, planując zatoczyć krąg nad Hawke's Cove. Stamtąd mogłem wybrać różne korytarze powietrzne wzdłuż południowego wybrzeża. Miasteczko wyglądało z góry jak plansza do gry w monopole. Pastwiska zdały mi się kwadratami młodej, szmaragdowej zieleni, obrzeżonej murkami z szarego kamienia. W lasach widać było jasnozielone odrosty na ciemnozielonych sosnach. Pamiętam swój zachwyt nad krajobrazem, gdy wznosiłem się coraz wyżej, niemal zrównując się z niskim jeszcze o tej porze słońcem.

Przeświecało przez chmury, ukryte przed spojrzeniem ludzi poruszających się po ziemi.

Kiedy łagodne promienie słońca nad Atlantykiem zmusiły mnie do zmrużenia oczu, przypomniałem sobie oślepiające słońce na Pacyfiku. Odwracając głowę, uzmysłowiłem sobie nagle ogrom mego grzechu. Ten grzech polegał nie na tym, że przypadkowo zestrzeliłem chłopca, ale że tego nie odżałowałem. I ciągle nie przypominam sobie jego nazwiska. Tak przywykłem do bliskości śmierci, do zadawania jej, że zmieniłem się w potwora. Stałem się cynikiem przez wojnę i przez zadania, jakie kazano nam wykonywać. A przecież byłem chrześcijaninem, synem anglikańskiego pastora, członkiem chóru kościelnego od dziecka.

Przystępowałem do komunii tak często, jak tylko mogłem. Wierzyłem w Jezusa Chrystusa i w moc przebaczenia.

I wtedy, w tym kwietniowym słońcu, zacząłem drzeć. Dygotałem z coraz większego strachu, że stałem się tak cyniczny, iż nie ma już dla mnie nadziei. Do tamtej chwili nie przyszło mi do głowy, aby błagać o przebaczenie Boga lub rodziców chłopaka, ponieważ uważałem, że w moim działaniu nie było grzechu. Jeśli marynarka wojenna oczyściła mnie z zarzutów, nie miałem powodów sądzić, że popełniłem grzeszny czyn.

Serce mi waliło, w głowie huczało, a zarazem bacznie kontrolowałem urządzenia pomiarowe, by wyczuć nieznaną jeszcze maszynę. O czym

myślałem, gdy go zestrzeliłem? O następnym punkcie do listy zwycięstw? Buchanan 39, Japońcy 0.

Moje ręce stały się mokre od potu, oddech chrapliwy.

Poziom paliwa spadł do zera. Pochyliłem się do przodu i ujrzałem dziób samolotu, z którego unosił się kłęb czarnego dymu. Roześmiałem się głośno. Świetnie. Teraz Bóg o wszystkim zdecyduje. Z pewnością zginę z grzechem w sercu.

Zrobiłem to wszystko, co doświadczony pilot powinien uczynić w tej sytuacji. Zgasilem silnik, podałem przez radio pozycję, próbowałem lotem ślizgowym podejść do lądowania na matczynej łagodnych falach, licząc w duchu, że nie roztrzaskam się na miliony kawałków.

Wyszło mi nawet całkiem nieźle. Samolot na tyle długo utrzymał się na powierzchni wody, że zdążyłem wyrzucić ponton i napompować kamizelkę ratunkową.

Głowa trochę krwawiła wskutek uderzenia o szybę, ale nawet nie miałem zawrotów.

Odpłynąłem nieco od hellcata, posługując się małymi wiosłami; czułem się niemal jak dziecko bawiące się w wannie. Stopniowo maszyna zapadała się w wodę, aż wkrótce zniknęła w głębinie.

Matczyne fale nie były już tak łagodne. Sztorm, który rozpoczął się na początku tamtego tygodnia, ciągle objawiał swą moc, a ja musiałem z całej siły wiosłować, żeby prąd mnie nie poniósł. Widziałem ład, a raczej wąski, ciemny pasek na horyzoncie. Zapadł zmierzch. Szybko nastały ciemności, co było spowodowane niskim pułapem chmur. Wiedziałem, że za kilka minut nie dostrzeże mnie żaden samolot zwiadowczy. Na dodatek zaczęło mżyć. Pomyślałem sobie, że nagła śmierć jest zbyt blisko, by się o nią dopraszać. Spotyka mnie odpowiednia kara.

Zacząłem wiosłować ile sił, prosząc zarazem: „Panie Boże, daj mi szansę. Jeszcze jedną szansę, bym znów stał się człowiekiem”. Modlitwa stała się litanią, którą powtarzałem bez wytchnienia, aż ból ramion zaczął palić mnie żywym ogniem, a wszelka nadzieja na uratowanie zgasła.

Nie mogłem sobie uprzytomnić, gdzie się znajdowałem. W ciemności orientowałem się tylko, że ponton opada i wznosi się na falach. Nie wiedziałem, czy płynę w jakimś kierunku, czy rzuca mną jak piłką. Byłem przekonany, że fale pchają mnie coraz bardziej w głąb oceanu. Nie potrafiłem już walczyć z własnym wyczerpaniem i zdawałem sobie

sprawę, że chwilami zapadałem w jakiś letarg. Teraz uważam, że ocalił mnie przyływ, który pchał ponton w stronę lądu. Przez chwilę niebo odrobinę pojaśniało. Popelnilem niemal fatalny w skutkach bład, gdy stanąłem na mojej tratwie, by sprawdzić, czy ujrzę przed sobą skrawaj, , Fala natychmiast przewróciła ponton do góry dnem. Zaplątałem się w liny i utkwilem pod wodą. Wyniósł, , nóż i próbowałem się uwolnić. Zmarznięta na kość i chybiła i przeciąłem gumę zamiast linek. Ponton, dotychczas utrzymujący się na wodzie, zamienił się w śmiertelną n i kę, która ciągnęła mnie na dno. Począłem już akcent – nieuchronność śmierci. Olśniło mnie, że łatwiej umrzeć, ..

walczyć. To – przemknęło mi przez myśl – byłoby i niż życie z grzechem.

Jednakże instynkt samozachowawczy okazał się sibi • od poczucia winy. Jakimś cudem zziębniętymi rękami macałem linkę i tym razem odciąłem ją jednym ?? , noża.

Kamizelka pomogła mi wynurzyć się na powieki • ale nowa fala niemal mnie znokoutowała. Niemniej poci • mnie na tyle blisko brzegu, że nagle pod stopami pościelił się piasek.

Upadłem jak długi na plaży. Wtedy przypomniałem w nazwisko tego chłopca, po tygodniach zupełnej ?? Joe Green. Gdy zapadłem w głęboki sen, prześladał

mnie koszmarne wspomnienia z fotograficzną dokładnością : Widziałem przed sobą jego twarz, uprzytomniłem sobie dla żartu przeżywalibyśmy go Giuseppe Verdi. Ostatnie jakie wypowiedziałem do niego, moja podświadomość dobieła na jaw w tym śnie:

– Hej, Giuseppe, postawię ci piwo, jeśli po tydzień • stracisz dziewictwo.

– Panie poruczniku, zgoda. Będzie mi pan winien • Wgramolił się do kokpitu z miną mającą świadczyć o H wadze. Głos mu drżał. Chłopak bał się jak diabli. Bęła pan winien.

Spencer Buchanan wpadł do morza. Wyłonił się • Joe Green.

Łomot bębnow i gitary basowej przywrócił mnie do domu. Czarne auto z zaciemnionymi szybami przemilo główną ulicą z radiem rozkręconym na cały reguiat.

pasażerowie chyba do reszty ogłuchli. Ławka staje się już za twarda dla starych kości, ale niespieszno mi ją opuścić. Hellcat siedzi na barce, jego skrzydła lekko podrygują, jak ostatnim razem, kiedy go widziałem.

Czy przesyła mi pozdrowienie? Loty turystyczne nie są odpowiednie dla takiego starca jak ja.

Obudziłem się po wielu godzinach na pół przysypany piaskiem i począłem się zastanawiać nad dalszymi krokami. Nie. Właściwie wcale się nie zastanawiałem.

Postanowiłem, że nie wrócę. Nie pamiętam, abym przeprowadził walkę wewnętrzną w tej sprawie. Wyrzebałem się z piasku, doczołgałem do lasu i odkryłem nowe życie. Spotkałem Vangie. Krzywa stodoła z otwartymi na oścież wrotami wydawała się doskonałą kryjówką. Z ukrycia obserwowałem gospodarstwo. I ujrzałem ją.

Stała na schodkach ganku przy drzwiach kuchennych, jakby wypatrując kogoś. Do moich uszu doszło jej westchnienie, odgłos skrywanego nieszczęścia. Robiła tak każdej nocy. Patrzyłem na nią ze swojej kryjówki i zastanawiałem się, kogo wyczekuje, za kim wzdycha. Ukradłem resztki jedzenia ze śmietnika. Ściągnąłem ze sznura męskie ubranie. I wsłuchiwałem się w jej smutek, zakłócając jej prywatność.

Za dnia chowałem się w lasach, czasami zachodząc do miasteczka, żeby kupić za grosze bochenek czerstwego chleba, paczkę papierosów. W chwili katastrofy miałem w portfelu piętnaście dolarów. Zagrzebałem resztki munduru i kartę powołania, wsunąłem banknoty do kieszeni w dżinsach Johna Wortha. Pewnie przesąd kazał mi owinać blaszkę identyfikacyjną w chustkę i ukryć ją w rogu stodoły. To na wypadek, gdybym zmienił zdanie i się ujawnił. By dowieść, kim naprawdę byłem, choćby samemu sobie.

Gdy Vangie zaproponowała mi zajęcie, poczułem się tak, jakby Bóg darował mi winy.

To panie Ruth posłały mnie do niej.

– Pójdiesz do pani Worth. Jej na pewno przyda się pomoc. Tylko jej tego nie mów. – Cóż to były za cudowne istoty, jedna energiczna, druga łagodna.

– Stodoła wymaga remontu. – Vangie jakby na mnie czekała. Jakby spodziewała się mego przyjścia.

Blanche DuBois z Tramwaju zwanego pożądaniem ujęła to najlepiej: „Zawsze polegałam na serdeczności obcych”. Albo coś w tym rodzaju. Wydaje się, że przetrwałem większość życia dzięki milczeniu innych.

Ernie Dubee udawał, że patrzy w inną stronę, gdy się pojawiłem w miasteczku.

Miał wszelkie powody do podejrzeń wobec obcego w takiej małej miejscinie, ale coś, jakieś ludzkie uczucia w nim, wstrzymało go od pościgu za mną. Nigdy mnie o nic nie zapytał. Ja nigdy nie puściłem pary z ust. Czuliśmy jakąś tajemniczą wspólnotę, czuwała nad nami ręka opatrności na tym niewielkim półwyspie.

Różnica polegała na tym, że on się tam urodził, a ja – odrodziłem.

Podrobiłem skradzione świadectwo chrztu i zmieniłem nazwisko dziecka na „Joe Green”. Płakałem, gdy fałszowałem podpis mego ojca. Byłem świadomy krzywdy, jaką wyrządzam rodzicom, a zarazem wiedziałem, że już nigdy nie wrócę do domu rodzinnego.

Sylvester Feeney musiał mieć podejrzenia co do mnie. Zdolny do służby młody mężczyzna pojawia się znikąd. Jednak nigdy o nic nie zapytał. Jak prawdziwy jankes, który nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.

Jak długo dobrze pracowałem za

dniówkę, którą mi wypłacał, był zadowolony. A ja go lubiłem. Żałowałem go, gdy zmarł nagle na siodełku swojego starego traktora. A jeszcze bardziej było mi przykro, gdy jego dzieci sprzedały farmę pod budowę domów dla letników.

Judy Frick z pewnością musiała coś wyniuchać. Usiłowała ode mnie wymóc wyznania.

„Joe Green, skąd jesteś?” – zapytywała nagle w czasie gry w karty.

„Stąd, proszę pani” – odpowiadałem zawsze. Jediną wskazówką świadczącą o tym, że coś wiedziała lub czegoś się domyślała, była jej uwaga w dniu, gdy skłoniła mnie do poślubienia Denise:

– Nie możesz spędzić reszty życia, czekając na kogoś, kto nie wróci.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Joe, ona odjechała. A ty się nigdy stąd nie ruszysz. Zaslugujesz na porządne życie, a z Denise będziesz takie miał. Może nie jest ona tą, której pragniesz, ale ożenek jest lepszy niż samotne życie.

Jeśli Judy Frick odkryła moje uczucie do Vangie, co jeszcze o mnie wiedziała?

Skąd jej pewność, że nigdy stąd nie odejdę? Oczywiście, Judy myliła się co do pożycia z Denise. To ja uczyniłem koszmar z naszego związku. Kiedy Denise chciała się wynieść z półwyspu, gdzie urodziła się i wychowała, ja się nie zgadzałem. Gdy błagała, aby wyjechać choć na wakacje, na parę dni do Bostonu, nie chciałem się ruszyć. Była taka młoda, kiedy się pobraliśmy; jestem pewien, że wyobrażała sobie, iż

bez trudu wydłubie mnie z Hawke's Cove. Judy miała rację w jednej sprawie: nigdy nie przekroczyłem zakreślonych granic. Nie pojechałem nawet, by pożegnać syna wyruszającego na wojnę. Nie przywiozłem jego zwłok tutaj.

I nie ruszyłem się stąd, żeby uratować resztki zdrowia psychicznego Denise.

Myślę, że nigdy nie przypuszczałem, iż ona znajduje się na skraju załamania nerwowego. W pewien sposób nigdy jej nie poznałem, w każdym razie tak jak mąż zna żonę. Sądziłem, że jest po prostu egoistyczna.

– Joe, proszę, nie mogę zostać ani chwili dłużej w miejscu, w którym wszyscy podchodzą do mnie i mówią, jak jest im przykro i jak bardzo ubolewają nad moją stratą. To sprawia, że czuję się tak, jakbym zawiniła, pozwalając Scottowi zgłosić się do wojska. Tak jakbym mogła się temu przeciwstawić.

– Denise, oni tylko pragną ci pomóc. O nic nas nie winią. Musisz zrozumieć, że miejscowi ludzie traktowali Scotta jak własnego syna.

– Ale on nie był ich synem, a oni nie mają prawa powtarzać, że wiedzą, co czuję.

Nikt tego nie wie.

– Denise, to nie jest prawda. – Powiniennem być ją pogłaskać, przytulić, ukołysać w ramionach, ale nie mogłem się na to zdobyć. Denise jakoś nie przychodziło do głowy, że Scott był również moim synem. Ból, jaki czułem, umiejscowił mi się w karku, którego nie potrafiłem zgiać. Miałem trudności z przełykaniem i czasami z bólu nie mogłem wręcz mówić. A moja żona upodobała sobie łóżko i tak rozpoczęła się jej pierwsza z urojonych chorób.

Judy. Ona była dla mnie wielką pociechą. Kiedy Scott zginął, Judy wpadała do nas regularnie i załatwiała dostawy prowiantu, żebyśmy nie jedli stale klusek i nie rezygnowali z mięsa. Wyciągnęła Denise z łóżka i ubrała ją na pogrzeb. Trzymała mnie, gdy płakałem, jak własnego krewnego.

– Joe, kochany. Ja już przez to przeszłam. Pozwól sobie na rozpacz, nie gryź się. Nie zwracaj uwagi na te wszystkie bzdury o mężczyznach, którzy nigdy nie płaczą.

Tuliła mnie do macierzyńskiej piersi, a ja zwierzałem się jej z bólu, nie umiając się nim dzielić z własną żoną.

– Czy chcesz, żebym zawiadomiła Vangie?

Nagle wypowiedzenie jej imienia w takiej chwili oderwało mnie od piersi Judy.

Och, mieć ją teraz przy sobie, móc z nią oplakiwać tę straszną wieść. Poczuć jej ramiona. Pokusa była strasznie silna. Na koniec jednak pokręciłem głową; nie należało jej stawiać w takiej trudnej sytuacji.

– Napiszę do niej, Judy. Nie chcę, aby było jej przykro, że nie jest tutaj z nami.

– Ona przyjedzie, przecież wiesz. Powtórzyłem:

– Nie chcę jej stawiać w kłopotliwej sytuacji. Judy pokiwała głową i wyciągnęła chusteczkę.

– Musiałam jednak zapytać cię o to.

Powinienem zapomnieć o moich fochach i odwiedzić Judy w Great Harbor, zanim będzie za późno.

Wysłałem list do Vangie wypełniony długimi zdaniem, w których wyrażałem moje cierpienie. Przed nikim tak się nie otworzyłem jak przed nią. Celowo nadałem go dopiero po pogrzebie, żeby nie walczyła ze sobą: przyjechać czy nie. Byłoby ponad moje siły, gdyby znalazła się tak blisko, a ja bym nie mógł nawet jej dotknąć. Nie chodziło mi o sprawy erotyczne. Ta strona naszego uczucia była tak słabo spenetrowana, że czasami wydawało mi się, iż tylko wyobrażałem sobie nasze zbliżenie. Nie, potrzebowałem jej przyjaznego dotyku. Takiego, jaki pamiętam, gdy opatrywała mi pęcherze na dłoniach albo gdy objęła mnie od tyłu, kiedy dołem krowy. Ten dotyk był dla nas czymś ważniejszym niż słowa. Pisząc ten list, zdawałem sobie sprawę, że z Vangie Worth byłem dużo bardziej związany niż kiedykolwiek z własną żoną. Vangie wiedziała o mnie wszystko. Niczego przed nią nie ukryłem.

Siedzę na ławce i obserwuję rybołowa jakby zawieszzonego w powietrzu nad zatoką.

Co za wspaniałe ptaki. Ludzie ze Stowarzyszenia Audubona kilka lat temu wbili wysokie pale, próbując zniechęcić rybołowy do zakładania gniazd na słupach telegraficznych. Ten pal najbliższy mnie wydał im się widać gościnnie, bo co roku przylatuje tu para i rozbudowuje gniazdo z poprzedniego sezonu. Z pogadanki, na którą wybrałem się parę lat temu, wynikało, że rybołowy czasami bawią się w dom przez jedno lato, nim osiadą w nim na stałe. Budują gniazdo i testują umiejętności partnera, zanim się zdecydują na trwały związek. Ludzie w sali parafial-

nej zaczęli chichotać, bo każdemu przyszedł do głowy porównanie z zachowaniem człowieka. A ja spoglądam na rybołowa i zastanawiam się, co on widzi, jaka jest jego perspektywa.

Hellcat trochę się trzęsie pod uderzeniami coraz silniejszego wiatru. Zaczynam odczuwać chłód. Jestem trochę przeziębiony. Powiniennem odsunąć od siebie troski i pomyśleć o radościach, jakich zaznałem z powodu katastrofy tego jednosilnikowego myśliwca. On zamienił się w kupę złomu, a ja? Doszedłem do wieku, w którym człowiek powinien zrobić rachunek sumienia ze swego życia i ogłosić werdykt. Czy dobrze je przeżyłem? Czy uczyniłem więcej dobra niż szkody? Macham do Craiga Collisona i uśmiecham się do siebie. No cóż, jeśli zagram sobie U's a Wonderful Life, to Craig i jego bliźniak Carl powinni podziękować losowi za to, że spadłem do morza. Gdyby tak się nie stało, pewnie sprawy ułożyłyby się dla nich zupełnie inaczej.

Po raz pierwszy ujrzałem Erniego Dubee w wyrobisku piachu, gdy wrzeszczał na dwóch chłopców, aby natychmiast rzucili boję, którą zawlekli na samą krawędź dołu głębokiego na dziesięć metrów. Zobaczyłem mężczyznę mniej więcej w moim wieku, który wydawał rozkazy, ale zarazem trochę śmiał się w duchu. Jeszcze zanim się odezwałem, dostrzegł mnie. Rozbawienie znikło z twarzy, a autorytet wzrósł, gdy stanął w rozkroku, z rękami na biodrach i prawą dłonią tuż przy kolbie rewolweru.

– ... dobry – rzekł, ale równie dobrze mogło to brzmieć „A kim, do diabła, jesteś?”. W tamtych czasach Ernie znał każdą istotę zamieszkałą na tym półwyspie.

– ... dobry. – Podeszedłem bliżej z lekko wytrzeszczonymi oczami, które w moim mniemaniu miały znamionować niewinność. – Trudno nie przyznać, że to bardzo atrakcyjne miejsce dla chłopców.

– Też tak myślę.

– Joe Green – przedstawiłem się, zanim zdążył o to zapytać. – Kempinuję tu.

– To jest ziemia należąca do miasta.

– Panie władzo, nie jestem włóczęgą – Byłem na tyle blisko, że widziałem jego odznakę. – Zamierzam się tu osiedlić.

– Czym się pan zajmuje?

Najbardziej wiarygodna odpowiedź powinna była brzmieć: „Jestem lotnikiem w marynarce wojennej, właśnie zwolnionym ze służby czynnej”.

Obawiałem się jednak podawać o sobie jakiegokolwiek informacje, które można łatwo sprawdzić. Odparłem więc:

' – Chwilowo nie mam stałego zatrudnienia. Ale jestem dobry w ciesielstwie. – Popatrzyłem na boję przywiązaną przez chłopców do drzewa. – Mógłbym ją odnieść na miejsce.

– Tym się zajmą chłopaki z patrolu drogowego. Czuję się trochę odepchnięty, ale nie dałem tego po sobie poznać.

– No to już pójdę.

– Green.

– Tak jest. – Moja wojskowa odpowiedź była wynikiem treningu.

– Proszę zajrzeć do Ruth Banks. Czasami potrzebny jest tam człowiek na dniówki.

– Dzięki.

Kilka tygodni później Ernie zwrócił się do mnie, bym mu pomógł odnaleźć chłopców, zaginionych od dobrych paru godzin. Trochę się tym niepokoiłem i żałowałem, że Vangie tak szybko zaproponowała moje usługi. Wyczuwałem, że Ernie korzystał z tej okazji, żeby mnie trochę wybadać. Zatrzymaliśmy się nad dołem. Zaniepokoił mnie widok zerwanej metalowej linki, sterczącej po drugiej stronie wyrobiska i gwałtowne szczekanie Pala z tylnego siedzenia auta policyjnego.

– Pal, cicho! – Ernie wysiadł i dał znać psu, żeby został w samochodzie.

– Szeffie, on coś czuje.

– Joe, to nie jest pies policyjny. Myśli, że wezmę go na spacer.

– Ernie, wypuść go.

Z wyraźnym sceptycyzmem Ernie kazał mu wysiąść. W ułamku sekundy ten niepozorny kundel podbiegł do dołu i zaczął grzebać w miejscu, gdzie piasek był wilgotny, ciemnopomarańczowy na tle suchej żółci. Pobiegłem po łopatę do baraczkę patrolu drogowego, a Ernie ruszył do miejsca, gdzie wyrobisko się osypało.

Kiedy wspominam tamto wydarzenie, najbardziej pamiętam Erniego i jego szeroki uśmiech, gdy ukazały się głowy obu chłopców. Dzieciaki kaszlały i prychały, ale tak naprawdę wyszły z tego bez szwanku.

Gdy zawieźliśmy chłopców do ich matki – kolejnej kobiety prowadzącej samotnie gospodarstwo domowe, Ernie wziął mnie do knajpki U Lindy. Usiadł na stołku i wręczył mi kartę dań.

– Ja stawiam. Zasłużyłeś sobie na lunch.

– Słuchaj, nie przesadzaj. Zresztą to przede wszystkim Pal zapracował na dobry posiłek.

Ernie złożył menu i wcisnął je do metalowej oprawki. Przejechał pięścią po policzku, po wargach.

– Joe, muszę się usprawiedliwić. W gruncie rzeczy nie sądziłem, że chłopakom grozi poważne niebezpieczeństwo. Zabrałem cię tam, bo chciałem dojść, kim właściwie jesteś. – Nie patrzył na mnie, gdy mówił te słowa. Wypowiadał je cicho, żeby inni bywalcy kafejki nie usłyszeli.

– Wiem. – Ja też złożyłem kartę i zatknąłem ją za drucianą oprawkę. – A więc czego chciałbyś się dowiedzieć?

– Już się dowiedziałem.

?

Myślę, że teraz mu w końcu powiem. Wszyscy się dowiedzą, więc nie byłoby fair, gdyby mój najlepszy przyjaciel usłyszał moją historię od innych. Przecież nie ulega wątpliwości, że Charlie Worth bez trudu złoży ją do kupy.

Czy żałuję swego czynu? Dezercji? To słowo, którego unikam nawet w myślach.

Dezertować. W Dniu Weterana, gdy schylamy głowy na cześć poległych bohaterów, jak bardzo chciałbym krzyknąć: „Hej, ludzie, ja tam też byłem”. Ale cóż, sam na własne życzenie skreśliłem się z listy asów. Nie. Dawno temu przestałem o tym myśleć. Prócz jednego dnia w roku, kiedy myśl ta towarzyszyła mi nawet wbrew mojej woli. Kiedy byłem harcmistrzem Scotta i staliśmy na baczność na tym cmentarzyku, wsłuchując się w odgłos werbla. To było trudne. Lata temu jakoś się w myślach rozgrzeszyłem. Przecież dałem z siebie wiele na służbie. Tak wiele, że straciłem poczucie człowieczeństwa.

Och, zastanawiam się niekiedy, co by było, gdybym wtedy wrócił. Gdybym przeżył kolejną turę. Kiedyś roztrząsałem myśl zostania pastorem, pójścia w ślady ojca i dziadka. Jednakże doświadczenia życiowe zniechęciły mnie do tego kroku; nie mógłbym uczciwie wykonywać obowiązków duchownego. Może studia humanistyczne dałyby mi możliwość nauczania. A może zostałbym dziennikarzem, jak Charlie.

No cóż, nie ma sensu rozmyślać, co by było, gdyby... Zostałem mleczarzem i codziennie udzielałem rozgrzeszenia pobitym butelkom oraz niezapłaconym rachunkom. Oddałem tej pracy rok życia, potem dwa, potem cztery. W sumie dwadzieścia lat dostaw mleka.

Taa, czasami marzyłem o odzyskaniu wolności. Teraz nawet częściej niż wtedy, gdy byłem młody. Chciałbym pojechać z Erniem na Florydę. Tyle jednak lat odgrywałem chorego na agorafobię, że już nie jestem pewien, czy mógłbym się stąd ruszyć.

Jak w baśni, nie mogę wyzwolić się od czarów, które sam na siebie rzuciłem.

Ale gdybym wreszcie wyjechał, ruszyłbym do Vangie.

Zamierzałem pojechać ze Scottem na przystanek autobusu. Najpierw jednak zatrzymałem się na stacji benzynowej, napełniłem bak, sprawdziłem olej i ciśnienie w oponach. Przetarłem wnętrze mokrą szmatą i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie umyć auta. Scott zawsze dbał o samochód od czasu, gdy mógł ode mnie dostać parę dolców za mycie. Widzę go teraz, masa rozczochranych blond włosów, przybrudzony podkoszulek i podarte dzwony. Przypominam sobie taką scenę – Maggie pojawia się gdzieś z prawej i zaczepia go: „Wcale mnie nie złapiesz”. Scott kieruje szlauch w jej stronę, ale ona ucieka, by za chwilę znów się pojawić w bezpiecznej odległości. Uwielbia brata. To widać na jej buzi pokrytej piegami. Ona jest podobna do mnie. Scott to cała matka.

Kiedy się urodził, pomyślałem, że może moje winy zostały odpuszczone. Patrzył na

mnie tymi swoimi oczkami, a ja ujrzałem wtedy twarz dobrotliwego i przebaczącego Boga. Może to maleństwo było powodem podjęcia tamtej decyzji.

Może przez cały czas było zapisane, że zostanę ojcem tego bobasa. O, jakże próżnym i głupim byłem człowiekiem!

Pragnąłem, by to on był powodem tamtej dezercji, ale w rzeczywistości stał się przyczyną mego ożenku z jego matką. Denise. Była bardzo ładna, bardzo młoda, a ja – podatny na jej wdzięki.

– Joe, rób ze mną, co chcesz. Pragnę cię kochać. – Mocno mnie pocałowała, igrała językiem w moich ustach. Wzięła mnie za rękę, położyła ją sobie na piersi.

Najstarszy trik pod słońcem.

Nie mam do niej pretensji. To znaczy ani za to, że mnie porzuciła, ani za to, że usidliła. Była córką rybaka i jego kobiety, widziała we mnie bezpieczeństwo i stałość. Może i ja tego się po niej spodziewałem. Poza

tym uwielbiała Hawke's Cove i nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek ze-
chce stąd wyjechać.

Gdy Denise zakomunikowała, że jest w ciąży, a Judy namówiła mnie,
żebym się z nią ożenił, zacząłem sobie wmawiać, że to, co się zdarzyło
między Vangie a mną, było tylko rezultatem naszej młodości, pożąda-
nia i niedostatku przeżyć erotycznych. Gorąco pragnąłem pomniejszyć
siłę tego uczucia. I może tak by się stało, czas by sprawił, że stopniowo
zapomnielibyśmy o sobie, zajęci życiem codziennym. Jednakże pisywa-
liśmy do siebie, czyli zamienialiśmy na słowa nasze najgorętsze przeży-
cia. Nie pozwoliliśmy im zgasnąć.

Denise nie miała szans, by skutecznie z nią rywalizować. I zdawała so-
bie z tego sprawę.

Po urodzeniu się Scotta gwałtownie zapragnąłem drugiego dziecka.
Chciałem powtórzyć to doświadczenie niczym niezmaconego szczęścia.
Denise nie dopuszczała takiej myśli. W jej pojęciu całe to doświadcze-
nie było po prostu straszne.

Ciągła zgaga, spuchnięte nogi, ciężki poród z powodu złego ułożenia
płodu – wszystko to nie było jej zdaniem warte powtórki.

– Kochanie, póki nie będziesz gotowa, obiecuję wstrzemięźliwość. –
Trzymałem Scotta w ramionach, nuciłem mu kołysanki, które – jak pa-
miętałem – mama śpiewała moim młodszym siostrzyczkom. „Kołysz
się, dziecino, kołysz... ". Och, ucisz się, moje serce.

Maggie, rezultat przypadku, złego zabezpieczenia, przygotowuje teraz
kolację dla syna Vangie. Moi kumple wychodzą od Lindy. Powinienem
być z nimi, zamiast siedzieć tu i rozmyślać nad przeszłością, która jawi
mi się, jak ten wrak starego samolotu. Obaj jesteśmy godni pożalowa-
nia.

Scott przed wyjazdem pucował auto. Maggie, która już wyrosła z dzie-
cięcych piegów, przyniosła mu lemoniadę. Tuż przed zgłoszeniem się
do wojska syn ściął włosy na zapałkę. Wyglądał jak ktoś obcy. Nie stra-
szył już siostry prysznicem ze szlauchu. A ja po raz pierwszy zrozumia-
łem, że miał być moją ostatnią ofiarą złożoną za odkupienie. Ukradłem
komuś życie i pogodziłem się z tym. Zdołałem zapomnieć, kim byłem i
w jaki sposób znalazłem się w Hawke's Cove. Miałem rodzinę, pracę,
należałem do wspólnoty ludzkiej.

Nazajutrz przekroczę most, odwieziemy Scotta do Great Harbor i tam wsadzimy go do autobusu. Ten autobus zdecyduje o jego przyszłości. Ta niemoralna wojna zakończy dzieło rozpoczęte przez inną wojnę. Oparłem się o pień dębu, ogarnięty paralizującym przeczuciem. Scott zmywał szlauchem resztki piany ze starego auta i popijał lemoniadę, którą trzymał w drugiej ręce. Próbowiałem go przekonać, żeby się nie zgłaszał do wojska.

Wylosował taki numer, że mogliby go nigdy nie wziąć. Miał doskonałe stopnie w college'u; wcale nie musiał obawiać się branki.

– Tato, to moja decyzja. Jeśli ty nie brałeś udziału w swojej wojnie, to nie znaczy, że... – Zamilkł. Kiedy myślę o tej rozmowie, słyszę tylko jego głos. Nie mogłem patrzeć mu w oczy.

Mocniej wsparłem się o pień dębu. I znowu poczułem, że spadam z nieba na ziemię.

Nasza czwórka jechała w milczeniu do Great Harbor. By podkreślić swoją dorosłość, Scott siadł z przodu, a matka z tyłu, obok zaskakująco cichej Maggie. Nawet widok wspaniałej czapli siwej na bagniskach pozostał bez komentarza.

Obudziłem się tego dnia, myśląc o moich rodzicach. Pamiętałem, jak odwozili mnie na dworzec. Ojciec sztywny w swej koloratce, matka delikatnie ocierająca zaczerwienioną skórę pod oczami. Jedyna uwaga, jaką rzucił mi ojciec, sugerowała, bym wziął pod uwagę odmowę służby wojskowej ze względów etycznych. Pamiętam, że rzuciłem mu spojrzenie pełne wzgardy, jakbym nie pojmował, o czym mówi. Wojna to zadawanie śmierci, ale zarazem ta wojna miała ocalić ludzkość. Ojciec pozwolił sobie na małą iskierkę nadziei, egoistycznej nadziei, wypowiedzianej niemal mimochodem.

– Dzięki, tato, ale muszę wziąć udział w wojnie, żeby szybciej się skończyła. – Stereotypowa, patriotyczna odpowiedź.

Tego ranka, gdy odwoziłem syna do autobusu, wyobrażałem sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdybym wtedy odpowiedział ojcu: „Taak, pomóż mi, tato”.

Kiedy wszedłem w zakręt, a potem wyjechałem na prostą drogę prowadzącą na most, czułem w sobie przytłaczający ciężar wyboru. To emocjonalne napięcie przemieniło się w fizyczne i nagle poczułem przemożny lęk, narastający w miarę zbliżania się do Great Harbor.

21 marca 1967 roku Najdroższa Vangie, Nie mogłem go – przewieźć na drugą stronę zatoki. Zatrzymałem auto i wysiadłem.

Scott też wysiadł, a Denise zaczęła jęczeć z tyłu: „ja nie mogę, nie mogę, synku...”. W żaden sposób nie potrafiłem wytłumaczyć swego zachowania.

Pozwoliłem im sądzić, że to agorafobia. Że wróciły dawne lęki. Moje dzieci dawno już zaakceptowały fakt, że nie mogę się ruszyć z Hawke's Cove. Nigdy mnie nie pytały dlaczego. Scott także o to nie spytał, chociaż pozostawiałem go własnemu losowi. A nie mogło mi przejść przez gardło, że to ze strachu, by mnie nie rozpoznano. Panika, że zatrzyma nas jakiś gliniarz i odkryje, iż nie mam prawa jazdy ani żadnych dokumentów. Niczego, co mogłoby potwierdzić, kim jestem. Ze w ogóle żyję. Vangie, w gruncie rzeczy chodziło jeszcze o coś innego. To, czego nie mogłem im wyznać, to moje głębokie przeświadczenie, iż Scott złoży ofiarę ze swego życia za to, że mnie się nieźle powiodło. Ja byłem Abrahamem, a on Izaakiem.

I tam, na poboczu szosy, Scott pozwolił, abym go mocno objął.

– Tato, będzie dobrze. Zatelefonuję. Tylko niech mała nie wchodzi do mojego pokoju.

Usiadł za kierownicą. Ja podszedłem do auta od jego strony i po raz ostatni wpatrzyłem się w twarz mego syna.

– Kocham cię, Scott. Jestem z ciebie dumny.

Nie wiem, czy to właśnie powiedziałem. Siedzę teraz i rozmyślam, że może gdybym zdecydował się przejechać ten most, on by żył.

Tkwię tutaj. Stary człowiek na zielonej ławce ogrodowej deliberujący nad swą przeszłością... Niezbyt często się w nią zagłębiam. Odkąd uciekłem ze stodoły Vangie, przeskoczyłem przez kamienny murek i schroniłem się do lasu, przywoływałem w pamięci każde czułe wspomnienie, żeby żadnego z nich nie utracić.

Przypominałem sobie o wydarzeniach, które jeszcze niezbyt mocno zakorzeniły się w mojej świadomości.

Życie jest jednak bezwzględne i codzienność stanowi naturalną zaporę oddzielającą pamięć od rzeczywistości. Stare wspomnienia się skrytalizowały, nowe do nich dołączyły. Prócz tych, które dotyczą moich dzieci, żadne z nich nie były mi tak drogie, jak wspomnienia o Vangie.

Nie wiem, co bym ze sobą zrobił, gdyby przestała do mnie pisać. Gdyby – mając ku temu wszelkie prawo – oświadczyła: „Nie. Daj mi spokój”.

30 sierpnia 1967 roku Najdroższy Joe, Jakże tęsknię za tym, by cię objąć i wziąć na siebie choćby część Twego bólu.

Tak jak Ty to kiedyś uczyniłeś dla mnie. Zastanawiałam się, czy lepiej – a raczej mniej okrutnie – jest stracić dziecko przy porodzie, czy na wojnie. Teraz wiem. Każdego dnia dziękuję Bogu, że Chanie jest zbyt młody na tę straszną wojnę.

Ilekcroć widzę jej przeciwników – zarośniętych młodych ludzi, trzymających transparenty, ze znaczkami narysowanymi na policzkach lub wyhaftowanymi na dzinsach, pokazuję im palcami znak pokoju, a oni wręczają mi kwiaty. Większość z nich to studenci, również moi. Inteligentni, bystrzy, sprawiedliwi. Nie sądzę, że masz rację, tłumacząc, iż Scott wstąpił do wojska dlatego, że ty z niego odszedłeś. On się nigdy Ciebie nie wstydził. Scott po prostu wybrał inną drogę życia – nie tę, która polega na sprzeciwie i wiecach pokojowych.

Powinieneś być z niego dumny. I z jego wyboru.

Słońce już prawie się schowało i teraz jest mi naprawdę zimno. Nadal jednak tu siedzę, nie chcąc zaprzestać wspomniania i powrotu do realnego świata. Chyba jestem zadowolony, że Maggie zignorowała moje prośby i zaprosiła do nas tego młodego człowieka. Syna Vangie.

Rozdział 13

CHARLIE

Charlie bez trudu odnalazł dom seniora w Great Harbor, tyle że dwa razy zawahał się przed wejściem doń. Nie mógł bowiem uwierzyć, że ten imponujący biały pałac był w istocie ośrodkiem opieki społecznej. Dom Żeglarza był dowodem na intuicję inwestora, który przewidział starzenie się społeczeństwa amerykańskiego.

Wzniesiony w latach czterdziestych XIX wieku jako instytut chorób tropikalnych, przechodził kolejne reinkarnacje; był prywatną szkołą, hotelem, rezydencją.

Teraz wrócił poniekąd do pierwotnego celu i dawnej nazwy, oferując wygodne warunki życia na parterze. Na pierwszym oraz drugim piętrze umieszczono chorych wymagających troskliwej opieki medycznej i pielęgniarstwa, poddasze natomiast służyło jako hospicjum. W miarę jak dusze wznosiły się coraz bliżej nieba, ich fizyczne powłoki również przenoszono na coraz wyższe piętra – oświadczyła Charliemu recepcjonistka.

Jadąc tu, rozmyślał o Maggie, po części z tego powodu, że zawsze lękał się tego miejsca, a po części z czystej przyjemności. Polubił ją za jej sposób bycia i poczucie humoru. Podobało mu się, że śmiała się z jego dowcipów, że reagowała na nie spontanicznie. A zwłaszcza odpowiadał mu fakt, że od razu coś ich ze sobą połączyło. Ich rodzice przecież się znali, przynajmniej kiedyś. Zganił się jednak w duchu za zbyt entuzjazm. W końcu jeden jedyny raz zjadł z Maggie lunch – to zbyt mało, by wyciągać dalekosiężne wnioski.

Kiedy w końcu pojął, że ten wielki biały dom to rzeczywiście cel jego wizyty, zaczął w myślach przeprowadzać porównania z ośrodkiem, w którym był umieszczony jego ojciec. Trzypiętrowy ceglany budynek mający wygląd szpitala dla psychicznie chorych z ubiegłego wieku, Dom Świętej Elżbiety, był bez wątpienia schludną placówką, z niezłą opieką fachową, ale panowała w nim zdecydowanie przygnębiająca atmosfera. Obsługa w fartuchach w kolorowe kwiatki nie starała się, by wprowadzić choć nieco pogody ducha. Pracowała na zmiany zgodnie z regulaminem, i tyle. Charlie, wchodząc tam, cierpiał już od progu, przy-

tłoczony nadmierną temperaturą, zaduchem. W korytarzu pacjenci snuli się na różnych podpórkach lub byli pchani na wózkach inwalidzkich; spod zbyt małych pledów wystawały białe skarpety. Gdy szedł do ojca, zawsze napotykał kogoś, kto starał się go dotknąć lub choćby się o niego otrzeć. Inni rytmicznie jęczeli lub wyplakiwali wizje zrodzone w niesprawnych umysłach. Gdyby Dante wyobraził sobie dom dla starców, to pewnie niewiele różniłby się od Domu Świętej Elżbiety.

Tutaj natomiast powietrze było czyste, a przez otwarte okno widać było port w Great Harbor skąpany w kwietniowym słońcu. Recepcjonistka z uśmiechem skierowała Charliego do pokoju Judy Frick.

Judy przeniosła się na parter Domu Żeglarza wkrótce po śmierci Teda. Żałowała jedynie, że miała spędzić resztę życia w Great Harbor. Jednakże widok z jej patia w czasie wiosny i lata wynagradzał stratę Hawke's Cove. Kilka ataków serca zmusiło ją do oszczędzania ciała, ale duch w niej się nie poddał. Judy nadal lubiła służyć radą wszystkim, którzy ją odwiedzali.

– Pani Frick?

– Charlie Worth? Wejź!

Charlie schylił się i ucałował pergaminowy policzek. Przytrzymała jego rękę.

– A więc pamięta mnie pani?

– Muszę przyznać, że trochę wyrosłeś od czasu, gdy cię widziałam po raz ostatni, ale niewiele się zmieniłeś. Nadal bardzo przypominasz ojca. Frickowie przyjeżdżali do Bostonu na ogół co dwa lata, chociaż w ciągu minionych dziesięciu lat pokazywali się tam rzadziej. Charlie nie spotkał się z nimi, gdy przybyli po raz ostatni; wówczas Ted poddał się operacji stawu biodrowego w jednym z renomowanych bostońskich szpitali, a Judy zatrzymała się u jego rodziców. To było jeszcze przed pierwszym wylewem ojca. Czy rzeczywiście tak bardzo jest do niego podobny?

– A poza tym, mój chłopcze, choć mam już dziewięćdziesiąt dwa lata, jeszcze głowa mi pracuje.

A zatem, dlaczego matka usiłowała mu wmówić, że Judy z pewnością nie przypomni sobie niczego istotnego? Niepojęte.

– Twoja mama zapowiedziała, że pewnie do mnie wpadniesz. Jesteś na tropie jakiejś zagadki...

- Nigdy jej nie mówiłem, że... – Charlie zamilkł z niezadowoloną miną.
- To ona tak to ujęła. Ja próbuję zlokalizować pilota hellcata.
- Wspomniała mi, że dano ci wariackie zadanie. Charlie uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- Mniejsza o to. Niemniej chciałbym zadać parę pytań, zgoda?
- Strzelaj.
- Czy jakiś obcy mężczyzna mógł się pojawić w Hawke's Cove i wtopić w otoczenie?
- To było dość proste.
- Sądziłem, że mieszkańcy Nowej Anglii z reguły są nieufni.
- Sam stąd pochodzisz. No, ale jesteś także dziennikarzem. My raczej nie zadajemy się z obcymi, prawda? Widzę sceptycyzm w twoich oczach. Myślisz pewnie: „Niekoniecznie”. Jesteśmy wścibscy. Roztrzaskamy cudze problemy, zwłaszcza jeśli ludzie, którzy je mają, nie są zbyt dyskretni. Ale jeżeli człowiek ciężko pracuje, nie stwarza swoim istnieniem kłopotów innym, sam decyduje o sobie, nikt się do niego nie wtrąca. Możemy się w głębi ducha zastanawiać, ale go nie wypytujemy. Właśnie to jest istotne: nie zadajemy pytań.
- Innymi słowy, uważa pani, że ten facet dotarł do brzegu i został między wami.
- Dotarł do jakiegoś brzegu. Ha. Nie. Nie wiem. – Judy wstała i podeszła do doniczki z fiołkiem afrykańskim. – Gdyby coś takiego się wydarzyło, jestem pewna, że mógłby żyć w spokoju w naszych okolicach. – Zerwała trzy zeschnięte listki.
- Zgodnie z raportem marynarki wojennej, przeprowadzono krótkie dochodzenie po zniknięciu pilota, ponieważ pewna młoda pielęgniarka utrzymywała, że natknęła się tu na niego. To znaczy, w Hawke's Cove. Z raportu niewiele wynikało, ale tego pilota, Spencera Buchanana, uznano za dezterera. To poważne oskarżenie w czasie wojny.
- Spencer Buchanan – powtórzyła Judy, wrzucając listki do kosza na śmieci. – Ładne nazwisko. Chyba irlandzkie.
- Ale z nikim się pani nie kojarzy.
- Charlie, gdybyś został deztererem, używałbyś własnego nazwiska?
- Pewnie bym wybrał jakieś pospolite, łatwe do zapamiętania. – Charlie bacznie przyglądał się Judy, która zacisnęła usta. – Może John Smith albo Joe Green.

Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

– Chciałbyś może napić się herbaty? Mogę zadzwonić, przyniosą dzbanek.

– Mam ze sobą fotografię, zechciałaby pani na nią zerknąć? Judy wzięła do rąk czarnobiałą odbitkę przedstawiającą zaginionego pilota – wykonany w atelier portret młodego mężczyzny z poważną miną, w mundurze i starannie nasadzonej czapce na głowie. Poprawiła na nosie okulary w stylowej przezroczystej oprawce, fantazyjnie wygiętej na końcach, i wpatrzyła się w twarz na zdjęciu. Przechyliła zdjęcie najpierw w stronę lampy, potem w stronę naturalnego światła od strony patia.

– Jak staroświecko tu wygląda. I jak młodo.

– Czy pani poznaje tego człowieka na fotografii?

– Nie.

Rozdział 14

JUDY

Każdy, kto był choć trochę bystry, mógł bez trudu zauważyć, że tych dwoje było w sobie zakochanych. Patrzyli na siebie zamglonymi oczami z takim oddaniem. Nie twierdzą, że coś złego robili. Nie. Byli wszakże młodzi, zdrowi i rozpaczliwie samotni.

Nie mówię też, że wiem z całą pewnością, iż Joe Green jest tym pilotem, który zdezerterował. Ale on tu wyskoczył nagle jak filip z konopi, nigdy nie wspomniał o swoich doświadczeniach wojennych, a przecież, mimo blizn na ciele, bez wątpienia wyglądał na człowieka zdolnego do służby wojskowej. Vangie też się tu pojawiła z ranami. Dużo czasu zajęło mi ustalenie, o co chodzi, ale od początku wiedziałam, że coś ją gryzło.

W każdym razie nie zapomnę dnia, w którym się spotkałyśmy. Ted od kilku tygodni pracował na farmie Baileya, więc wiedziałam, że ona tam jest. Przypominałam ją sobie jako chudą młodą pannicę. Ją i jej kuzyńców. Dość, że wpadłyśmy na siebie przy półce z pismami w sklepie samoobsługowym. Śmieszne, jak to się złożyło.

Gdybyśmy dosłownie się tam nie zderzyły, to pewnie nie zostałybyśmy przyjaciółkami. Jasne, że Vangie była młodzietka. Nie mogłabym być jej matką, ale od razu wyczułam, że potrzebuje trochę matkowania. Ja miałam wtedy pięćdziesiąt cztery lata. Już dobrze zaawansowany wiek średni. Tak, obecnie wiek średni trwa nie wiadomo dokąd. Nawet ja teraz nadal jestem w średnim wieku w oczach młodego pokolenia, które za nic nie chce dorosnąć.

Ale wówczas moje córki były ciągle nastolatkami, zwariowanymi na punkcie chłopaków, wciąż zmieniającymi fryzury, jęczącymi nad brakiem odpowiednich pantofli i sweterków. To wiek, w którym nie chce się mieć stale na głowie rodziców. Straciliśmy Teddy'ego wkrótce po przystąpieniu Ameryki do wojny. W 1944 roku mój syn skończyłby dwadzieścia trzy lata. Mój Boże, teraz miałby siedemdziesiąt dwa. Gdy poznałam Vangie, nie żył już od trzech lat, więc mogłam sobie pozwolić na zajęcie się jej cierpieniem, bo moje już się trochę wypaliło.

Wtedy już się jakoś pogodziłam ze światem. Natomiast Vangie Worth w moim mniemaniu tonęła. Nie mogłam się zorientować, co się z nią dzieje. Zachowywała się tak, jakby straciła męża, oplakując go na długo przed śmiercią.

Oczywiście, z czasem wszystko się wydało. Kogo tak naprawdę oplakiwała.

Kiedy Joe się pojawił... tak, właśnie tak, pojawił się... wszyscy od razu go polubili. Spokojny, grzeczny, ale bez przesadnej służalczości. Myśle, że przepadały za nim wszystkie kobiety, które wysłały synów na wojnę. Nawet panie Ruth, te stare bezdzietne paniusie, natychmiast wzięły go pod swoje skrzydła, a podejrzliwy Ernie Dubee uznał, że wątpliwości, jakie żywił wobec Joego, nie miały podstaw.

O, tak, Joe i Vangie. Każdy, kto miał oczy do patrzenia, od razu widział, że są w sobie zakochani. I walczyli z uczuciem! Spotykaliśmy się często – ja, Ted, Ernie, Vangie i Joe, i graliśmy w karty. Czasami się trochę wygłupialiśmy. Ale ci dwoje! Mój Boże, oni robili zasieki z drutu kolczastego przy wspólnym stole.

Ona mu wymyślała od niechlujów, gdy wracał z obory, on z kolei narzekał na jej gotowanie. I śmiali się w trakcie tych sprzeczek, jakby posługiwali się tajnym szyfrem.

Kiedy Vangie wreszcie przełamała milczenie na temat zmarłego dziecka, Joe pielęgnował ją jak niańka. Dał jej zbyt dużo whisky i zapakował do łóżka.

Siedział przy niej przez cały dzień – jak mi opowiadał – patrząc, czy jeszcze oddycha. Nie wiem, czy orientował się, jak wiele mi powiedział. Że czuwał nad nią z miłości. On się o nią bał. Lękał się rozmiańców jej żaloby.

– Judy, musisz przyjść i porozmawiać z nią. Nie wiem już, co robić. Tak się boję, że przyjdzie jej do głowy powrót do Bostonu... – Opuścił wreszcie śpiącą Vangie, żeby zajrzeć do mnie. Kiedy stanął na progu, miał tak zmienioną twarz, że myślałam, iż ktoś umarł.

– Co powinienem zrobić?

– Mój drogi, zajrzę jutro i pogadam z nią. A teraz wracaj i pilnuj, żeby jej się nic nie stało. – I kiedy odchodził, zawołałam: – Joe, zobaczysz, ona z tego wyjdzie. Zbyt długo to w sobie trzymała i zatruchiwała się swoim sekretem. Zachęć ją do rozmowy.

– Dobrze.

Ależ się zdziwiłam, kiedy zawrócił, wszedł na mój ganek i objął mnie w podzięcie.

– Joe, nic jej nie będzie. A teraz idź szybko. – Byłam trochę zakłopotana.

Zawsze czułam się trochę winna, to znaczy później, kiedy moją pierwszą reakcją na zniknięcie Johna była myśl: „Przynajmniej ma Joego”. Nie znałam wtedy Johna, więc wydało się czymś naturalnym, że zostanie z Joem. To zabawne, jaką człowiek ma potrzebę łączenia ludzi w pary. Abbott i Costello, Spencer Trący i Katherine Hepburn, Joe i Vangie. Wydaje mi się, że jest wbrew naturze, gdy łączymy ze sobą niedobrane pary, jak to zrobiłam z Joem i Denise. Tak. W pełni za ten związek odpowiadam. Jasne, że to ona zaszła w ciążę. Ale on był głupi, że dał się zmusić do ożenku.

Na obronę mogę tylko dodać, że dla własnego dobra musiał przecież gdzieś osiąść i założyć rodzinę. Nie mógł mieszkać w nieskończoność w izdebce wynajętej od Syl'a Feeneya. Denise pochodziła stąd. Tu się urodziła i wychowała, mimo że była nieślubnym dzieckiem swoich rodziców. Jaką się teraz zrobiła snobką! I pomyśleć, że kiedyś gównem jej nie śmierdziało.

Joe przyszedł do mnie tamtego dnia. Wówczas Denise wyjawiała mu swój stan. Ja trochę powątpiewałam, bo w swoim życiu widziałam już i dziesięciomiesięczne noworodki, i ośmiomiesięczne. Tak czy inaczej, on nigdy nie powiedział, że ją kocha. No, ale cóż, pomyślałam, ręka opatrności. Vangie odjechała do Bostonu i prowadziła życie takie, jakie wybrała na długo przed pojawieniem się Joego Greena. Nigdy tu nie wróciła, a on nigdy się stąd nie ruszył. Ale większość mężczyzn wówczas wyjeżdżała z Hawke's Cove. Sytuacja ekonomiczna była doskonała, pracy wszędzie pod dostatkiem; i to dużo lepiej płatnej niż u Syl'a Feeneya w charakterze mleczarza. A jednak Joe nie szukał innej. Wiedziałam o tym, choć Dense chyba się nie domyśliła dlaczego.

No cóż, stara miłość nie rdzewieje.

A teraz syn Vangie zjawiał się w miasteczku i zadaje pytania. Miły młody człowiek, choć starszy niż oni wtedy. Czasem zagląda do mnie córka Joego, Maggie. Nazywa mnie ciocią Judy. Mogłaby być moją wnuczką. Inteligentna dziewczyna.

Pielęgniarka.

Zastanawia mnie, czy Joe jest tym pilotem. Kiedyś rozmawialiśmy o wojnie, gdy Scott zgłosił się do wojska. Joe siedział cicho. A przecież wtedy był odpowiedni czas, by mi wspomniał, że był na froncie. Nie zdradził się jednak ani słowem, chociaż ubolewał nad chłopakiem.

– Ciężko wysyłać syna na wojnę, która jest taka... – Uniósł ręce w geście protestu. – Niewłaściwa. Żle prowadzona, niedająca się wyjaśnić w sensie moralnym? Może gdybym pojął jej sens, dostrzegł jej szlachetny cel, zrozumiałbym jego decyzję. Ale, Judy, on nawet nie uważa, że rząd ma rację, że większość jego rówieśników się myli. Moim zdaniem, jemu po prostu odpowiada idea służenia w piechocie morskiej.

– Wobec tego bądź z niego dumny.

– Tak, Nieliczni Wybrańcy i tak dalej. Co za bzdura. Przepraszam. – Joe szarpnął brodę, którą zapuścił zgodnie z ówczesną modą. Włosy miał ciągle ciemnokasztanowe, ale siwizna już się w nich pokazywała, jeśli mnie pamięć nie myli – zwłaszcza po decyzji Scotta, by zgłosić się na wojnę.

W czasie tej wojny całe społeczeństwo się zjednoczyło. Obywaliśmy się niczym, skapiliśmy sobie nawet smalcu. Zaaprobowaliśmy narzucone przez wojnę oszczędności z poczuciem misji, z patriotyzmem. Wojna wietnamska nie wywołała takich postaw. Nigdy nie sprzyjało jej całe społeczeństwo, była błędem grupy sprawującej władzę. Rząd prowadził tę wojnę, której formalnie nie wypowiedział, i obarczył społeczeństwo jej brzemieniem. Nic dziwnego, że dzieciaki protestowały. Joe coś takiego mniej więcej wtedy powiedział. Wiele rozmyślał nad wojną. A potem Scott poległ, a ja doszłam do wniosku, że Joe bardzo potrzebuje Vangie.

Potrzebował jej, ponieważ łączyło ich tamto uczucie, które – tego byłam pewna – nie zgasło wskutek upływu czasu i oddalenia. Joe wspominał mi, że docierają do niego wieści od niej. Ona powiedziała, że pisują do siebie. Ja z kolei przekazywałam im obojgu wieści o nich, ponieważ stale utrzymywałam z nimi kontakt. Vangie zawsze była spragniona nowin o Joem. Nie chciała jednak oglądać jego zdjęć. Mówiła, że chce go zapamiętać takiego, jaki był.

A on powtarzał to samo.

Kiedy przekazałam Vangie, że Joe się ożenił, zauważyłam, jak zbladła. W końcu się uśmiechnęła i zgodziła ze mną, że to najlepsze, co mogło go spotkać. Była wtedy w ciąży – z Julią, jeśli sobie przypominam.

„Będzie świetnym mężem”. Tak mi wtedy oświadczyła, ale nie zdołała przede mną ukryć, jak trudno jej było wypowiedzieć to zdanie.

No cóż. Oczywiście, nie mogła opuścić Johna Wortha. To nie znaczy, że go kochała.

Ale był jej mężem, a w owych czasach coś takiego się liczyło. No i oczywiście Joe był zbyt szlachetnym człowiekiem, by ją o to prosić.

Jednakże czasami myślałam, że mogła to zrobić. To znaczy, zostawić Johna. To nie był łatwy człowiek we współzyciu. Nie żeby bił żonę albo był oszustem. Po prostu trudny charakter. Ona sama mi to mówiła. Zawsze twierdziła, że obóz dla jeńców wojennych okaleczył go w sposób, którego nie potrafiła sobie wyjaśnić. Nigdy nie zamykał drzwi od ich sypialni, prócz tych chwil, gdy był z nią blisko. Przez całe dorosłe życie Vangie musiała spać z lampą zapaloną w holu. Powiedziała mi, że tak już zostało, nawet gdy dzieci dorosły i wyprowadziły się z domu. Wreszcie i ona przywykła do tego i zostawia światło w holu, choć Johna trzeba było przenieść do domu opieki. No, ale nie to stanowi o jego trudnym charakterze, nie lampka zostawiona na noc jak bobasowi. Ona to nazwała jego ciemnością. Nie był chętny do rozmowy, dzieci go denerwowały. Nigdy nie chciał przyjechać do Hawke's Cove. To chyba bolało ją najbardziej. Nie chodziło jej, jak myślę, żeby tu przyjechać, ale żeby móc to zrobić.

John Worth po prostu nienawidził tego miejsca. Hawke's Cove. I farmy. Vangie mi wytłumaczyła, że chce uruchomić własną pracownię, więc potrzeba mu gotówki. A ja sądzę, że miał jakieś przeczucia co do farmy. Chciał się jej pozbyć w akcie egzorcyzmu, to by go wyzwoliło od demona, który go prześladował.

Myślę, że najgorsza wiadomość, jaką przekazałam Joemu, brzmiała: „Vangie sprzedaje farmę”. Nawet miałam ochotę zasugerować, aby ją kupił, ale jego mina powstrzymała mnie przed tym.

– Sprzedaje farmę Baileya? To nie może być jej pomysł.

– John chce założyć własną firmę.

– Ach tak. – Joe wciągnął powietrze i wolno je wypuścił, z sykiem jak z szybkaru. Bez słowa wstał z fotela bujanego na mojej werandzie i ruszył do domu. Od tej rozmowy nie widziałam go przez dłuższy czas. Joe miał też swoją ciemną stronę. Skrzętnie ją jednak ukrywał. Niedługo potem Denise zaszła z nim w ciążę. Podejrzewałam, że jego sekretne

nadzieje rozpadły się wtedy w gruzy i że Maggie urodziła się, bo chciał naprawić swoje życie małżeńskie z Denise.

W tym czasie ona była już na najlepszej drodze do hipochondrii. Ilekroć się z nią widziałam, wyliczała listę swoich chorób i cierpień, jęczała jak stara kobieta. Myślę, że Joe zgadzał się z diagnozą doktora Richardsona. Denise stawiała się ofiarą własnych urojeń. Jakże mogła się spodziewać miłości od mężczyzny, który kochał inną? Ale tego uczucia nie można było zagasić skargami i utyskiwaniem.

O, tak. Denise wiedziała o Vangie. Nie, nic konkretnego, za tę wiedzę nie uzyskałaby alimentów na sprawie rozwodowej. Ale przecież czuła, jak każda kobieta, że jego serce nie należy do niej. Widziała, jak oczy mu się świecą, gdy przekazywałam mu nowiny o Vangie. Ja sama widziałam, jak Joe zaciska szczęki.

– Judy, czy możesz coś dla mnie zrobić? – Joe zawsze miał czas na filiżankę kawy, gdy wpadał do mnie po drodze, by dotrzymać mi towarzystwa.

– Jasne, o co chodzi? – Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Pewnie chce, by posiedzieć przy ich dziecku.

– Myślę, że będzie najlepiej, jeśli nie wspomnisz o Vangie w obecności Denise.

Muszę przyznać, że był wrażliwy. Mógł równie dobrze krzyknąć do Denise: „Pilnuj swoich spraw, kobieto”. Ale to nie było do niego podobne. Raczej zabierał się do cięższej pracy, aby nie wdawać się w spory z Denise. Ponieważ był mężczyzną, to uważał, że jeśli żona nie będzie słyszała o Vangie, to zapomni o jej istnieniu.

Ha.

Rozdział 15

CHARLIE

– Mamo?

– Witaj, Charlie. Jak idzie zbieranie materiału? – Charlie słyszał, jak w tle leci woda z kranu w kuchni. – Widziałeś się z Judy?

– Tak, widziałem.

– Jak ona się czuje?

– Moim zdaniem całkiem dobrze. Jest trochę krucha, ale ma umysł jak brzytwa. – Charlie odniósł wrażenie, że przez trzaski w słuchawce przebił się jakiś dźwięk w rodzaju „Hmmm”. Stał nieruchomo na werandzie pensjonatu Seaview i mówił do słuchawki bezprzewodowego telefonu.

– Przesyła ci serdeczności.

Odjeżdżając z Domu Żeglarza, Charlie myślał, że zaproponuje matce, by przeniosła tam ojca. Dość długo zastanawiał się nad tym pomysłem, rozważając wszystkie za i przeciw, jak zwykł był czynić w podobnych okolicznościach. Za: dobre jedzenie, miłe otoczenie, świetne powietrze, piękny widok z okien. Przeciw: nikt z rodziny nie mieszkał w pobliżu. Jak mama mogłaby tu codziennie dojeżdżać? Ta myśl zaczęła w jego głowie ewoluować, aż zmieniła się w marzenie: zmusi matkę, by wyniosła się z miasta, w którym przeżyła pół wieku, i wróciła do Hawke's Cove, gdzie Charlie jako dobry syn będzie ją odwiedzał w każdy weekend. W tym śnie na jawie Maggie została obsadzona w jednej z głównych ról. Polubił tę kobietę o sportowej sylwetce i zdroworozsądkowym podejściu do życia. Od dawna nie spotkał dziewczyny, z którą miałby ochotę na coś więcej niż na wspólną kolację. Nie należał do snobów czy malkontentów. Uważał jednak, że zbyt dużo czasu i wysiłku pochłania dotarcie do wnętrza drugiej istoty po zdarciu z niej osłon ochronnych. I zbyt wiele energii zabiera ochrona własnego „ja”, by przekształcić luźny związek w trwałe zobowiązanie. Wcześniej tylko dwukrotnie obnażył się psychicznie przed kobietami.

Po raz pierwszy stało się to, gdy oboje byli studentami Uniwersytetu Bostońskiego, ale dalsze studia w innych miastach sprawiły, że ich romans nie wytrzymał fizycznego dystansu, jaki ich dzielił. Po raz drugi,

zaledwie dwa lata temu, zerwał z dziewczyną, która nie mogła się zdecydować na trwalszy związek.

Poczuł się głęboko zraniony i teraz ciężko nad sobą pracował, aby nie wystawić się na kolejne udreki.

Do dzisiaj. Maggie Green nadwyrężyła mur, którym się otoczył.

Gdy wsiadał do samochodu na wyznaczonym mu przez właścicielkę pensjonatu miejscu parkingowym, postanowił zapanować nad instynktami.

Jednakże jego emocje wybuchły z nową siłą, kiedy rozmawiał z matką.

– Mamo, jak to się stało, że nigdy nas tutaj nie przywiozłaś? Odpowiedź nie padła od razu.

– Kochanie, bardzo tego chciałam, ale nie mogłam. – Połączenie telefoniczne poprawiło się nagle i w tym niejasnym wyznaniu Charlie wyraźnie wyczuł nutę bólu.

– Ale dlaczego?

– Charlie, nie nudź. – Zamiast bólu słychać było teraz zniecierpliwienie.

Koniec z tym tematem.

– Spotkałem tu twoją wielbicielkę.

– Moją? A kogo mianowicie?

– Maggie Green. – Kiedy nie zareagowała, dodał: – Córkę Joego Greena.

– Wiem, czyją jest córką. Nie wiedziałam natomiast, że zyskałam w niej wielbicielkę.

– Przeczytała wszystkie twoje tomiki poetyckie i nadal trzyma jako drogą pamiątkę rękopis wiersza, który dla niej napisałaś, gdy była malutka.

– To ona teraz mieszka w Hawke's Cove?

– Po części. Z ojcem. Właśnie dziś idę do nich na kolację.

– I Joe też tam będzie?

– Mamo, czy nic ci nie jest? Masz dziwny głos. – Odsunął się nieco i jego ruch spowodował jakieś zakłócenia na linii, niepozwalające usłyszeć, co mu odpowiedziała. Poprosił, aby powtórzyła ostatnie zdanie.

– Dobrze, mamo. W porządku. – Zanotował w pamięci jej życzenie i zmienił temat.

Poruszył sprawę, która go nurtowała od kilku godzin. – Pokazałem Judy fotografię tego zaginionego pilota, Spencera Buchanana.

– Czy ona go znała?

– Powiedziała, że nie, ale myślę, że kręciła. Dodała coś, co by wskazywało na to, że jednak go znała: „Jak młodo wygląda”.
Znowu połączenie się pogorszyło, lecz odniósł wrażenie, że matka parsknęła śmiechem.

– Mamo, nie mam nic konkretnego prócz przecucia, że to Joe Green jest tym pilotem. Czy mam rację?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– Chryste, czy wy wszyscy ze starego pokolenia musicie uczestniczyć w tej maskaradzie?

– Pohamuj się z uwagami tego typu.

– Steve West utrzymuje, że człowiek na tym zdjęciu przypomina mu syna Joego Greena, Scotta.

– A co na to Maggie?

– Jeszcze jej nie pytałem. Wezmę tę fotografię ze sobą i pokażę po kolacji.

Nastąpiła długa cisza. Charlie zaczął się już zastanawiać, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Mamo, jesteś tam?

– Proszę, nie rób tego.

– A więc mam rację, prawda?

Ujrzał ją wwyobraźni – jedna ręka na ustach, drugą ściska >

słuchawkę. Może stoi z zamkniętymi oczami, zastanawiając się gorączkowo, czy powiedzieć mu, czy nadal milczeć.

– Charlie, daj temu spokój. Pozwól nam wszystkim zachować nasze sekrety. Cóż dobrego, prócz krótkiego tekstu, ci to przyniesie?

Charlie tylko westchnął, bo nie potrafił matce odpowiedzieć.

Rozdział 16

VANGIE

18 kwietnia 1993 roku Najdroższy Joe, Gdy otrzymasz ten list, pewnie już spotkasz Charliego. Obrałam metodę tchórza, nie telefonując przedtem z ostrzeżeniem. Pozwoliłam na naturalny rozwój wypadków.

Zastanawiałam się nad tym, to znaczy nad dzwonieniem do Ciebie. W biurze numerów otrzymałam Twój telefon. Zapisałam go w starym notesie, jak gdyby nigdy nic.

Kiedy przeglądałam ten notes, dostrzegam utrwalone w nim stadia mego życia.

Pediatra, dentysta – od dawna już na emeryturze, telefony do akademików, wreszcie ciągle zmieniające się numery mojego syna. Mimo okrutnego postępu lat i śmierci nigdy nie skreśliłam żadnego wpisu. Patrząc na numer telefonu mojej kuzynki Prań w Kalifornii, zauważyłam stary, trzycyfrowy numer Sunderlandów, zapisany wiecznym piórem; atrament już zblakł. Czy pamiętasz, jak prosił się telefonistkę o połączenie: „Sześćsettrzy, Sally”. W miasteczku kontrolowanym przez telefonistkę nie było żadnych sekretów.

Piszę, zanim wydarzenia, które bez wątpienia nastąpią, wstrząsną naszym życiem.

Czuję się więc trochę jak wróżka, a raczej człowiek, który z lękiem zerka w przyszłość. Przeczytałam na nowo kronikę naszego związku – mój pamiętnik i Twoje listy. Przypływy i odpływy. Oboje przechodziliśmy okresy zbliżenia i oddalenia, nasze uczucia i odczucia falowały jak ocean. Najdawniejsze listy były pełne pasji, gwałtownych uczuć, dyktowane pragnieniem ocalenia nowej – i zakazanej – miłości. W miarę upływu czasu emocje opadły, górę wzięło zaufanie.

Cokolwiek się zdarzyło, cokolwiek zrobiliśmy, mieliśmy siebie. Byliśmy dla siebie zawsze obecni w myślach i w sercu. I na koniec, tak jak byśmy razem przeżyli życie, osiągnęliśmy przyjaźń, całkowite zrozumienie. Ale mnie zawsze brakowało Twojego dotyku.

Siedzę więc teraz, wpatrzona w pusty karmnik dla ptaków na podwórku, i widzę niezadowolone sójki, zastanawiając się, co powiesz Charlie-

mu i Maggie. Sądzę, że wyznasz im prawdę. I opowiadając im swoją prawdę, zdradzisz również moją.

Gwarantuję Ci, że nasz związek przewyższa wszystko to, z czym się odślonisz, w jaki sposób stałeś się Joem Greenem. Rodzice nie powinni być młodzi i jest niewskazane, aby zaznali wszechogarniających uczuć. Jednakże Chanie przeszedł wystarczająco dużo w swoim życiu, by na koniec okazać nieco współczucia. Tak myślę. Mam nadzieję, że Maggie łatwiej Cię zrozumie.

Joe, jest jedna sprawa, o której nigdy Ci nie wspomniałam. Pewnego razu omał do Ciebie nie przyjechałam. Załączam ten dawny list, który napisałam, ale nigdy nie wysłałam, ponieważ długo po tamtym wydarzeniu nie byłam pogodzona z jego zakończeniem. Zamiast tego listu wysłałam wtedy inny, nijaki, z ploteczkami. W następnym liście zapytałeś, co się stało. Zwlekałam cały miesiąc z odpowiedzią.

Wreszcie odzyskałam równowagę ducha i panowanie nad życiem, które oboje wybraliśmy. Ponieważ nie chcę przed Tobą niczego ukrywać, proszę, abyś przeczytał ten stary list.

I może kiedyś przyjadę.

17 lipca 1968 roku Najdroższy Joe, Niemal przyjechałam dziś do Ciebie. Dotarłam aż do mostka i tam stanęłam.

Wystarczyło jedynie znaleźć się po drugiej stronie tego drewnianego mostka z pojedynczym pasmem ruchu, żeby nieodwracalnie zmienić nasze życie. Przez kilka godzin nie myślałam o niczym innym, tylko o połączeniu się z Tobą na zawsze. Czy wyobrażasz sobie, że w ciągu tych lat ani razu nie poruszyliśmy ewentualnej zmiany naszych postawień?

Jak mam Ci opisać tę historię, nie zdradzając zarazem mojej impulsywnej, porywczej natury antypatycznej kobiety w średnim wieku? Jediną korzyścią tego naszego 'epistolarnego związku jest wyrobienie w sobie autocenzury, pozwalającej na ujawnienie tylko części własnego „ja”. Piszę te słowa i zdaję sobie sprawę, że nie są prawdziwe. Wiem, że całkiem skutecznie odśloniliśmy przed sobą nasze przywary. I kochaliśmy się mimo to. W przeciwnym razie nie moglibyśmy być wiarygodni w naszej korespondencji.

Przez wszystkie te lata uważałam, że istniejesz tam dla mnie – lina ratunkowa, gdybym jej potrzebowała. Przejierało to z wielu Twoich listów. Dziś prawie po nią sięgnęłam, żeby móc wyjść na brzeg.

Ty i ja byliśmy bardzo powściągliwi w portretowaniu naszych współmałżonków.

Czytałeś w rubryce porad sercowych o tych wszystkich mężczyznach, którzy opowiadają swoim kochankom, jak okropne są ich żony, i vice versa.

Usprawiedliwiali w ten sposób wiarołomstwo. Ty i ja nigdy nie wpadliśmy w tę zasadzkę, choć oboje cierpieliśmy w nieudanych małżeństwach. Ałe dawaliśmy sobie dyskretne znaki. Wiedziałam, że jesteś nieszczęśliwy z Denise. Twoje cierpienie, widoczne w tych lakonicznych zdaniach, wskazuje, że chciałbyś ją wykreślić ze swego życia.

John i ja często się sprzecamy; on jest krytyczny, ja uparta. Kłócimy się głównie o dzieci, o jego długie godziny pracy, o moje prowadzenie domu. O mój czas. To są drobne, pospolite starcia dwojga dorosłych ludzi. Rzadko sięgamy do okrucieństwa, raczej popadamy w milczenie. Co powoduje te sprzeczki? Dziś po prostu John zaczął narzekać, że nie ma uprasowanej koszuli. Ja siedziałam nad wierszem, przerwał mi w połowie liniiki. Często tak robi, wyraża jakieś pretensje, gdy ja w wolnej chwili usiłuję coś napisać.

W gniewie rzuciłam mu koszulę, przy okazji strącając słój pełen szkiełek.

Naczynie się stłukło, drobiny białego i zielonego szkła rozsypały się we wszystkich kierunkach. To te, które pomagałeś mi zbierać na plaży. Wśród nich bardzo rzadko spotykane niebieskie i jeszcze radsze – różowe. Moje ukochane szkiełka, wygładzone przez morze i zmatowiałe od soli, zmieszały się z odłamkami rozbitego słoja. Spojrzałam na ten obraz zniszczenia i zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze zdołam je uratować.

John i ja popatrzyliśmy sobie w oczy i zdawało się, że jeśli padnie choć jedno słowo, będzie to o jedno słowo za dużo. Porwałam kluczyki, torbkę i wyszłam z domu. Przyspieszyłam kroku, by nie słyszeć jego wołania. Postanowiłam, że opuszczę ten dom, zanim Chanie się obudzi, zanim wpadnie Julie albo zatelefonuje Amanda, wymuszając na mnie powrót do roli żony i matki. Odjechałam, chcąc uciec od mego dotychczasowego życia, przekonana, że już się nie cofnę. Kiedy znalazłam się na drodze w kierunku północnowschodnim, zorientowałam się, że jadę do Ciebie.

Pragnęłam myśleć wyłącznie o naszej przeszłości, o tych miesiącach na farmie Bailey'a, gdy i ty, i ja wirowaliśmy wokół naszego uczucia, udając przed sobą, że to tylko przyjaźń. Chciałam być taka zła na Johna, żeby usprawiedliwić przed sobą tę dezercję. Moją dezercję. Zamiast tego zaczęłam się złościć na Ciebie.

Joe, nigdy nie pozwoliłeś mi dokonać wyboru. Tyś zdecydował o wszystkim, i to budziło we mnie ogromny sprzeciw.

Lecz, jak oboje wiemy, był to właściwy wybór. Gdy dojechałam do mostu, zrozumiałam, że nie zdołam przejechać na drugą stronę.

Nigdy aż tak bardzo nie znosiłam swojego życia, by zmienić jego kurs. Nawet w złych okresach trzymałam się tej zasady. Ty również. Żadne z nas nie przekroczyło tej granicy.

Niekiedy życie jest ciągiem straconych złudzeń. I właśnie nasze własne złudzenia wobec nas samych najbardziej na tym cierpią. Póki żyjemy w oddaleniu, możemy >

polegać na czystości naszych iluzji. Nigdy nie będę musiała zajmować się praniem Twoich brudnych rzeczy, Ty nigdy nie ujrzysz moich obwisłych piersi. Nasz związek jest wolny od codziennych zjawisk fizycznej obecności. Nie zestarzeliliśmy się, nie staliśmy się marudami, nasza wysublimowana miłość nie spowszedniała nam wskutek zwykłych utarczek, wynikających z mieszkania pod jednym dachem. Możemy na nią spoglądać jak na szlachetny kamień, nasze zwyczajne życie tylko się o nią ociera.

Rozdział 17

JOE

Joe zagapił się w swoje odbicie w lusterku nad umywalką. Piętnaście, dwadzieścia lat temu widział w nim twarz ojca. Ostatnio jednak coraz częściej zaczął mu się pojawiać dziadek, który świdrował go wzrokiem. Jak dziadek, stracił większość włosów i wszystkie zęby, ale był przynajmniej rad, że przytył najwyżej dziesięć kilo od czasu, gdy był młodym mężczyzną.

Jednakże tak niewiele pozostało z gładkiego oblicza młodego pilota, który wypełził resztką sił na plażę nad Atlantykiem. Tylko intensywny błękit oczu pozostał ten sam, a otaczające je zmarszczki, rezultat dziesiątek lat pracy na dworze, stanowiły kamuflaż dla młodego człowieka ukrytego pod nimi. Joe znowu uśmiechnął się do swego odbicia. Nie potrzebował się lękać fotografii sprzed pięćdziesięciu lat. Nikt go na niej nie pozna.

Usłyszał głosy dochodzące z parteru. Ten typowy, nieco zbyt głośny ton rozmowy między dwojgiem ludzi, którzy ledwie się poznali, grzeczne zwroty. Lekki wybuch śmiechu. Czekał, aż dotrze do jego uszu trzask drzwi od garderoby.

W trakcie tego popołudnia Joe się uspokoił – przynajmniej w związku z ewentualnym odkryciem jego sekretu. Przyznawał w duchu, że trochę się denerwował przyjściem Charliego Wortha. Właściwie to całkiem nieźle go znał. Dzięki listom Vangie z daleka obserwował, jak rośnie. Był informowany o jego sukcesach i porażkach. Orientował się w szczegółach jego romansów i meandrach kariery zawodowej. Wiedział, że matka widzi w nim łagodnego, zabawnego i dobrego człowieka. Joe miał tyle pytań do syna Vangie. Pragnął się dowiedzieć, czy jego matka ma nadal długie włosy, zebrane w węzeł na karku. Czy zabawia się od czasu do czasu miejscową grą w karty? Czy teraz lepiej liczy punkty? Czy kiedykolwiek wspomina o dawnych czasach? O nim?

Zawahał się u szczytu schodów i prawą ręką począł nieświadomie głaszać poręcz.

Solidne, gładkie drewno sprawiało mu przyjemność, dawało uspokojenie.

Usłyszał, że Maggie go woła.

Oboje byli w kuchni, gdzie Charlie odkorkowywał butelkę chianti przyniesioną w upominku. W powietrzu unosił się zapach lasagne i świeżo upieczonego chleba. Gdy Joe wszedł do niewielkiego pomieszczenia, Charlie zaoferował mu kieliszek wina, a następnie wyciągnął doń rękę. Joe wziął wino i ścisnął dłoń gościa.

– Witam, panie Worth. – Mrugnął do Maggie, jakby dając jej do zrozumienia, że to formalne powitanie jest rodzajem salonowej farsy. – Cieszę się, że pan nas odnalazł.

– No cóż, gdyby Maggie nie upuściła torebki...

– Hej, i tak miałam zamiar do ciebie zatelefonować. – Maggie przeniosła się z kieliszkiem bliżej drzwi. – Usiądźmy.

– Myślę, że pańskie dochodzenie i tak zaprowadziłoby pana do nas.

– Tak, ma pan rację. Znajdował się pan na liście osób, z którymi chciałem nawiązać kontakt.

Joe skinął i ruszył do pokoju. Począł, aż Charlie wybierze miejsce, i dopiero wtedy usiadł na fotelu bujanym obok kominka, w którym zresztą nie palił się ogień.

– Czego zatem się pan dowiedział? – Uniósł kieliszek do ust, zasłaniając w ten sposób twarz, bo nagle znowu poczuł gwałtowny niepokój.

– Niewiele w stosunku do oczekiwań. Choć nie spodziewałem się jakiejś bomby.

Jakiś instynkt kazał mi przyjechać i rozejrzeć się po okolicy. Napisać zręczny artykuł do działu „Podróże” z hellcatem jako ośrodkiem zainteresowania.

– Ale coś się od tego czasu zmieniło.

– Może. – Charlie zwilżył wargi.

Przez całą tę długą, zimną noc padał deszcz. W pewnym momencie zerwał się wiatr, ocean się wzburzył. Kiedy ponton się wywrócił, Joe wpadł w panikę i przeciął gumę, usiłując się uwolnić. Zaplątany w liny, przemarznięty do szpiku kości i przerażony, sądził, że śmierć już nadchodzi. Aż fale, które niemal go zatopiły, popchnęły go w kierunku brzegu. Uwagi Charliego były jak ten kwietniowy sztorm wiele dziesiątków lat temu.

Maggie usiadła na kanapie obok Charliego, który oparł łokieć na kolanach, jeszcze nieprzyzwyczajony do takiej bliskości. Ich dłonie zderzy-

ły się ze sobą, gdy oboje w tym samym momencie sięgnęli po pastę serową do krakersów.

– I co pan usłyszał?

– Mniej usłyszałem, niż się domyślam. Nic specjalnego. Nic istotnego z punktu widzenia dziennikarskiego.

– Tato, dziś po południu chciałeś mi coś opowiedzieć o tym samolocie. Co to było?

Joe, udając, że jest bardzo zajęty nakładaniem ostrego sosu na krakersa, nie odpowiedział.

– Tato? Czy ty coś wiesz na temat tej katastrofy?

Sos ześlizgnął się z krakersa i Joe uniósł do ust resztki przekąski.

– Och, nie. W istocie nic nie wiem. Chciałem ci tylko opowiedzieć o skuteczności hellcata w warunkach wojny.

Litościwy minutnik zainstalowany w piekarniku zadzwonił i Maggie przeprosiła za chwilową nieobecność. Joe i Charlie podjęli inny temat.

– Łowi pan?

Charlie potrząsnął głową.

– Raczej nie. Mój ojciec wziął mnie parę razy na pstrągi, kiedy byłem mały. – Odstawił kieliszek na podręczny stolik, uniósł palec wskazujący i orzekł: – To pan jest tym człowiekiem.

Joe poczuł mrowienie w palcach.

– Tym, to znaczy kim?

– Na tej fotce, która przedstawia dwóch mężczyzn trzymających linkę z nanizanymi rybami.

Joe liczył w duchu, że jego mina nie zdradzi ulgi.

– Ernie Dubee i ja. Pamiętam, jak pańska matka robiła to zdjęcie. Czy nadal je ma?

– Tego nie wiem. Pewnie tak. Pamiętam je w pudle, z setkami innych.

– A jak ona się miewa? Me opowiadaj mi o jej podeszłym wieku i chorobach, powiedz mi tylko, że jest zdrowa i szczęśliwa.

– Pełna życia, jak zwykle.

To była doskonała odpowiedź. Joe zaśmiał się z radością. Teraz mógł głośno wymówić jej imię:

– Vangie i ja ciężko pracowaliśmy na tej farmie. Czy kiedykolwiek wspominała panu o tym?

– Taaa, od czasu do czasu wracała do tego tematu. Występuje pan często w jej opowieściach.

Joe poczuł, jak mrowienie palców ustępuje, a na policzkach zakwita rumieniec.

– Co pan powie?

Do pokoju weszła Maggie, zapraszając obu mężczyzn na kolację. Staroświeckim gestem Charlie zaoferował jej rami?– Mama zawsze opowiadała o tym miejscu, więc dla mnie było ono magiczne. Nadal nie rozumiem, dlaczego nigdy tu nie wróciła.

Joe puścił młodych przodem, wdzięczny losowi, że nie widzą jego twarzy.

Zdradziłaby, że on zna odpowiedź na to pytanie.

Rozdział 18

VANGIE

Nowy notes w marmurkowej, czarnobiałej oprawie zachęcał do pisania. Był dokładnie taki sam, jakiego Vangie używała od lat – sto stron z szerokimi liniami. Kusił nowością, sto czystych stron, które można było wypełnić wewnętrznym dialogiem, prywatnymi myślami, okazjonalnymi fantazjami. Zazwyczaj Vangie zapisywała w takich notesach pierwsze redakcje wierszy. Dzisiaj zaczęła nowy dziennik.

18 kwietnia 1993 roku Po wizycie w domu opieki poszłam po południu do sklepu papierniczego i kupiłam sobie ten notes. Mam chyba z pół tuzina takich samych w domu, ale naskrobałam w nich jakieś niewłaściwe początki albo zużyłam do pisania brudnopisów wierszy.

Kiedyś bardzo sumiennie prowadziłam dziennik. Od jakiegoś czasu zajmuję się nim sporadycznie, bo dni mam zbyt zajęte, a nocą jestem za bardzo zmęczona, by pisać.

Wiersze i listy do Joego pochłaniają tak wiele energii, nic nie pozostaje na rozmyślanie lub na wpisy do dziennika. Powinnam była trzymać kopie listów do niego. Jestem przekonana, że całe moje życie jest w nich zawarte. Tak jak jego życie w listach do mnie. Czy on przypomina sobie choć połowę wydarzeń, które mi opisał? Autobiografia tylko dla moich oczu.

Jest ósma wieczorem. O tej porze Joe i Charlie już się spotkali. Córka Joego poda im jakieś neutralne danie, a Charlie będzie gorąco wyrażał swą wdzięczność.

Oboje nie znają jego profesjonalnych metod. Mój syn będzie z nimi przeprowadzał wywiad bez ich wiedzy. Zada pytania, które z pozoru nie wydadzą się ważne, a potem zbierze wszystkie odpowiedzi i ułoży z nich całość. Wyszę go jak wampir, gdy tylko wróci do domu. Jestem spragniona wieści stamtąd. Będę zadawała pytania wprost i dowiem się, że Joe jest ciągle tym samym człowiekiem. Nie będę się bawiła w subtelności. Nie wykluczam, że gdy zobaczę się z Charliem, on już wszystko będzie wiedział.

Kiedy kupiłam ten nowy notes, poczułam się trochę głupio. Cóż miałyby w nim zanotować prócz coraz powszedniejszych uwag na temat

starości? Dzisiaj była ładna pogoda. Oglądałam w telewizji program Oprah. Zjadłam kolację w sieci Swansona, bo nie znoszę gotować dla samej siebie. Dziś biodro mi nie dokucza.

Lecz dziennik jest przepojony wspomnieniami, myślami, emocjami, które we mnie aż kipią.

Po zakupach wróciłam do domu i napisałam do Joego. Nadałam ten list w drodze do hospicjum. Jak już to czyniłam tysiąc razy przedtem, przytrzymałam wieczko nad szczeliną w skrzynce pocztowej i wsunęłam list do mojego najlepszego przyjaciela.

Z jakiegoś powodu ta prosta czynność zakrawała dzisiaj na dramat. Po raz pierwszy grozi nam obojgu wykrycie naszego sekretu. Czy gra się skończyła?

Dom opieki wydał mi się dziś szczególnie odrażający. W powietrzu unosił się odór środka odkażającego. Mijały mnie bez słowa salowe, pchając przed sobą wózki ze świeżo wypraną pościelą i pieluchami tych starych dzieci. John ma nowego współtowarzysza w pokoju. Jest także po wylewie, ale bez wątpienia wyszedł z tego z uszkodzonym mózgiem. Bez przerwy wydaje z siebie jęk – jedną samotną nutę.

Za mojej bytności tylko dwukrotnie ktoś go odwiedził. Johna nikt jeszcze nie obsłużył. Tak tu bywa w weekendy. John przebywa tu od tak dawna, że sama biorę z szafki na korytarzu świeżą pościel, miskę z ciepłą wodą i ręczniki. Niekiedy myślę, że oni liczą tu na moje wizyty, więc nie za bardzo się nim zajmują.

Ostatnio jednak zauważyłam, że John nie reaguje na moje przyjście. Mimo to stara się pomóc przy tych wszystkich niezbędnych czynnościach, choć ma jedną stronę ciała sparaliżowaną. Golę go najlepiej, jak potrafię; jego zarost słabnie z wiekiem, a do baczków na policzkach łatwo się dostać. Robię minę, żeby naprężyć górną wargę, ale nie zwraca uwagi, więc delikatnie wkładam mu do ust kciuk i napinam skórę, a następnie unoszę mu głowę, żeby zgolić parę włosków pod brodą.

Myję mu następnie ręce i nakładam czystą górę od piżamy.

Robiąc toaletę mojemu mężowi, przez cały czas rozmyślam o Joem Greenie. Kiedy byliśmy młodzi i John kochał się ze mną, przez cały czas miałam w pamięci Joego.

Myślałam: „Joe pieścił mnie tak i tak”. A John nie robił tego. I w ten oto sposób, w połowie stosunku małżeńskiego, stawałam się niewierną żoną. Dotyk Joego mnie elektryzował, pieszczota Johna była mecha-

niczna. W ciągu dwunastu godzin kochaliśmy się z Joem trzykrotnie. Mogę w każdej chwili przywołać w wyobraźni wrażenie, jakie wywoływała jego ręka na moim ciele, smak jego języka.

Przypominam sobie natychmiast ciepło, jakie wyzwaliśmy, bicie naszych serc.

Leżałam w ramionach męża rok po roku, rozpamiętując, jakąż to pasją było oddanie się Joemu. I jakimże nijakim przeżyciem jest cielesność w małżeńskiej sypialni.

Powtarzałam sobie w duchu, że to było fair. Skoro wróciłam do domu, żeby połączyć się z mężem, to przynajmniej nie powinnam czuć się winna, że pamiętam tamto.

Teraz dotykam zdradzieckiego ciała mego męża, ciała, które pozbawiło go jakiegokolwiek pożytku, nie odbierając mu jasności umysłu, i myślę o Joem spotykającym naszego syna. Jestem pewna, że John zapomniał, iż znałam kiedyś Joego Greena.

Niekiedy sama chciałabym o tym zapomnieć.

Każda decyzja, jaką podjęłam, każda myśl, każdy ruch, jaki wykonałam, miał związek z egzystencją Joego. Mój wyobrażony Joe uśmiecha się do mnie jak anioł stróż. Zawsze istniała we mnie częśćka należąca wyłącznie do niego. To sprawiało, że nigdy nie mogłam należeć do Johna bez reszty. Może gdybym zamknęła ten rozdział życia, zamiast stałe do niego powracać, byłabym lepszą żoną. John zasługiwał na moje pełne oddanie.

Tamtego dnia, kiedy poszłam do szpitala dla weteranów wojennych, aby ujrzeć Johna po raz pierwszy od wielu miesięcy, drżałam z napięcia. Październik był chłodny, już zapowiadał zimą. Miałam nadzieję, że współpasażerowie pociągu, zauważywszy moje drżenie, złożą je na karb zimna.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać od Johna. Nie miałam pojęcia, jak ciężko został ranny, a nawet czy w ogóle odniósł jakieś rany. Był ofiarą wojny. Nikt nie powiedział mi, czy jest okaleczony. Nie wyobrażałam sobie, jak na to zareagować. Tyle się zdarzyło. Nam obojgu.

Wszystko, co najważniejsze w moim życiu, zależało od naszego powitania. Jeślibym się odruchowo cofnęła pod jego dotyk, nie byłoby nic więcej do zrobienia.

W szpitalu dla weteranów unosiła się woń środków dezynfekcyjnych. Oddział, na który mnie skierowano, wydawał się położony na końcu

świata. Wąskie metalowe łóżka stały nawet wzdłuż ścian korytarza. Mężczyźni z ranami wręcz nie do opisanego zaczepiali mnie wulgarnymi uwagami, gdy szłam między rzędami łóżek.

Dlaczego umieszczono go tak daleko? Salowi i pielęgniarze odwracali ode mnie wzrok, zajęci swoją odstręczającą pracą. Zaczynałam wpadać w panikę. Czy minęłam własnego męża, nie poznawszy go? Czy został tak strasznie okaleczony, że stał się jedną z tych mumii owiniętych białą gazą?

– John! John Worth! – Mimo woli wciągnęłam do płuc odór szpitalny, przed którym chciałam zatkać usta i nos. Pacjenci z łóżek zaczęli mnie naśladować, wykrzykując: „John, och Johnny! Twoja dziewczynka przyszła!”. Nie potrafiłam się odgryźć. Może ich żony jeszcze ich nie odwiedziły. Może ich nie poznały.

John leżał gdzieś, zagubiony w tej plątaninie. Czekał, aż go znajdę. Wydawało mi się, że to wyjątkowe okrucieństwo z jego strony – zmuszać mnie do błędzenia i szukania go po tak długim czekaniu, po niepewności co do jego losu.

– Pani Worth? – Salowy dotknął mego łokcia. – Pani mąż znajduje się na oddziale trzecim. Tu jest oddział dla amputowanych. On nie jest pacjentem na chirurgii.

Myślę, że bym padła w ramiona tego nieznanego w białym kitlu, gdyby mnie nie podtrzymał.

– Dziękuję. Jak mogę się tam dostać?

Okazał się dżentelmenem i zaprowadził mnie przez korytarz do drzwi oddziału trzeciego.

– Proszę poczekać. Jakiego typu rany mają pacjenci tego oddziału?

Młody człowiek znowu dotknął mego łokcia.

– To są głównie przypadki szoku. – Pchnął skrzydło drzwi. – Tu leżą faceci, których szybko wypiszemy do domu. Proszę wejść, pani Worth. Znajdzie tam pani swego męża. On na panią czeka.

Dzisiaj znajdujemy się w mrocznym solarium, a ja zbyt intensywnie rozmyślałam nad przeszłością. John siedzi bez ruchu, jak zwykle, jak zawsze. Po przeczytaniu całego mego dziennika i niemal wszystkich listów Joego rozbudziłam w sobie dawne emocje. Nie reaguję na realia codzienności.

Tamtego dnia, kiedy poszłam odszukać Johna w szpitalu dla weteranów, byłam nadal przepełniona uczuciami, które – jak sądziłam – nigdy

nie tracą na sile. Czy w życiu nie skończę z żalobą? Po Molly. Po zaginionym Johnie. Teraz po Joem.

Obecnie zdaję sobie sprawę, że jakiś rodzaj żałoby ujawnia się przed faktyczną śmiercią. Każdego dnia rozpaczam trochę nad Johnem, zaginionym mężem, który wiele lat temu wyciągnął do mnie rękę ze szpitalnego łóżka. Był taki uszczęśliwiony moim widokiem. Usiadłam przy nim i objęłam chudego, przerażonego mężczyznę, tak wyczerpanego, skóra i kości, że mogłam go nie poznać, gdyby tak mnie nie wypatrywał. Objęliśmy się, szlochając. Ja też płakałam po trosze z tego powodu, że kobieta, którą John trzymał w ramionach, nie była już tą samą kobietą, którą zostawił, idąc na front. Już nie byłam taka, jakiej się spodziewał.

– Evangeline, nigdy się nie dowiesz, jak bardzo podtrzymywałaś mnie na duchu.

Wiedząc, że cię mam, że wrócisz do mnie, gdy dotrę do domu, przetrzymałem najgorsze chwile, kiedy już wydawało mi się, że lepiej byłoby umrzeć.

A ja płakałam, bo zrozumiałam, że odtąd do końca życia będę musiała udawać kobietę, jaką już nie byłam.

Wyszedł ze szpitala jako człowiek pokonany. Miesiące, które spędził w niemieckim obozie, zniszczyły go w dużo większym stopniu, niż na to wskazywały zmiany fizyczne. Oczekiwał ode mnie ciągłej otuchy, pragnął w pierwszych miesiącach mojej stałej obecności w domu. A jeśli już wychodziłam, domagał się podania dokładnej godziny powrotu. Oczekiwał całkowitego oddania. Kochałam go i troszczyłam się o niego przez cały okres rekonwalescencji, ale stale myślałam o Joem i bardzo za nim tęskniłam. Czasami potrzebowałam kilku minut samotności, aby w ciszy oddać się myślom. Pod jakimś pretekstem wybiegałam do sklepu, żeby choć po drodze wspomnieć rozmowę z Joem lub jakąś szczególną chwilę, która obrazowała naszą miłość.

John mawiał w takich chwilach, że jestem rozkojarzona, pytał, czy się czymś martwię. Nakładałam maskę oddanej żony i tłumaczyłam, że to jedynie niepokój o niego.

Istnieje tak wiele spraw, których nie odnotowałam. Wydarzeń i okazji, które były w równym stopniu ważne, jak tych siedem miesięcy w Hawke's Cove. Moje całe życie.

Salowa przyniosła lunch Johna na tacy i postawiła na stoliku. Dania były przykryte, więc widocznie doszła do wniosku, że to ja go nakarmię. Poprosiłam, aby pomogła mi przenieść go na fotel. Chciałam, by zjadł posiłek na siedząco.

Wzruszyła ramionami, mając pewnie na końcu języka stałą wymówkę – brak czasu.

Zaczęłam jednak sama ściągać go z łóżka, żeby nie mogła odmówić. Niektóre z tych dziewcząt są wobec mnie przyjazne. „Pani Worth, jeśli potrzebuje pani naszej pomocy, proszę nacisnąć dzwonek”. Inne są do niczego, jak ta. Przepracowane, źle opłacane. Ta kobieta powinna być zadowolona, że w ogóle ma zajęcie. Inna, Cindy, traktuje mnie przynajmniej po ludzku. Zawsze przekazuje uwagi na temat stanu Johna, opowiada, jak spał, czy zmieniono mu leki. Odnosi się do mnie jak do pełnoprawnego członka społeczeństwa. Kłopot z własną starością polega i na tym, że personel często bierze mnie za pacjentkę, choć jestem normalnie ubrana i noszę pantofle, nie kaptcie. Gdy wychodziłam stąd parę dni temu, pewien młodzieniec w recepcji zaczął mnie i zapytał, dokąd się wybieram. Bezcelność.

W głowie się nie mieści. Jakże nienawidzę podeszłego wieku. Kiedy odczytałam na nowo ten wpis o moim podziwieniu wobec pani Grace, zastanawiając się, czy jest coś,

czego żałowała w swoim długim życiu, uświadomiłam sobie, że jestem teraz w jej wieku. Ona pewnie nie żyje już od lat. A ja ciągle klękam podczas przyjmowania komunii. Czuję na swoich plecach wzrok młodych ludzi, którzy zakładają się w myślach, czy wstanę o własnych siłach. Wprawiam ich w zawstydzenie, jestem ich przyszłością. I nie, niczego nie żałuję.

– Czy będziesz tego żałowała?

– Nie, nigdy.

Dzisiaj podano Johnowi jakąś brązową masę. Ponieważ ma kłopoty z przełykaniem, przeniesiono go na dietę „mechaniczną”. Wszystko jest zmielone w mikserze i teraz na talerzu dostaje papkę zieloną, brązową albo żółtobiałą. Ma ją powoli przeżuwać. Od czasu do czasu przemycam mu jakieś normalne jedzenie – miękkie, jak klops czy zapiekanek. To stosunkowo nowe podejście do chorego. Na początku kroiłam wszystko na małe kawałki. Jadł bardzo powoli, niekiedy ciągnęło

się to przez godzinę, a wtedy potrawa była zimna jak lód i przyjemność, jaką mógł z niej czerpać – żadna. Ta papka jest przynajmniej ciepła.

– No, no, stek. – Mówię to, a on otwiera usta jak mały, pomarszczony ptak, wsysając zawartość łyżeczki. Wycieram mu wargi wilgotną chusteczką i od wiążuję plastikowy śliniak. Odsuwam tacę jak najdalej, bo nigdy nie wiem, kiedy przyjdą ją zabrać. Ktoś dla jego współtowarzysza włączył telewizor, dźwięk świdruje w uszach, ale na szczęście zagłusza ciągły jęk dochodzący z drugiego łóżka. Mój mąż siedzi niemy, z bezużyteczną ręką na podołku, z drugą opartą na ramieniu fotela. Wyprostowany jak kukła. Nie patrzy na mnie, choć wiem, że jest zadowolony z mojej obecności. Podciągnęłam zasłony, żeby wpuścić trochę słońca, prześwitującego teraz między budynkami. W pełnym świetle dostrzegam, w którym miejscu na jego policzku zostawiłam kępkę zarostu.

Siedzę jak na szpilkach. Świadomość, że Charlie i Joe przebywają teraz w tym samym miasteczku, doprowadza mnie do stanu wrzenia. Umieram z ciekawości i z lęku. Wyobrażam sobie to ich spotkanie jak pojedynkę szermierzy. En garde. Albo jeszcze inaczej – przychodzi mi do głowy fantastyczna wizja. Obaj padają sobie w ramiona, bliscy sobie nieznajomi. Wiąże ich ze sobą niewidzialna nić. Ja.

Jest teraz kwadrans po ósmej. Z pewnością zasiedli do stołu.

*

Rozdział 19

JOE

– A wtedy Vangie mówi: „Mam to wypić?”. – Joe oparł się na krześle. Uwielbiał opowiadać Charliemu i Maggie o skrytce na whisky. – Zastanawiam się, czy te zbiory nadal tkwią w piwniczce. Nikt prócz letników i okazjonalnych podnajemców nie korzystał z tego domu od... od czasu, gdy przestał być własnością twojej rodziny. Nikt tam nie zaglądał od lat.

Charlie pochylił się nad stołem. Czuł się tak swobodnie w towarzystwie Maggie i jej ojca, że podparł się łokciami.

– Czy mógłbym ją zobaczyć?

– Whisky?

– Nie, farmę. Farmę Baileya.

– Jasne. Kiedy?

– Jutro wyjeżdżam.

– Może wpadniesz tam, gdy wyjdiesz od nas?

– Pokażesz mi ją, Joe? Joe skinął głową.

– Pewnie. Spotkajmy się koło dziewiątej.

Zrobiło się już dość późno. Cała trójka nie ruszyła się od nieco niestabilnego stołu, czując się przy nim swojsko i wygodnie. Maggie przeszła kulinarnie samą siebie, podając na deser lody waniliowe i truskawki sprowadzone z Kalifornii.

– Maggie, to było pyszne. Mam nadzieję, że będę się mógł zrewanżować, gdy przyjedziesz do Bostonu.

– Czy to ma być randka?

– Pewnie tak. Jak wygląda twój rozkład zajęć?

Joe wstał i począł zbierać ze stołu talerzyki po deserze, zbywając machnięciem ręki gotowość Charliego do pomocy. Chciał im obojgu dać trochę czasu na osobności, żeby mogli omówić datę spotkania bez jego nadzoru. Starannie wymył szklane czarki, usuwając kciukiem resztki lodów. Co pomyśli Vangie, gdy się dowie, że ich dzieci umawiają się na randkę? Pewnie przyjdzie jej do głowy coś z Szekspira albo starożytna komedia grecka. Joe zastanawiał się nad możliwym rozwojem wypadków i głośno parsknął śmiechem.

– Tato, co cię tak rozbawiło?

– Och, Maggie, świat jest pełen zabawnej przewrotności. – Wręczając jej ścierkę, udał, że musi pilnie skorzystać z łazienki.

Rozdział 20

CHARLIE

– Naprawdę spodobał mi się twój ojciec. – Charlie wziął od Maggie mokrą patelnię i przejechał po niej ścierką. – To świetny facet.

– A ja chciałabym poznać twoją mamę. To znaczy, niezależnie od faktu, że należę do wielbicieli jej twórczości. Ale przede wszystkim dlatego, że jest dobrą przyjaciółką mojej rodziny.

– Wiesz, następnym razem, gdy ojciec odwiedzi cię w Bostonie, powinniśmy wybrać się gdzieś we trójkę.

– Och, Charlie, to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Mój tata cierpi na agorafobię. Nigdy nie opuszcza Hawke's Cove.

– Od jak dawna to trwa?

– Od zawsze. O ile wiem, nigdy się stąd nie ruszył. Nawet do Great Harbor, choć to tak blisko.

– Coś podobnego – mruknął Charlie, odstawiając naczynie na blat kuchenny. – A ja sądziłem, że ludzie z agorafobią nie mogą się ruszyć z domu.

– Nie, niekoniecznie. To są już bardzo poważne przypadki. Taty przypadłość graniczy z ekscentryzmem.

– A więc on się tu urodził?

Maggie przeciągnęła gąbką po garnku.

– Nie. Ale mieszkał tu przez całe dorosłe życie. Tyle wiem na ten temat.

Zbyt wiele elementów tej układanki pasowało do siebie.

Charlie zamilkł, stojąc za plecami Maggie. Jej włosy opadały luźno na ramiona, lekko sfalowane w miejscu, gdzie obojczyki poruszały się pod miękkim swetrem z jagnięcej wełny.

– Mam wielką ochotę spotkać twoją mamę.

– Będzie tym zachwycona, Maggie. Zaprowadzę cię do niej przed naszą wspólną kolacją dwudziestego piątego. Dobrze?

– Świetnie. Nie mogę się doczekać.

Charlie zabrał się do wycierania kolejnego naczynia.

– To śmieszne, że nigdy już tu nie wróciła, nie sądzisz?

- Jestem innego zdania. – Maggie wyłowiła ze zlewu ostatnią patelnię.
 - Moim zdaniem to ma głęboki sens.
 - Jak to rozumiesz?
 - Charlie, czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że oni byli dwojgiem dorosłych ludzi żyjących pod jednym dachem w ciężkich czasach? Sam sobie dopowiedz resztę.
 - Nie, Maggie. Moja matka była zameźna. Wojenna „wdowa”, oddana memu ojcu. – Charlie pokręcił głową, odrzucając tę koncepcję, ale zaraz odkładając ją na później do gruntownego przemyślenia.
 - Który, jak mi wspomniałeś, został uznany za zaginionego.
 - Maggie, uważam, że nic takiego nie zaszło między nimi.
 - Przecież nie sugeruję złej woli, a jedynie logiczną kulminację głębokiej przyjaźni.
 - Skoro tak, to dlaczego nie kontaktowali się ze sobą?
 - Ależ utrzymywali ze sobą kontakt, Charlie. Od lat stale do siebie pisywali.
 - Skąd wiesz?
 - Moja matka znalazła jej listy do ojca. Charlie poczuł dziwną niemoc w brzuchu.
 - Listy miłosne?
- Maggie westchnęła i odebrała Charliemu ścierkę.
- Kochała go tak, że go opuściła. Stała plecami do zlewu.
 - Charlie, przepraszam. Nawet mój ojciec nie zdaje sobie sprawy, że o tym wiem.
- A poza tym w dużej mierze tylko się domyślałam, co się wtedy wydarzyło. Nie mam stuprocentowej pewności. W każdym razie mama odkryła te listy i to było powodem ich ostatecznej kłótni.
- Maggie, i co ja mam powiedzieć?
 - Najlepiej nie mów nic. Moja matka i tak by odeszła od ojca. Potrzebowała jedynie ostatecznego powodu. – Maggie spuściła wodę ze zlewu i wytarła ręce papierowym ręcznikiem. – Muszę pilnie zatelefonować. Czy możesz przez chwilę towarzyszyć tacie? Chyba że chcesz już iść?
 - Nie. – Charlie ciągle rozmyślał nad tym, co usłyszał z jej ust. – Jeszcze nie jestem gotów do wyjścia. – Przechodząc obok Maggie, impulsywnie dotknął końcami palców jej policzka. Dziewczyna się zarumieniła. Dla niej te części układanki niewątpliwie ułożyły się w pewną całość.

Joe siedział na werandzie.

– Szszsz... – Przytknął palce do ust. – Charlie, posłuchaj.

Do Charliego już dotarło odległe buczenie boi, która wskazywała wejście do kanału położonego o ponad milę od miasteczka. Uderzenia młotka o metalową kulę dochodziło do nich czyste i donośne, bo rozchodzący się dźwięk nie napotykał na wzgórze czy lasy.

– Twoja matka nazywało to dzwonem kołysankowym. Liczyła uderzenia przed snem. W spokojną noc, taką jak dzisiaj, liczyła do dziesięciu, a nawet piętnastu.

– Napisała wiesz o boi. – Charlie oparł się o balustradę, patrząc na Joego Greena, bujającego się w fotelu.

„... śpiewaj mi o odległych miejscach... gdzie może znajdować się mój ukochany...”. Charlie się uśmiechnął.

– Taa, coś w tym rodzaju.

– „... i uspiona, śnić będę o czasach... gdy on mi zaśpiewa”.

Charlie z rzadka zajmował się poezją matki, a gdyby zamyślił się nad tym wierszem, to przypisałby okoliczności jego powstania czasom wojny, gdy jego ojciec był po drugiej stronie Atlantyku. Teraz, przypatrując się Joemu Greenowi, począł się zastanawiać, czy nie popełniłby błędu w takiej ocenie faktów.

Rozdział 21

JOE

Najdroższa Vangie, Właśnie odprowadziłem Twojego syna do samochodu. Nie, właściwie było trochę inaczej. W drzwiach uściśnięłem mu dłoń i dałem szansę Maggie, by pożegnała go bez świadków. Dziewczyna słała tak długo przy aucie, aż zacząłem się obawiać, że on jej coś opowiedział. Ale wróciła do domu cała w uśmiechach i pocałowała mnie na dobranoc. Od dawna nie robiła takich gestów. Może się łudzę, ale sądzę, że coś między nimi zaiskrzyło. A z całą pewnością nie wma-wiam tego sobie.

Ciekawa jesteś, czy opowiedziałem im naszą historię. Nie, nie zrobiłem tego. Nie wiem, czy to zaaprobujesz, czy też nie. Charlie rzeczywiście ściga Spencera Buchanana, ale jest bardzo dyskretny i nigdy nie zadaje pytań, na które nie mógłbym uczciwie odpowiedzieć. Tak się złożyło, że na początku kolacji odeszliśmy od tego tematu i już do niego nie wróciliśmy. Charlie nie pokazał mi zdjęcia, z którym obnosi się po miasteczku. Twierdzi, że zostawił je w pensjonacie. Tak więc jestem przekonany, że on coś na mnie ma.

Vangie, opowiadałem im różne historie. O reperowaniu stodoły, o odkryciu zasobów whisky, o krowach i święcie Czwartego Lipca. Wyciągałem różne opowiadki o paniach Ruth i o Sunderlandach. Prawdopodobnie znudziłem ich tymi monologami staruszka. Przepuszczonymi przez filtr dyskrecji.

Tak więc opowiedziałem im dużo, prócz tego, że jestem tym, kogo Chanie poszukuje.

Owszem, podzieliłem się z nimi wieloma ważnymi wspomnieniami, omijając to, że Ty i ja... że jesteśmy, no, że jesteśmy dla siebie.

Wyobrażasz sobie moją radość wypływającą z faktu, że mogę głośno wypowiedzieć Twoje imię. Dodaj do tego rozkosz, jaką odczuwałem, gdy słyszałem Twoje słowa wypowiedane ustami Twego syna. Zadałem mu więcej pytań niż on mnie.

Podśluchałem, jak Maggie tłumaczyła coś Charliemu o agorafobii. Przyszło mi wtedy do głowy coś, z czego przedtem nie zdawałem sobie sprawy.

Gdyby nie Ty, może bym zaprzestał tego życia odłudka. Mógłbym przecież zgłosić się do władz, otrzymać należną karę i jakoś inaczej ułożyć sobie życie. Ale pozostałem w Hawke's Cove, ponieważ nigdy nie straciłem nadziei, że któregoś dnia wrócisz.

Rozdział 22

VANGIE

18 kwietnia 1993 roku

Po przyjsciu z nabozeństwa spędziłam z Johnem więcej czasu niż zazwyczaj.

Ponieważ salowym zajęło tyle wysiłku, żeby go podnieść z łóżka, nie chciałam, aby zbyt szybko położyły go na popołudniową drzemkę. Całe jego obecne życie polega teraz na wstawaniu dzięki pomocy innych i kładzeniu się z powrotem, z przerwami na posiłki i na moje odwiedzi-ny. Telewizor ciągle ryczał, więc wywiozłam Johna do solarium. Cóż to za fałszywa nazwa – słońce z trudem tu dociera przez wiecznie zakurzone szyby. Powinnam go stąd przenieść. Jedyłą wygodą tego domu jest jego położenie: mogę tu dojść z domu spacerem. Tylko czy John odróżniłby jedno miejsce od drugiego?

Kiedy dostał pierwszego wylewu, oboje pracowaliśmy nad jego powrotem do normalnego stanu. Godziny fizykoterapii i zajęć z logopedą. Odbywaliśmy tę terapię razem. Staliśmy się drużyną sportową, która wszelkimi siłami pragnie odzyskać utracony – wraz z upadkiem na podłogę pracowni – szacunek. Zawsze mawialiśmy, że udało mu się, bo miss Szczęściara wносиła w tym momencie jakieś akta, a chwilę potem miała wyjść do domu. O, tak, usiłowaliśmy dojrzeć dobre strony tego zdarzenia.

Odmówiłam traktowania go jak niemowlaka. Niektórzy nasi przyjaciele mieli o to pretensje. John natomiast rozumiał moje postępowanie i wiedział, że nie pozwolę mu się poddać. Którejś nocy przysunął się do mnie i dotknął mojej piersi. Mówienie nadal przychodziło mu z trudem, ale nie musiał mówić. Chciałabym powiedzieć, że to było wspaniałe, że ten akt miłosny wspaniałe wpłynął na naszą sytuację. Prawda natomiast wyglądała tak, że z ulgą przyjęłam finał. John jednak odmłodził wskutek odniesionego sukcesu. Pod koniec tego straszego roku, kiedy już wrócił do pracy, byłam w siódmym niebie, gdy zaczęłam uczyć trzecią grupę studentów w college'u.

Drugi wylew zniszczył wszystkie nasze osiągnięcia i zabrał jeszcze więcej. Gdy nastąpił trzeci, zrozumiałam, że nie będę mogła sama się

nim zajmować. Oddałam sprawę w ręce pracowników opieki społecznej, by móc prowadzić chociaż jeden kurs, ale poczucie winy i wysiłek fizyczny przygniotły mnie, więc po raz pierwszy i ja potrzebowałam pomocy. Dlaczego teraz o tym piszę? Dla potomności, żeby dzieci, które popierały moją decyzję, zdały sobie sprawę, że choć jej nienawidziłam, wiedziałam, że to właściwy wybór. Ta decyzja nie polegała na tym, że chciałam kontynuować karierę zawodową, ale podjęłam ją z myślą o naszym wspólnym dobru.

John zarabiał nieźle i był przezornym inwestorem, więc nie miałam problemów z płatnością za dom opieki. Zaopatrzył mnie na tyle, że nie musiałam się o to kłopotać. Teraz tylko muszę służyć mu serdeczną troskliwością i chronić go przed pożałowania godnym klimatem tego miejsca.

Słońce przesunęło się i zdołało przesłać promienie do solarium przez czysty fragment zasmużonego okna. Na podłodze widać było plamki świetlne, drgające, bo sączyły się przez targane przez wiatr gałęzie drzew. Na klonach pojawiły się małe pączki, które przypominały mi marynowane kałafiorki.

Postawiłam krzeselko przed fotelem Johna i nachyliłam się nad nim, kładąc ręce na jego kościstych kolanach.

– Było w porządku, prawda, John? Czy na to liczyłeś? – Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale oczy się zaszklily. – Mam na myśli nasze wspólne życie. Czy byłam dla ciebie dobrą żoną?

Z ogromnym wysiłkiem położył zdrową rękę na mojej dłoni spoczywającej na jego kolanie. Rękę ma miękką i delikatną jak papier. I tą dobrą ręką ścisnął moją, leciutko kiwając głową.

Rozdział 23

JOE

Joe udał się pospiesznie na farmę Bailey'a, żeby zdążyć przed przyjazdem Charliego. Chciał spędzić tu parę minut sam, aby obejrzeć zmiany, które wprowadzili przypadkowi lokatorzy, i przywołać wspomnienia wzmocnione widokiem rzeczy, które pozostały takie same.

Najbardziej widoczną zmianą była utrata zimowego pastwiska na rzecz zagajnika dębowososnowego. Stary mur był ledwie widoczny z podjazdu, tak zarósł krzewami.

Joe pokręcił z niezadowoleniem głową i zganił się w myślach. Nie był tutaj, odkąd wyprowadził na pastwisko trzy krowy, a potem ruszył z nimi do Sylvestra Feeneya. Odczuwał wtedy, jakby sam siebie popędzał.

Podjechałszy autem do miejsca, w którym kiedyś stawiano samochód, wysiadł i począł przeprowadzać inspekcję podwórka. Dość szybko pogodził wspomnienia z rzeczywistością. Było tu niemal tak samo, jak w dniu jego odejścia. Zapuszczone podwórze, porzucone przez ostatnich właścicieli, którzy nie zajmowali się farmą albo z powodu niepłacenia podatków, albo dlatego, że dali się wpłatać w postępowanie spadkowe. Joe nie mógł sobie teraz przypomnieć, o co dokładnie chodziło. W każdym razie było to tak dawno temu, że farba po ostatnim malowaniu schodziła całymi płatami. Siatka przeciw owadom na tylnym ganku była rozerwana w paru miejscach, a okiennice na oknie kuchennym smętnie zwisały. Ktoś zmienił rynny na aluminiowe, ale mnóstwo liści, od lat nieuprzątanych, całkowicie je zatkało, razem z piachem i innymi śmieciami. Na koniec podszedł do stodoły. Uśmiechnął się, pogłaskał po brodzie i aż prychnął z zadowolenia. Jego fundamenty przetrwały.

Połówka wrót była otwarta, więc zbliżył się i nieco je pchnął. Po pięćdziesięciu latach drzwi trzymały się krzepko. Ta otwarta połowa chodziła lekko na zawiasach i dokładnie przylegała do drugiej połowy.

Kiedy podjechał Charlie, Joe siedział już na schodkach na tyłach domu. Wstał, gdy Charlie wysiadł z auta, pobrzękując kluczami, które wziął od agenta sprzedaży nieruchomości.

– Wejdzimy do środka? – Charlie pchnął drzwi z drucianej siatki.

Joe zachwiał się nieco. Charlie zauważył jego reakcję i wyciągnął do niego rękę, by go podtrzymać.

Dokładnie wiedział, co napisze do Vangie. „Nie uwierzyłabyś, jak to miejsce mało się zmieniło. Zostało zmodernizowane w latach pięćdziesiątych, opuszczone w siedemdziesiątych, a teraz wróciło do stanu z lat czterdziestych. Linoleum w kuchni ma inny wzór, ale popękało na tych samych zgięciach. Stary piec zniknął, a na jego miejscu stoi biały, na gaz, no i zainstalowano centralne ogrzewanie.

Srebrny kaloryfer stoi niczym świadek czyichś ambicji, by mieszkać na farmie przez okrągły rok. To, co było nowiutką tapetą trzydzieści lat temu, spłowiło do jasnożółtej barwy, niemal dokładnie takiej samej, jaka była w kuchni od zawsze. To samo dotyczy błękitu w saloniku. Oczywiście, wszystko wydaje się mniejsze niż we wspomnieniach. I puste. Prawie słyszę tu echo”.

Charlie przyniósł śniadanie w papierowej torbie. Obaj z Joem oparli się o porcelanowy zlew, który zastąpił starszy, z piaskowca, popijając z papierowych kubków letnią czarną kawę i zagryzając domowymi pączkami z knajpki U Lindy.

– Chcesz się rozejrzeć? – Joe strzepnął okruszki z koszuli i zakrył kubek wieczkiem.

Charlie ruszył w obchód, żując resztę pączka. Najpierw obejrzeni parter, potem wspięli się na pięterko.

Joe się nie odzywał, na nic nie wskazywał. Pozwalał synowi Vangie samemu wyciągnąć wnioski.

– No cóż, rozumiem, dlaczego tata uważał, że z tego miejsca nie ma żadnego pożytku. I jednocześnie dostrzegam, dlaczego mamie ono się spodobało. Jin i jang.

– Wrócili do kuchni. – Możemy zerknąć na stodołę?

– Jasne. – Joe odłożył pusty kubek na blat.

Boksy pełne były rupieci, zewsząd zwisały gęste pajęczyny. Światło jednak było takie samo. Pyłki kurzu wirowały w powietrzu, gdy obaj zbliżali się do drabiny prowadzącej na stryszek.

– Wygląda zupełnie tak samo jak wtedy, gdy ujrzałem to miejsce po raz pierwszy.

– Joe kopnął stertę gazet. – Kupa śmiecia i wszędzie jaskółcze gniazda.

– Joe, opowiedz mi, jak tu dotarłeś.

– No cóż, twoja mama musiała nareperować stodołę. Była samotna, a ja potrzebowałem zajęcia.

– Nie, ja myślę o twoim przybyciu do Hawke's Cove. Opowiedz, jak się tu znalazłeś.

Joe chwycił się szczebla drabiny i szybko wspiął się na górę. Sprawilo mu satysfakcję, że szło mu to tak łatwo jak kiedyś.

– Wejdz tu, Charlie.

Charlie odstawił kubek na stertę gazet i poszedł w jego ślady.

Na stryżku było pusto. Na podłodze leżała cienka warstwa słomy, ale reszta rzeczy zniknęła. Drzwiczki były zaryglowane. Joe stanął, opierając się o masywny zamek.

– Dlaczego pytasz? Czego chcesz się dowiedzieć?

– Joe, chcę ci coś pokazać. Zejdźmy na dół.

Charlie zsunął się na klepisko i przez otwarte wrota ruszył na podwórko. Po chwili Joe usłyszał, jak otwiera, a następnie zatrzaskuje drzwiczki samochodu.

Przez chwilę wstrzymał oddech, licząc w duchu, że dojdzie do niego warkot silnika, ale zamiast tego rozległ się tylko zgrzyt spuszczonej szyby.

Z oporami schodził po drabinie.

Charlie trzymał w ręce błyszczącą fotografię przedstawiającą Spencera Buchanana.

– Poprosiłem mojego kumpla z Instytutu Technologicznego Massachusetts, aby pobawił się z tym zdjęciem za pomocą komputera. Uświadomiłem sobie, że dziś nikt by nie poznał człowieka sfotografowanego w 1942 roku. I oto, co dostałem. Tak by wyglądał Spencer Buchanan, gdyby żył po dziś dzień. Pod warunkiem, że spędził większość życia, pracując na świeżym powietrzu. No i, oczywiście, że nie zginął w tym samolocie.

I Charlie wręczył Joemu jego portret poddany obróbce komputerowej.

– Kiedy go dostałeś?

– Wczoraj wieczorem. Przed przyjściem do was na kolację. Przekazywali mi to zdjęcie.

– Czy wspomniałeś o nim Maggie?

– Nie.

– Dzięki.

– Joe, powinieneś jej o tym powiedzieć. Ona musi wiedzieć.

– Wkrótce się dowie.

– Nie. Nie napiszę tego artykułu. Nie mogę. Joe oparł się o zlew.

– Nie musisz mnie chronić. Potrafię się z tym uporać.

– Nie. Pewne sprawy powinny pozostać nieodkryte. W odróżnieniu od whisky.

Przez otwarte okno obaj zauważyli, jak Maggie parkuje samochód obok auta Charliego.

– Opowiem Maggie. – Joe oddał zdjęcie Charliemu. – Mogę i tobie?

Charlie wsunął faks do kartonowej teczki i pokręcił głową.

– Nie, ja nie muszę wiedzieć. – Podeszedł do drzwi, żeby je otworzyć. Z ręką na klamce odwrócił się w stronę Joego. – Powiedz mi tylko jedno.

Stojąc na schodkach tylnego ganku, Joe Green skinął głową.

– Czy moja matka o tym wiedziała?

Droga Vangie, cóż mogłem odpowiedzieć? Wszystko, co dotychczas stanowiło o moim życiu, zostało sprowadzone do jednego wyrazu: tak lub nie. Poczucie winy, hańba, miłość, jaką żywię do Ciebie. Chanie pytał o to wszystko.

Z natury jestem uciekinierem. Staram się uciec od bolesnych spraw w moim życiu.

Stałem się psychicznym zbiegiem, gdy nie zechciałem spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie, że zabiłem tamtego chłopca. Nie mogąc się zdobyć ??

przejechanie mostu, uciekłem od mego syna. Chciałem uciec od Charliego. Ale, Vangie, jestem już za stary i nie ma dokąd uciekać.

Tamtego dnia uciekłem od Ciebie nie dlatego, że chciałem Ci oszczędzić wyboru, lecz dlatego, że bałem się, iż nie wybierzesz mnie.

Rozdział 24

VANGIE

27 kwietnia 1994 roku Z miejsca, w którym siedzę, zapadnięta w stary wyplatany fotel, widzę ścieżkę prowadzącą do zatoczki. Jeśli nie będę patrzyła na pewne nowe szczegóły, mogę sobie wręcz wyobrazić czasy mojej babki. Ale śmiech nastolatków rozbrzmiewający tutaj tego ranka nie należy do mnie i do mojego kuzynostwa, lecz do moich wnuków.

Głosy dorosłych dobiegające przez otwarte okna z kuchni, z napomnieniem, aby się pospieszyły i ubrały, należą nie do mojej babki, lecz do córek, które są podekscytowane nadzwyczajną okazją: ślubem ich jedynego brata.

Dróżka na plażę jest nadal piaszczysta. Nie próbowałam się nią przejść, uczyniłam to jedynie w pamięci. Wije się wzdłuż pastwiska i między drzewami, które wydają się dokładnie takie same, ani wyższe, ani bardziej pochylone. Takie, jakie je zapamiętałam. Ścieżka ciągnie się wokół kaczego stawku, dość grząska na jednym brzegu, ale dalej znowu sucha. Potem pnie się na wydmy, i oto już brzeg oceanu. Po lewej stronie jest Zatoka Hawke'a, po prawej – Zatoka Dwighta, lekkim łukiem okalające plażę. Charlie opowiedział mi, że odkrył, iż zatoczka nazywa się Hawke, czyli Jastrzębia, nie na pamiątkę jakiegoś rodu, który osiadł tu na długo przed rewolucją amerykańską, lecz na cześć rybołowa, którego było tu kiedyś mnóstwo. Któż to wie? I zostały w nazwie ortograficzne błędy Jankesów. Bo powinno być „Hawk”.

Mówią, że ponieważ tak się tu zważa na zbieranie surowców wtórnych, na plaży pozostało bardzo mało oszlifowanych przez fale szkiełek. Jedynie czasami można znaleźć białe lub brązowe. Chciałabym się przejść wzdłuż brzegu i sprawdzić, czy to prawda. John zebrał wtedy moje szkiełka z podłogi i wyrzucił je. Uważał, że zrobił mi grzeczność, zmiatając odłamki rozbitego słoja. Może się tam wybiorę, gdy trochę odpocznę i spiszę niedawne wydarzenia. Niewykluczone, że przejdzie się ze mną ktoś z wnucząt.

Kiedy Charlie po raz pierwszy przyprowadził do domu Maggie, byłam zaskoczona.

Chociaż spodziewałam się ich obojga, nie sądziłam, że Maggie tak bardzo przypomina ojca. Joe musiał tak wyglądać, gdy miał około czterdziestki. Charlie zaproponował, abym zerknęła na to komputerowe zdjęcie. Odmówiłam.

Odkupili farmę Bailey'a. Maggie i Charlie. Przywrócili ją do życia. Nie tylko odremontowali, ale i wypełnili nieskrępowaną miłością. Nawet kiedy na nich patrzę, ich dłonie stale się stykają, oczy wciąż szukają siebie, jakby w potrzebie ciągłego odradzania się u źródła. Obserwuję ich z zazdrością, o której nie mają pojęcia.

Lubię myśleć, że Maggie i Charlie zakochali się w sobie tu, na farmie Bailey'a, tamtego popołudnia, gdy jedno po drugim zajęchało pod starą stodołę. Lubię też wyobrażać sobie, że duchy Vangie i Joego sprzed lat nawiedziły ich i otworzyły im oczy. I w ten sposób zatoczyliśmy pełen krąg. Oni mogli skończyć to, co nam nie było dane.

Charlie przekazał Joemu wiadomość ode mnie. I przekazał mi odpowiedź, gdy tamtej niedzieli wrócił do domu.

– Mamo, on prosił, żeby ująć twoje ręce w ten sposób... i powiedzieć, że on także codziennie myśli o tobie.

Poznałam go natychmiast, jak tylko zaczął mówić. Zatelefonował do mnie tamtej niedzieli, gdy Charlie ruszył w drogę powrotną. Wiedziałam, że to Joe, choć z latami jego głos stał się bardziej szorstki niż tamten, przepełniony słodyczą.

– Vangie.

– Joe – odpowiadam i czuję w sobie miniony czas.

Nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, ale to nie ma znaczenia. Ten pierwszy telefon unieważnił wieloletni zakaz bezpośredniego porozumiewania się ze sobą. Teraz często rozmawiamy; skandalicznie wysokie rachunki stały się częścią mego życia.

Słowa, niegdyś obszar naszych listów, płyną z nas strumieniem. Przedłużamy ten dialog, nie chcąc się jeszcze rozłączyć. Na początku poświęciliśmy wiele uwagi wspomnieniom. To jednak nie trwało długo, bo przecież mamy tyle innych spraw do przedyskutowania. Choćby wydarzenia polityczne, filmy, wymiana opinii na dowolny temat.

A później, kiedy okazało się, że nasze dzieci „spotykają się na serio”, zaczęliśmy się zastanawiać nad przyszłością. Oboje ogromnie się obawialiśmy, że ze sobą zerwą, a wtedy znajdziemy się po obu stronach barykady. Ale niepotrzebnie się przejmowaliśmy.

Jednakże nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz.

To byłoby proste, wystarczyło kiedyś wybrać się razem z Charliem. Ale stan zdrowia Johna stale się pogarszał. Nie mogłam wyjechać. Dawno sobie wybaczyłam niewierność ciała, lecz nie mogłam w tych ostatnich miesiącach dopuścić się zdrady ducha. Kiedy już nie było innego lekarstwa prócz siedzenia przy nim, opuszczenie go w takich chwilach byłoby czynem niewybaczalnym. Z niewyjaśnionych powodów Joe też nie przyjechał. Gdyby postanowił być ze mną, wyzwoliłby się z więzienia, na które sam się skazał, ale nie chciałam tego. Winna byłam Johnowi chociaż tyle. A kiedy John umarł w zeszłym miesiącu, nie mogłam po prostu popędzić na spotkanie z Joem. Trzeba się było zająć tyloma sprawami. Sądziłam, że okazałabym nielojalność, gdybym zbyt szybko podażyła do Hawke's Cove.

Kiedy rozmawiamy przez telefon, zachowujemy się stosownie do wieku, ale wyobrażamy sobie, że czas dla nas obojga stanął wiele lat temu. Jestem bardzo zdenerwowana na myśl o naszym spotkaniu, nie ze względu na zmiany, jakie zaszły w nim, lecz we mnie. Zanim wyszłam z domu, żeby przejść się po podwórku, długo wpatrywałam się w lustro w sypialni mojej babki. Widziałam w nim starą kobietę. Niemal się zhipnotyzowałam tym widokiem i w końcu zarysy mojej sylwetki zaczęły mięknąć, tracić ostrość. Kobieta w lustrze stała się nagle wyższa, z ciemnymi na powrót włosami, z żywym spojrzeniem. Patrzyłam tak długo, aż znów ujrzałam prawdziwą Vangie – tę, która wyjdzie na spotkanie Joemu.

Wszyscy pojechali na próbę generalną. Ponieważ to drugi ślub Maggie i pierwszy, ale mocno spóźniony Charliego, cała ceremonia ma być prosta, bez zasadzek czyhających na pary młode wiekiem i stażem. Niemniej i ten skromny obrządek trzeba przećwiczyć. W mojej roli matrony nie muszę odbywać próby. Jestem głęboko wdzięczna losowi za te godziny w samotności. Tutaj.

Ktoś po mnie przyjedzie i weźmie na wielki bankiet w najelegantszej restauracji Great Harbor. Denise się nie pojawi, bo jest wściekła na Maggie, że pokochała mojego syna. Maggie przyjęła to spokojnie. Uważa, że z czasem matce przejdzie gniew. Podziwiam jej odwagę, ale nie jestem pewna, czy pojmuje rozmiary awersji Denise do niej. Absurdalny z pozoru krok dawnej żony Joego wcale nie jest pozbawiony logiki.

Nikt nie wspomniał, czy Joe przyjedzie, czy to wydarzenie jest dlań tak ważne, by wrócić po latach z samowygnań. Wciąż jeszcze nie rusza się z Hawke's Cove.

Mimo, jak to ujął, brzemienia kłamstwa, które po latach zostało z niego zdjęte.

Nie pytałam go o decyzję, gdyśmy rozmawiali wczoraj wieczorem. Zadzwoiłam po paru minutach od przyjazdu na farmę Baileya z Julie i jej rodziną. Panował chaos, więc zamieniliśmy tylko kilka słów.

Nasza pierwsza miejscowa rozmowa – zażartował. Gdy wszyscy kręcili się po domu, rozpakowując walizki, wymieniliśmy parę nieznaczących uwag. Opowiedziałam mu, że mieliśmy dobrą podróż, zupełnie inną, gdy jedzie się tu samochodem, a nie pociągiem. Czy wyobrażasz sobie, że most ma teraz dwa pasma ruchu! Tak, dom dobrze wygląda po remoncie. Zatrzymaliśmy się w Great Harbor, żeby zajrzeć do Judy. Jest w doskonałej formie!

I dopiero gdy znalazłam się sama w kuchni, rzekłam:

– Nie mogę się doczekać naszego spotkania. – Dzieci. Zachowujemy się jak dzieciaki.

Gdyśmy dotarli wczoraj wieczorem do Hawke's Cove, było już zbyt ciemno, by wiele zobaczyć. Za to wstałam wcześniej rano i przeprowadziłam dokładną inspekcję.

Sądzę, że możliwość obejrzenia tego domu jest dla mnie równie ekscytująca, jak spotkanie z Joem. Te dwa uczucia tkwią w moim sercu. Tak się obawiałam, że Maggie i Charlie zmienią tu wszystko nie do poznania, choć syn wiele razy zapewniał, że zachowa charakter miejsca. Dotrzymał słowa. Prócz pewnych innowacji, to oczywiste. Powiększyli kuchnię o jeden z tych „salonów” i teraz całe pomieszczenie służy za jadalnię i salonik. Na górze są teraz dwie sypialnie.

Dawny pokój Joego już nie istnieje. Z pewną autoironią aprobuję nowy rozkład.

Bo zasadniczo to samo planował John, a ja kategorycznie mu tego zakazałam. To było nasze pierwsze starcie.

Charlie zaprowadził mnie do mego dawnego pokoju, sypialni babci. Jest czysty, pachnie świeżą farbą i niewiele się zmienił. Jednakże dawne łóżko z toczonymi nóżkami zniknęło. Jego miejsce zajmuje teraz szersze łóżko z anonimowej sosny.

Gdy leżałam w nim wczoraj wieczorem, słyszałam zza okna boje dzwoniące w skomplikowanym rytmie. Ocean był spokojny, dźwięki ostrzegawcze rozbrzmiewały w długich odstępach. Do późna nie mogłam zasnąć.

Słońce świeci dziś ostro. Jestem jak jaszczurka, która grzeje się w jego promieniach i czerpie z nich przyjemność. Na sznurze suszy się pranie, bielizna ledwie się porusza w słabym wietrze. Obiecałam Amandzie, że zdejmę ją przed odjazdem na kolację.

Wysłałam o świcie na paluszkach, by stanąć na moim podwórku i ujrzeć zmiany, jakie tu zaszły. Nie jest ich aż tak wiele, naprawdę. Linia drzew i lekkie wzniesienie gruntu na pastwisku służą jako naturalna kurtyna, dzięki nim nie widać domów, które tam wzniesiono. Zimowe pastwisko, ostrzegł mnie Joe przez telefon, zamieniło się w gęsty zagajnik. Mój ogród jest teraz trawnikiem, nawet najmniejszy dołek nie wskazuje na dawne jego przeznaczenie. Ile ziemi musiano tu zwieźć? – zastanawiam się w myślach.

Mocniej związując pasek od szlafroka, zadowolona z adidasów, które mam na nogach, zaglądam do stodoły. Już nie unosi się w niej woń krów. Teraz czuć zapach garażu, a nie obory. Zamiast kanki na mleko dostrzegam puszkę z olejem. Jednakże drabina nadal stoi na swoim miejscu. Drewniany szczebel jest gładki po latach używania.

Ta drabina służyła pokoleniom farmerów, którzy wspinali się na stryszek i schodzili stamtąd z sianem dla bydła. Wygładziły ją też bosa stopy dzieci, które wbiegały na stryszek, bawiąc się w chowanego. Tu schronił się Joe, uciekając przed swoimi zmorami. Tu pozostał ślad mojej nogi, gdy schodziłam na spotkanie dalszego życia.

Zastanawiam się, czy nadal mogłabym się wspinać po jej szczeblach. I rozmyślam o tym, gdy Julie woła wszystkich na śniadanie.

Lubię myśleć, że zasiadam w tym samym fotelu z giętego drewna, który zajmowała na honorowym miejscu przy stole moja babcia. Miała na sobie pomięty kapelusz, w jednej ręce trzymała szklaneczkę z popołudniowym koktajlem, a w drugiej – długiego papierosa z ustnikiem. Wielka dama. Matrona. Ja. Minus kapelusz. Bawię się takimi fantazjami. Kładę je na karb artystycznej duszy.

Po śniadaniu Maggie chciała ze mną porozmawiać na osobności. Wzięła mnie pod rękę i ruszyła przed siebie, jakby dając do zrozumienia, że chce pogawędzić sobie z teściową tuż przed ślubem. Udawała, że pra-

gnie mnie zaznajomić ze swoimi rzekomymi wadami. Oboje od jakiegoś czasu mieszkają w nowym mieszkaniu w bostońskiej dzielnicy Beacon Hill, więc jestem przekonana, że zdołała się już zapoznać z wadami mego syna. Jednakże podporządkowałam się jej życzeniu i w ten sposób dotarłyśmy do miejsca, w którym stoją fotele.

– Liczę, że pogoda utrzyma się do jutra.

– Och. Maggie, jestem pewna. Nie musicie się oboje martwić. Spójrz na te pierzaste chmury. A wczoraj wieczorem słońce zachodziło na czerwono.

– Vangie, bardzo go kocham. Uśmiechnęłam się do niej.

– Kochanie, wiem. I on także bardzo cię kocha. Jesteś skarbem jego życia.

Zwilżyła językiem wargi, zeschnięte z napięcia.

– Vangie, przez te wszystkie lata tylko ty wiedziałaś, kim naprawdę był mój ojciec.

– Nie, Maggie, ty też byłaś tego świadoma. Może nie znałaś jego prawdziwego nazwiska, ale doskonale wiedziałaś, kim był.

– Punkt dla ciebie. – Maggie usiadła na brzeжку zielonego fotela, składając ręce jak dziecko do modlitwy. – Mogę o coś zapytać?

Zastanowiło mnie, co obudziło jej intuicję.

– Jasne.

– Ty i mój ojciec byliście kochankami.

– To nie jest pytanie. Maggie milczała.

– Czy moja odpowiedź zmieni twoje nastawienie do ojca?

– Nie.

– Do mnie?

Chwilę milczała, w końcu się uśmiechnęła. Ciągle mnie zdumiewa ten uśmiech ojca na jej ustach.

– Nie.

– A więc tak, przez jedną... piękną... noc. Następnego dnia dowiedziałam się, że odnaleziono Johna.

– Och. Vangie! – Maggie zerwała się z miejsca i chwyciła mnie za rękę.

– Potraktuj to jako najwspanialsze wydarzenie twego życia. Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, ty i Charlie bylibyście rodzeństwem.

Śmiech Maggie, tak jak jej uśmiech, do złudzenia przypomina śmiech Joego.

Po jej odejściu dochodzę do wniosku, że źle się wyraziłam. To, co przeżyliśmy z Joem, trwało niewątpliwie dłużej niż jedną piękną noc.

EPILOG

Hawke's Cove – 1994 rok

Musiałam się zdrzemnąć. Światło się zmieniło. Mój dziennik leży grzbietem do góry na trawie u mych stóp, obok niego pióro. Pochylam się, żeby je podnieść, i wtedy go spostrzegam. Ciemnowłosy mężczyzna, który zbliża się ścieżką krokiem młodzieńca. Zastanawiam się w duchu: jakie to dziwne, że ciągle nosi ubranie Johna. Lecz gdy jest już o krok, zauważam swoją pomyłkę. Kraciasta koszula i czarne drelichowe spodnie, ostatni szyk. Czapeczkę baseballową wzięłam za ciemne włosy. Gdy Joe znajduje się na odległość ręki, wstaję z fotela, żeby go przywitać. Następuje cudowny moment, gdy oboje nieruchomiejemy; dzieli nas dystans, który wygładza w nas zmiany wyryte przez czas.

– Jesteś nadal tak słodka jak w mojej pamięci. – Joe dotyka mojej twarzy końcami palców.

Całujemy się, jak to czynią starzy przyjaciele, a potem długo stoimy objęci.

Ciało nigdy nie zapomina. Zapach Joego jest mi tak dobrze znany, jakbym przez całe życie codziennie go wdychała. Wydaje się, że nic więcej nie trzeba mówić, że nasze listy wyraziły wszystko. Więc tylko się obejmujemy. By być w końcu razem.

To takie tymczasowe. Nie wiemy, ile życia jeszcze nam zostało. Jutro będziemy świadkami ślubu naszych dzieci i zatańczymy na ich weselu. Wzniesiemy za nich toast siedemdziesięciopięcioletnią whisky? Dla nas to będzie dużo.